

Arkadij i Borys Strugacy

Fale tłumia wiatr

(Wolny gasiat wietec)

WPROWADZENIE

Nazywam się Maksym Kammerer. Mam osiemdziesiąt dziewięć lat.

Kiedyś, bardzo dawno temu, przeczytałem starodawną opowieść, która tak właśnie się zaczynała. Pamiętam, że pomyślałem wtedy - jeśli w przyszłości będę pisać pamiętniki, zacznę je dokładnie tak samo. Zresztą ten zaproponowany przeze mnie tekst właściwie trudno nazwać wspomnieniami, a zacząć należałoby od jednego listu, który otrzymałem mniej więcej rok temu.

Kammerer,

Oczywiście przeczytał pan osławione "Pięć biografii stulecia". Proszę, aby pomógł mi pan ustalić, kto konkretnie ukrywa się pod pseudonimami - P. Soroka i E. Braun. Sądzę, że przyjdzie to panu łatwiej niż mnie.

Maja Głumowa

13 czerwca 125 roku. Nowogród.

Nie odpowiedziałem na ten list, ponieważ nie udało mi się rozszyfrować, jak naprawdę, nazywali się autorzy "Pięciu biografii stulecia". Wyjaśniłem tylko, że - jak tego należało oczekiwać - P. Soroka i E. Braun są znanymi współpracownikami grupy "Ludeny" Instytutu Badania Historii Kosmicznej (IBHK).

Bez trudu wyobraziłem sobie uczucia, jakich doznawała Maja Głumowa czytając zredagowaną przez P. Sorokę i E. Brauna biografię swojego syna. Zrozumiałem, że muszę zabrać głos.

Napisałem te wspomnienia,

Z punktu widzenia bezstronnego, a w szczególności obiektywnego czytelnika mowa w nich będzie o wydarzeniach, które stały się końcem całej epoki w naszej kosmicznej samoświadomości i otwały przed ludzkością całkowicie nowe perspektywy, które poprzednio mogły być rozważane jedynie teoretycznie. Byłem świadkiem, uczestnikiem i w jakimś sensie nawet inicjatorem tych wydarzeń i z tego powodu nie ma nic zdumiewającego w tym, że grupa "Ludeny" w ciągu ostatnich lat bombarduje mnie odpowiednimi ankietami, oficjalnymi i nieoficjalnymi prośbami o współdziałanie i moralami na temat obywatelskich obowiązków. Początkowo traktowałem cele i zadania grupy ze zrozumieniem i życzliwością, ale też nigdy nie ukrywałem swojego sceptycyzmu na temat ich nadziei na sukces. Poza tym było dla mnie absolutnie jasne, że z materiałów i informacji, którymi dysponuje, grupa "Ludeny" nie będzie miała żadnego pożytku i dlatego do tej chwili uchylałem się od uczestnictwa w jej pracy.

Ale teraz, z przyczyn, które mają charakter raczej osobisty, odczuwam uporczywą potrzebę, żeby jednak zebrać razem i zaproponować każdemu, kto zechce się tym zainteresować, całość mojej wiedzy o pierwszych dniach Wielkiej Iluminacji.

Przeczytałem ostatni akapit i od razu jestem zmuszony skorygować samego siebie. Po pierwsze, proponuje, oczywiście wcale nie wszystko co wiem. Niektóre materiały mają charakter zbyt specjalistyczny, żeby móc je tu referować. Niektórych nazwisk nie wymienię z przyczyn czysto etycznych. Powstrzymam się też od omawiania specyficznych metod mojej ówczesnej działalności w charakterze kierownika oddziału Nadzwyczajnych Wydarzeń (NW) Komisji Kontroli (KOMKONu-2).

Po drugie, wydarzenia 99-ego roku były, jeśli już mam być ścisły, nie pierwszymi dniami Wielkiej Iluminacji, lecz przeciwnie, jej dniami ostatnimi. Tego właśnie, jak mi się wydaje, nie rozumieją, a raczej nie chcą zrozumieć pracownicy grupy "Ludeny", bez względu na wszelkie moje próby przekonania ich. Zresztą możliwe, że nie byłem wystarczająco uparty. Już nie te lata.

Osobowość Tojwo Głumowa budzi, rzecz jasna, szczególne - powiedziałbym nawet - specjalne zainteresowanie pracowników grupy "Ludeny". Rozumiem to i dlatego wybrałem Głumowa na centralną postać moich pamiętników.

Oczywiście, nie tylko dlatego i nie głównie dlatego. Jeżeli z jakiegokolwiek powodu wspominam o tych dniach, w mojej pamięci natychmiast pojawia się Tojwo Głumow, widzę jego szczupłą, zawsze poważną, młodzieńczą twarz, wiecznie przysłonięte długimi rzęsami szare, przejrzyste oczy, słyszę jego jakby celowo spowolnione słowa i znowu odbieram całym sobą jego bezdźwięczny, bezsilny, ale nieubłagany, niczym niemy krzyk, napór: "No co z tobą? Dlaczego nic nie robisz? Rozkazuj!" I na odwrót - wystarczy, żebym z jakiegokolwiek powodu pomyślał o Tojwo, natychmiast, jakby obudzone brutalnym kopniakiem, budzą się "wspomnień wściekłe psy", cała groza tamtych dni, cała rozpacz tamtych dni, cała bezsilność tamtych dni, wszystko co wtedy czułem, sam jeden, dlatego że nie miałem komu się zwierzyć.

Osnowę, proponowanych pamiętników stanowią dokumenty. Z zasady są to standardowe raporty-meldunki moich inspektorów, a także trochę oficjalnej korespondencji, którą tu dołączam głównie po to, żeby spróbować rekonstrukcji atmosfery tamtych czasów. Zresztą, pedantyczny i kompetentny badacz bez trudu zauważy, że mnóstwo dokumentów, które mają bezpośredni związek ze sprawą, nie zostało włączonych do pamiętników, a jednocześnie bez niektórych przytoczonych dokumentów można by się z pozoru obejść. Na ten zarzut odpowiadam zawczasu - materiały selekcionowałem zgodnie z określonymi zasadami, w których istotę zagłębiać się nie mam ochoty, a także nie widzę konieczności.

Następnie, znaczną część tekstu stanowią rozdziały - rekonstrukcje. Rozdziały te napisałem sam i w istocie rzeczy są one rekonstrukcją scen i wydarzeń, których świadkiem nie byłem. Rekonstrukcja została dokonana na podstawie opowiadań, zapisów na taśmach i późniejszych wspomnień ludzi uczestniczących w tych scenach i wydarzeniach, jak na przykład Asi, żony Tojwo Głumowa, jego kolegów, jego znajomych itd. Zdaje sobie sprawę, że wartość tych rozdziałów dla pracowników grupy "Ludeny" jest nieznaczna, ale cóż robić, za to jest bardzo znaczna dla mnie.

I wreszcie, zawierający informacje tekst z pamiętników pozwoliłem sobie trochę rozwodnić własnymi reminiscencjami, które zawierają informacje może nie tyle o ówczesnych wydarzeniach, ile o ówczesnym pięćdziesięcioośmioletnim Maksymie Kammererze. Zachowanie tego człowieka w opisanych przeze mnie okolicznościach sam teraz obserwuje nie bez zainteresowania...

Podjmując ostateczną decyzję napisania tych pamiętników, stanąłem przed następującym problemem - od czego mam zacząć? Co i kiedy stało się początkiem Wielkiej Iluminacji?

Mówiąc ściśle, wszystko to zaczęło się dwa wieki temu, kiedy w skałach Marsa nagle odkryto puste podziemne miasto z jantarinu - wówczas po raz pierwszy padło słowo "Wędrowcy".

To jest słuszne. Ale zbyt ogólnikowe. Z takim samym powodzeniem można stwierdzić, że Wielka Iluminacja zaczęła się w momencie Wielkiego Wybuchu.

Wobec tego może pięćdziesiąt lat temu? Sprawa "podrzutków"? Kiedy po raz pierwszy problem

Wędrowców przybrał odcień tragizmu, kiedy narodził się i powędrował z ust do ust jadowity termin-wyrzut “syndrom Sikorskiego”? Kompleks niekontrolowanego strachu przed możliwą inwazją Wędrowców? To jest bardzo możliwe. I znacznie bliższe prawdy... Ale wtedy nie byłem jeszcze naczelnikiem wydziału NW, zresztą sam wydział NW jeszcze w ogóle nie istniał. Zresztą nie pisze przecież historii problemu Wędrowców.

A dla mnie zaczęło się to wszystko w maju 93 roku, kiedy ja, jak i wszyscy naczelnicy wydziałów NW, wszystkich sektorów KOMKONu-2, otrzymałem informat o zdarzeniu na Tissie. (Nie rzece Tisie, która spokojnie płynie przez Węgry i Zakarpacie, lecz na planecie Tissie, planecie gwiazdy EN 63061, niedługo przedtem odkrytej przez chłopców z grupy Swobodnego Zwiadu). Informat traktował wydarzenie jako przypadek nagłego i nie wyjaśnionego obłędu wszystkich trzech członków ekspedycji badawczej, która wylądowała na płaskowyżu (zapomniałem, jak się nazywa) dwa tygodnie przedtem. Całej trójce wydało się nagle, że łączność z centralną bazą została przerwana, zresztą w ogóle łączność z czymkolwiek oprócz pozostawionego na orbicie planety statku macierzystego, zaś automat statku macierzystego nadaje bez przerwy w kółko powtarzając się wiadomość, że Ziemia zginęła w wyniku jakiegoś kataklizmu kosmicznego, zaś cała ludność Peryferii wymarła na skutek niepojętych epidemii.

Nie pamiętam już wszystkich szczegółów. Dwóch z tej ekspedycji zdaje się próbowało popełnić samobójstwo, a w końcu poszli na pustynie - zrozpaczeni beznadziejnością i absolutnym bezsenssem dalszego istnienia. Ale dowódca ekspedycji okazał się człowiekiem twardym. Zaciął zęby i zmusił się do życia tak jakby to nie cała ludzkość zginęła, tylko jakby jego samego spotkała katastrofa, jakby po prostu został na zawsze odcięty od ojczystej planety. Opowiadał następnie, że na czternasty dzień tego szaleństwa pojawiła się mu jakaś istota w bieli i oświadczyła, że on, dowódca, z honorem przeszedł przez pierwszą próbę i zostaje przyjęty do stowarzyszenia Wędrowców. Piętnastego dnia ze statku macierzystego przybyła szalupa awaryjna i atmosfera została rozładowana. Ci dwaj, którzy odeszli na pustynie, zostali szczęśliwie odnalezieni, zdrowi na umyśle, nikt nie ucierpiał. Ich świadectwa były zgodne w najdrobniejszych szczegółach. Na przykład wszyscy kosmonauci absolutnie identycznie odtwarzali akcent automatu, który jakoby nadawał tragiczny komunikat. A subiektywnie odbierali to, co się stało jak realistyczne, niesłychanie sugestywne przedstawienie teatralne, w którym mimo swojej woli wystąpili w charakterze aktorów. Głęboka mentoskopia potwierdziła ich subiektywne wrażenia i nawet potwierdziła, że w najgłębszej warstwie podświadomości żaden z nich nie miał wątpliwości, że po prostu uczestniczy w spektaklu.

O ile się orientuje, moi koledzy z pozostałych sektorów potraktowali ten informat jak zwyczajne, nieinteresujące NW, nie wyjaśnione Nadzwyczajne Wydarzenie, jakich mnóstwo trafia się na Peryferiach. Wszyscy są cali i zdrowi. Dalsze wyjaśnienie okoliczności NW nie wydaje się konieczne, zresztą od samego początku nie było konieczne. Chętnych do wyjaśnienia zagadki jakoś nie było. Rejon NW ewakuowano. NW przyjęto do wiadomości. *Ad acta.*

Ale ja przecież byłem uczniem świętej pamięci Sikorskiego! Kiedy jeszcze żył, często spierałem się z nim w myśli i w rzeczywistości na temat niebezpieczeństw grożących ludzkości z zewnątrz. Ale z pewną jego tezą trudno mi było dyskutować, zresztą wcale tego nie chciałem. „Jesteśmy pracownikami KOMKONu-2. Wolno nam zyskać opinie obskurantów, mistyków, zabobonnych kretynów. Jednego nam tylko nie wolno - nie doceniać niebezpieczeństwa. I jeśli w naszym domu zapachniało nagle siarką - po prostu musimy

założyć, że gdzieś niedaleko pojawił się rogaty diabeł i przedsięwziąć odpowiednie środki, aż do zorganizowania produkcji wody świeconej w skali przemysłowej włącznie”. I jak tylko usłyszałem, że jakaś istota w bieli wieszczy w imieniu Wędrowców, poczułem zapach siarki i ożywiłem się jak stary, bojowy koń na dźwięk trąby.

Odpowiednimi kanałami rozesłałem odpowiednie pytania. Stwierdziłem bez szczególnego zdziwienia, że w słowniku instrukcji, rozporządzeń i planów perspektywicznych naszego KOMKONu-2 nieobecne jest słowo “Wędrowiec”. Odbyłem audiencje w naszych najwyższych instancjach i już zupełnie bez żadnego zdziwienia upewniłem się, że w opinii naszych najważniejszych decydentów problem progresorskiej działalności Wędrowców wobec ludzkości właściwie nie istnieje, został zdjęty z porządku dziennego jako dawno przebyta choroba wieku dziecięcego. Tragedia Lwa Abalkina i Rudolfa Sikorskiego jakimś niepojętym sposobem jakby na zawsze uwolniła Wędrowców od podejrzeń.

Jedynym człowiekiem, u którego mój niepokój wywołał coś w rodzaju współczucia, okazał się Atos-Sidorow, prezydent mojego sektora i mój bezpośredni zwierzchnik. Osobiście wyraził zgodę i potwierdził podpisem zaproponowany przeze mnie temat - “Wizyta starszej pani”. Zezwolił także, abym zorganizował specjalną grupę, dla opracowania tego tematu. Mówiąc wprost, dał mi carte blanche w całej tej sprawie.

Zacząłem od tego, że zebrałem opinie ekspertów, najkompetentniejszych specjalistów w dziedzinie ksenopsychologii. Moim celem było zbudowanie modelu (najbardziej prawdopodobnego) działalności progresorskiej Wędrowców wobec ziemskiej ludzkości. Pominę szczegóły - wszystkie zebrane materiały posłałem znanemu historykowi nauki i erudycie Izaakowi Brombergowi. Teraz nawet nie pamiętam już, dlaczego to zrobiłem, przecież w tym czasie Bromberg od dawna nie zajmował się już ksenologią. Chodziło prawdopodobnie o to, że większość specjalistów, do których się zwracałem ze swoimi pytaniami, po prostu nie traktowała mnie poważnie (syndrom Sikorskiego!), a Bromberg, jak wszyscy doskonale wiedzieli, “zawsze miał w zapasie parę słów” i to na dowolny temat.

Tak czy inaczej Izaak Bromberg przysłał mi swoją odpowiedź, znaną obecnie wśród specjalistów jako “Memorandum Bromberga”.

Od tego memorandum wszystko się zaczęło.

Ja również od niego zacznę.

(koniec Wprowadzenia)

DOKUMENT I

KOMKON-2

sektor Ural-Północ

Maksym Kammerer

do rąk własnych, służbowe.

Data: 3 czerwca 94 roku

Autor: Izaak Bromberg, starszy konsultant KOMKONu-1, doktor nauk historycznych, laureat Nagrody Herodota (63, 69 i 72 rok), profesor, laureat Małej Nagrody Jana Amosa Komenskigo (57 rok),

doktor ksenopsychologii, doktor socjopatologii, członek rzeczywisty Akademii Socjologii (Europa), członek korespondent Laboratorium (Akademii Umiejętności) Wielkiej Tagory, magister realizacji abstrakcji Percevala.

Temat: "Wizyta starszej pani".

Treść: roboczy model progresorskiej działalności Wędrowców wobec ziemskiej ludzkości.

Kammerer,

bardzo proszę, aby nie uważał pan tego urzędowego "pisma przewodniego", w które zaopatrzyłem swój elaborat, za starczy sarkazm. W ten sposób chciałem po prostu podkreślić, że elaborat, chociaż jest ściśle osobisty, nosi zarazem absolutnie oficjalny charakter. Formę, "załącznika" do waszych raportów-meldunków zapamiętałem jeszcze z tych czasów, kiedy rzucał mi je na stół w charakterze argumentów (dosyć żalonych) nasz nieszczęsny Sikorski.

Moja opinia o waszej organizacji nie zmieniła się ani trochę, zresztą nigdy jej nie ukrywałem i niewątpliwie jest ona panu dobrze znana. Jednakże materiały, które był pan uprzejmy mi udostępnić, przestudiowałem z ogromnym zaciekawieniem. Jestem za nie niezmiernie wdzięczny. Chciałbym pana zapewnić, że w tej konkretnej dziedzinie pańskiej pracy ma pan w mojej osobie najgorętszego sojusznika i pomocnika.

Nie wiem, czy to przypadek, ale pański "Zestaw modeli" otrzymałem właśnie w momencie, kiedy sam zamierzałem przystąpić do zreasumowania moich wieloletnich przemyśleń o naturze Wędrowców i o ich nieuniknionym zderzeniu z cywilizacją Ziemi. Zresztą, według mojego najgłębszego przekonania,

Nie mam ani czasu, ani ochoty zajmować się drobiazgową krytyką waszego dokumentu. Nie mogę jednak nie odnotować, że modele "Ośmiornica" i "Konkwistador" wywołały u mnie atak niepowstrzymanego śmiechu z powodu ich anegdotycznego prymitywizmu, a model "Nowe powietrze", chociaż momentami sprawia wrażenia zupełnie banalnej konstrukcji, pozbawiony jest jakichkolwiek poważnych argumentów. Osiem modeli! Osiemnastu autorów, wśród których błyszczą takie gwiazdy jak Karibanow, Jasuda. Mikicz! Do diabła, można było się spodziewać czegoś oryginalniejszego! Jak pan tam sobie chce, Kammerer, ale nieodparcie powstaje przypuszczenie, że nie potrafił pan przekonać tych arcymistrzów, aby poważnie potraktowali pański, niepokój z powodu naszej wspólnej niewiedzy na temat problemu. Pańscy respondenci po prostu napisali, co im ślina na język przyniosła.

A teraz ja składam na piedestale pańskiej uwagi krótki w istocie rzeczy przyczynek do mojej przyszłej książki, którą zamierzam nazwać "Monokosm, szczyt, czy może pierwszy krok? Uwagi o ewolucji ewolucji". I znowu - nie mam ani czasu, ani ochoty na uzasadnianie swoich podstawowych tez szczegółowymi argumentami. Mogę tylko zapewnić pana, że każda z tych hipotez może być już dzisiaj uzasadniona w najbardziej wyczerpujący sposób, więc jeśli będzie pan miał do mnie jakieś pytania, chętnie na nie odpowiem. (Przy okazji - nie mogę się powstrzymać od uwagi, że pańska prośba o moją konsultację była być może pierwszym i jedynym jak na razie społecznie użytecznym aktem działalności pańskiej organizacji od początku jej istnienia).

A więc - MONOKOSM.

Wszelki Rozum, czy to technologiczny, czy rousseauistyczny, czy nawet heroniczny - w procesie

ewolucji pierwszej generacji przechodzi drogę od stanu maksymalnego rozproszenia (dzikość, wzajemna agresja, ubóstwo emocji, nieufność) do stanu maksymalnego zjednoczenia przy zachowaniu własnej indywidualności (życzliwość, znaczna kultura współżycia, altruizm, lekceważenie tego, co osiągnięte). Procesem tym kierują prawa biologiczne, biospołeczne i specyficznie społeczne. Sam proces jest już dobrze poznany i jest dla nas interesujący tylko o tyle, o ile stawia nas przed pytaniem - a co dalej? Zostawiając na boku romantyczne trele teorii pionowego postępu” możemy stwierdzić, że dla Rozumu istnieją tylko dwie realne, wykluczające się wzajemnie możliwości. Albo zastopowanie, samouspokojenie, zamknięcie w sobie, utrata zainteresowania światem fizycznym, albo wejście na drogę ewolucji drugiego rzędu, na drogę ewolucji planowanej i kierowanej, na drogę do Monokosmu,

Synteza Rozumów jest nieunikniona. I ofiarowuje nam nieprzeliczone mnóstwo nowych płaszczyzn percepcji świata, a to doprowadzi do niezmiernego zwiększenia ilości, a co najważniejsze jakości dostępnej i możliwej do przerobienia informacji, co z kolei doprowadza do zmniejszenia ilości cierpienia do minimum i zwiększenia sumy radości do maksimum. Pojęcie “dom” rozszerza się do granic

Wszechświata. (Zapewne z tego powodu pojawiło się to nieodpowiedzialne i powierzchowne pojęcie - Wędrowcy). Powstaje nowy metabolizm i jako jego skutek życie i zdrowie praktycznie stają się wieczne. Wiek jednostki staje się porównywalny z wiekiem obiektów kosmicznych - przy pełnym braku akumulacji zmęczenia psychicznego. Jednostka Monokosmu nie potrzebuje już twórców. Sama dla siebie jest twórcą i konsumentem kultury. Z kropli wody zdolna jest nie tylko odtworzyć kształt oceanu, ale i cały świat zamieszkujących go istot, w tym również rozumnych. I potrafi to wszystko, trapiąca nieprzerwanym, nienasyconym sensorycznym głodem.

Każda nowa jednostka rodzi się jako produkt synkretycznej sztuki - tworzą ją i fizjologowie, i genetycy, i inżynierowie, i psychologowie, i estetycy, i pedagodzy, i filozofowie Monokosmu. Proces ten trwa niewątpliwie kilkadziesiąt ziemskich lat i oczywiście jest najbardziej pasjonującym i najzaszczytniejszym rodzajem pracy Wędrowców. Współczesna ludzkość nie zna analogii do tego gatunku sztuki, jeśli nie liczyć tak rzadkich w historii przypadków Wielkiej Miłości.

STWARZAJ NIE BURZĄC! - oto hasło Monokosmu.

Monokosm nie może uważać swojej drogi rozwoju, swego modus vivendi, za jedynie słuszny. Ból i rozpacz wywołują u niego obrazy rozprężenia Rozumów, które nie dojrzały jeszcze do zespolenia z nim. Monokosm musi czekać aż Rozum w ramach ewolucji pierwszego rzędu rozwinię się do stadium ogólnoplanetarnego socjum. Ponieważ dopiero wówczas można zaczynać ingerencje, w biostruktury w celu przygotowania nosiciela Rozumu do przejścia w monokosmiczny organizm Wędrowców, Gdyż z ingerencji Wędrowców w losy zdeintegrowanych cywilizacji nic może wyniknąć nic dobrego.

Sytuacja dwuznaczna - Progresorzy Ziemi starają się w ostatecznym rachunku przyspieszyć historyczny proces powstania na zacofanych planetach doskonalszych społecznych struktur. W ten sposób jakby przygotowują nowe rezerwy materiału dla przyszłych prac Monokosmu.

Obecnie znamy trzy zadowolone z istniejącego stanu rzeczy cywilizacje.

Leonidanie. Cywilizacja nadzwyczaj stara (Uczynię mniej niż trzysta tysięcy lat, cokolwiek by mówił nieboszczyk Pak Chin). To przykład “powolnej” cywilizacji, która zastygła w jedności z naturą.

Tagorianie. Cywilizacja nacechowana hipertrofią przezorności. Trzy czwarte wszystkich mocy

skierowali na studiowanie szkodliwych skutków, jakie mogą wynikać z danego odkrycia, wynalazku, nowego procesu technologicznego i tak dalej. Ta cywilizacja wydaje się nam dziwna tylko dlatego, że nie jesteśmy w stanie zrozumieć, jak pasjonujące jest zapobieganie szkodliwym skutkom, jakiego ogromu intelektualnej i emocjonalnej satysfakcji to dostarcza. W rezultacie mają wyłącznie publiczny transport, lotnictwo nie istnieje, za to wspaniale rozwinęła się łączność przewodowa.

Trzecia cywilizacja - to nasza cywilizacja i teraz rozumiemy bez trudu, dlaczego Wędrowcy muszą się wmieścić przede wszystkim właśnie w nasze życie. My JESTEŚMY W RUCHU. A ponieważ jesteśmy w ruchu, możemy się pomylić w wyborze kierunku.

Teraz już nikt nie pamięta "ciągników", którzy z fantastycznym entuzjazmem próbowali forsować postęp na Tagorze i Leonidzie. Teraz wszyscy rozumieją, że ciągnięcie w górę tak doskonałych w swoim rodzaju cywilizacji to zajęcie równie bezmyślne i pozbawione jakichkolwiek perspektyw, jak próby przyspieszenia wzrostu drzewa, powiedzmy dębu, za pomocą szarpania go za gałęzie. Wędrowcy to nie "ciągniki", nie stawiają i nie mogą stawiać przed sobą takiego zadania, jak forsowanie postępu. Ich celem jest poszukiwanie, wyselekcjonowanie, przygotowanie do integracji! wreszcie integracja z Monokosmem dojrzałych do tego jednostek. Nie wiem i bardzo tego żałuje, według jakiej zasady Wędrowcy dokonują wyboru, ponieważ, chcemy tego czynnie chcemy, jeżeli mówić wprost, bez owijania w bawelnę, bez pseudonaukowej terminologii, to sprawa ma się ja k następuje:

Po pierwsze - wejście ludzkości na drogę ewolucji drugiego stopnia praktycznie oznacza przekształcenie homo sapiens w Wędrowca.

Po drugie - najprawdopodobniej nie każdy homo sapiens nadaje się do takiego przekształcenia.

Reasumując:

- ludzkość zostanie podzielona na dwie nierówne części;
- ludzkość zostanie podzielona na dwie nierówne części według nieznanymi nam parametrów;
- ludzkość zostanie podzielona na dwie nierówne części według nieznanymi nam parametrów, przy czym mniejsza część forsownie i na zawsze prześcignie większą;
- ludzkość zostanie podzielona na dwie nierówne CZĘŚCI według nieznanymi nam parametrów, jej mniejsza część forsownie i na zawsze prześcignie większą, a dokona tego wola oraz sztuka supercywilizacji zdecydowanie nam obcej.

Drogi Kammerer! Na początek w charakterze socjopsychologicznego ćwiczenia proponuje panu analizę tej nie pozbawionej nowych aspektów sytuacji.

Teraz, kiedy zasady progresorskiej działalności Monokosmu stały SIĘ dla pana mniej więcej jasne, z całą pewnością lepiej niż ja potrafi pan opracować główne kierunki kontrstrategii i taktyki, pozwalającej ujawnić sposoby działania Wędrowców. Jasne jest, że poszukiwaniom, wyselekcjonowaniu i przygotowaniom do zintegrowania dojrzałych do tego jednostek nie mogą nie towarzyszyć zjawiska i wydarzenia łatwe do uchwycenia przez uważnych obserwatorów. Można na przykład oczekiwać powstawania masowych idiosynkrazji, nowych prądów religijnych, głównie mesjanistycznych, pojawienia się ludzi o niezwykłych zdolnościach, nie wyjaśnionych zniknięć, nagłych, jakby za dotknięciem różdżki czarodziejskiej, wybuchów nowych, niezwykłych talentów u niektórych ludzi itd. Jeżeli chodzi o moje rekomendacje, to nalegalbym, aby nie spuszczał pan oka z Tagorian i Głowanów akredytowanych na Ziemi

- ich wrażliwość na wszystko co obce i nieznane jest znacznie wyższa od naszej. (W związku z tym należy także obserwować zachowanie ziemskich zwierząt, szczególnie stadnych, a także posiadających zaczątki intelektu!).

Rozumie się, w strefie pańskiej uwagi powinna znaleźć się nie tylko Ziemia, ale i Peryferie, a w pierwszej kolejności najmłodsze Peryferie.

Życzę powodzenia, pański Izaak Bromberg

(koniec Dokumentu I)

DOKUMENT 2

Do Prezydenta sektora "Ural-Północ"

Data: 15 czerwca 94 roku

Autor: Maksym Kammerer, naczelnik wydziału NW

Temat: 009 "Wizyta starszej pani"

Treść: śmierć Izaaka Bromberga

Prezesie,

Profesor Izaak Bromberg zmarł nagle w sanatorium "Staroleka" rano 11 czerwca br. W jego prywatnym archiwum nie znaleziono żadnych notatek na temat modelu "Monokosm" i w ogóle żadnych notatek na temat Wędrowców. Nadal prowadzimy poszukiwania. Załączam podpisane przez lekarza świadectwo zgonu.

Maksym Kammerer

(koniec Dokumentu 2)

Dokładnie w tej kolejności przeczytał te dokumenty młody stażysta Tojwo Głumow na samym początku 95-ego roku i oczywiście nie mogły nie wywrzeć one na nim określonego wrażenia, nie mogły nie spowodować zupełnie konkretnych skojarzeń, tym bardziej że umacniały jego najgorsze przewidywania. Nasiona padły na żyzną glebę. Tojwo niezwłocznie odszukał świadectwo zgonu i nie znalazłszy w nim dokładnie niczego, co mogłoby potwierdzić jego podejrzenia, jak się wydawało tak oczywiste, zażądał spotkania ze mną.

Dobrze pamiętam ten ranek - szary, śnieżny, z prawdziwą zamiecią za oknami gabinetu. Być może właśnie na skutek kontrastu, dlatego że ciałem byłem tu, na Uralu, w zimie, i moje oczy bezmyślnie śledziły strumyczki topniejącego śniegu spływające po szybach, oczyma zaś duszy widziałem tropikalną noc nad ciepłym oceanem i obnażone martwe ciało, które kołysze się w fosforyzującej pianie, liżącej łagodny, piaszczysty brzeg. Przed chwilą otrzymałem właśnie z Ośrodka informacje o trzecim śmiertelnym wypadku na wyspie Matuku.

W tym właśnie momencie stanął przede mną Tojwo Głumow, więc odpędziłem widziadło i poprosiłem chłopca, żeby usiadł i mówił.

Bez żadnego wstępu zapytał mnie, czy śledztwo w sprawie śmierci doktora Bromberga zostało zamknięte.

Z niejakim zdziwieniem odpowiedziałem, że właściwie nie było żadnego śledztwa, podobnie jak nie było żadnych szczególnych okoliczności w fakcie śmierci półtorawiekowego starca.

W takim razie gdzie są notatki doktora Bromberga na temat "Monokosmu"?

Wyjaśniłem, że takie notatki najprawdopodobniej w ogóle nigdy nie istniały. List doktora Bromberga, jak można przypuszczać, jest najpewniej improwizacją. Doktor Bromberg był wspaniałym improwizatorem.

Czy wobec tego należy rozumieć, że list doktora Bromberga i świadectwo zgonu, które Maksym Kammerer wysłał do Prezydenta, znalazły się obok siebie czystym przypadkiem?

Patrzyłem na niego, na jego wąskie wargi, bardzo kategorycznie zaciśnięte, na jego wypukłe czoło wysunięte do przodu z kosmykiem białych włosów i było dla mnie absolutnie oczywiste, co chciałby ode mnie teraz usłyszeć. "Tak, Tojwo, mój chłopcze - chciał usłyszeć - myślę dokładnie to samo, co ty. Bromberg domyślał się wielu rzeczy, więc Wędrowcy usunęli go z drogi, a bezcenne notatki ukradli". Ale nic podobnego naturalnie nie myślałem i nic podobnego naturalnie Tojwo nie powiedziałem. Dlaczego dokumenty znalazły się obok siebie, sam nie wiedziałem. Prawdopodobnie rzeczywiście przypadkowo. Tak też mu to wyjaśniłem.

Wtedy zapytał mnie, czy teoria Bromberga została praktycznie opracowana.

Odpowiedziałem, że ten problem jest właśnie dyskutowany. Wszystkie osiem modeli, które zaproponowali eksperci, miało mnóstwo słabych stron. Jeżeli zaś chodzi o hipotezy Bromberga, to okoliczności nie bardzo sprzyjały, aby traktować je poważnie.

Wtedy Tojwo zebrał się na odwagę i zapytał mnie wprost, czy ja, Maksym Kammerer, naczelnik wydziału, zamierzam zająć się opracowaniem hipotez Bromberga. I w tym właśnie momencie miałem wreszcie możliwość usatysfakcjonować Tojwo. Usłyszał ode mnie dokładnie to, co chciał usłyszeć.

- Tak, mój chłopcze - powiedziałem mu. - Właśnie po to wziąłem cię do mojego wydziału.

Wyszedł uszczęśliwiony. Ani on, ani ja nie podejrzewaliśmy wówczas, że w tej właśnie chwili zrobił swój pierwszy krok do Wielkiej Iluminacji.

Jestem psychologiem-praktykiem. Kiedy mam do czynienia z jakimkolwiek człowiekiem, bez fałszywej skromności mogę powiedzieć, że w każdym momencie dokładnie orientuje się w stanie jego ducha, widzę kierunek jego myśli i całkiem nieźle mogę przewidzieć jego zachowanie. Jednakże gdyby poproszono mnie, żebym wyjaśnił w jaki sposób to robię, albo co gorsza kazano mi narysować, sformułować słownie, jaki obraz powstaje w mojej świadomości, znalazłbym się w niezmiernie kłopotliwej sytuacji. Jak każdy psycholog-praktyk musiałbym uciec się do analogii z dziedziny sztuki albo literatury. Powołałbym się na bohaterów Szekspira albo Dostojewskiego, albo Strogowa, albo Michała Anioła, albo Johannaesa Surda.

Tak więc Tojwo Głumow przypominał mi Meksykanina Riviere. Mam na myśli znane opowiadanie Jacka Londona. Dwudziesty wiek. A może nawet dziewiętnasty, nie pamiętam dokładnie.

Z zawodu Tojwo Głumow był Progresorem. Słyszałem od specjalistów, że mógłby się stać Progresorem najwyższej klasy, Progresorem asem. Miał wszelkie dane po temu. Wspaniale panował nad sobą, umiał zachować zimną krew, miał też niezwykle refleks, a był także urodzonym aktorem i mistrzem impersonacji. I przepracował jako Progresor nieco ponad trzy lata, a potem bez jakichkolwiek widocznych przyczyn podał się do dymisji i wrócił na Ziemię. Jak tylko zakończył okres aklimatyzacji, zadał odpowiednie pytania WMI i bez szczególnego wysiłku dowiedział się, że jedyną organizacją na naszej planecie, która może mieć związek z jego nowymi zamierzeniami jest KOMKON-2.

Pojawił się przede mną w grudniu 94-ego roku przepełniony lodową gotowością odpowiadania na wciąż od nowa i od nowa zadawane pytania, dlaczego on, Tojwo, tak obiecujący, idealnie zdrowy, wszechstronnie zachęcany, rzuca nagle swoją pracę, swoich nauczycieli, swoich kolegów, dezorganizuje szczegółowo opracowane plany, burzy pokładane w nim nadzieje... O nic podobnego, rzecz jasna, nie zamierzałem go pytać. W ogóle nie interesowało mnie, dlaczego nie ma ochoty nadal być Progresorem.

Interesowało mnie, dlaczego zapragnął zostać Kontraprogresorem, jeśli można tak to określić.

Zapamiętałem jego odpowiedź. Że odczuwa niechęć do samej idei Progresorstwa. Jeśli wolno, nie będzie zagłębiać się w szczegóły. Po prostu on, Progresor, ma negatywny stosunek do Progresorstwa. I tam (pokazał kciukiem za siebie) przyszła mu do głowy bardzo banalna myśl: w czasie kiedy on, potrząsając pantalonami i wymachując szpadą, szlifuje bruki placów w Arkanarze, tu (dźgnął wskazującym palcem sobie pod nogi) jakiś spryciarz w modnym płaszczu koloru tęczy i z metawizorem przez ramię, przechadza się po ulicach Swierdłowska. O ile on, Tojwo Głumow, się orientuje, ta prosta myśl niewielu ludziom przychodzi do głowy, a jeżeli nawet przychodzi, to w kretyńsko humorystycznej lub romantycznej formie. Zaś jemu, Tojwo, myśl ta nie daje spokoju - żadnym bogom nie wolno zezwalać na wtrącanie się w nasze sprawy, bogowie nie mają czego szukać na Ziemi, ponieważ "łaski bogów - to wiatr, który napęnia nasze żagle, lecz może także zrobić nawałnice". (Później z wielkim trudem odnalazłem ten cytat - to z Verblibena).

Było widać gołym okiem, że mam przed sobą katolika, znacznie bardziej katolickiego niż papież, to znaczy niż ja. I bez dalszych rozmów wziąłem go do siebie i od razu posadziłem nad tematem "Wizyta starszej pani".

Okazał się znakomitym pracownikiem. Był energiczny, pełen inicjatywy, nie wiedział co to zmęczenie. I - a to bardzo rzadkie w jego wieku - nie załamywały go niepowodzenia. Nie istniały dla niego negatywne rezultaty. Więcej - negatywne rezultaty badań cieszyły go w równym stopniu, co i bardzo rzadkie pozytywne. Jakby z góry nastawił się na to, że za jego życia nie uda się wykryć nic określonego i umiał czerpać zadowolenie z samej (częstokroć dosyć nudnej) procedury analizowania minimalnie podejrzanych NW Ciekawe, że moi starzy pracownicy - Grisza Serosowin, Sandro Mtbewari Andruisza Kikin i inni - jakby podciągnęli się przy Tojwo, przestali się obijać, stali się mniej ironiczni i znacznie bardziej rzeczowi. Nie dlatego, by brali z niego przykład, o tym nie mogło być mowy, był dla nich zbyt młody, zbyt zielony, ale jakby zaraził ich swoją powagą, umiejętnością koncentracji, najbardziej zaś, jak przypuszczam, zdumiewała ich ta ciężka nienawiść do przedmiotu badania, nienawiść, której można się było domyśleć w nim i której oni sami byli dokładnie pozbawieni. Kiedyś przypadkowo wspomniałem przy Griszy Serosowinie o Meksykaninie Rivierze i dość szybko wykryłem, że wszyscy oni odszukali i przeczytali owo opowiadanie Jacka Londona.

Jak i Riviera, Tojwo nie miał przyjaciół. Otaczali go wierni i niezawodni koledzy, on sam był wiernym i niezawodnym partnerem w dowolnym przedsięwzięciu, ale przyjaciół jakoś nie zdobył do końca. Jak sądzę dlatego, że zbyt trudno było być jego przyjacielem - nigdy nie był z siebie zadowolony i dlatego nigdy i w niczym nie pobbłażał swemu otoczeniu. Była w nim bezlitosna koncentracja na jednej sprawie, jaką widywałem tylko u wybitnych uczonych i twórców. O jakiej przyjaźni można tu mówić...

Ale jednego przyjaciela jednak miał. Mam na myśli jego żonę, Asię Stasową, czyli Anastazję Piotrownę. Kiedy poznałem ją, była to urocza, małeńka kobietka, cała jak żywe srebro, cięta jak osa i w najwyższym stopniu skłonna do wypowiedania pochopnych opinii i nieopatrznych sądów. Dlatego atmosfera w ich domu była zawsze podobna do atmosfery pola bitwy i było bardzo przyjemnie obserwować (z boku) ich wybuchające co chwila słowne batalie.

Było to tym bardziej zdumiewające widowisko, że normalnie, to znaczy w miejscu pracy, Tojwo

sprawił wrażenie człowieka raczej flegmatycznego i małomównego. Jakby go coś hamowało, jakby nieustannie obmyślał coś niezwykle ważnego. Ale nie przy Asi. Tylko nie przy Asi. Przy niej był Demostenesem, Cyceronem, apostołem Pawłem, prorokował, układał aforyzmy, i niech mnie diabli wezmą, nawet ironizował! Trudno sobie nawet wyobrazić, do jakiego stopnia ci dwaj ludzie byli różni - milczący i powolny Tojwo-Głumow-Przy-Pracy i ożywiony, gadatliwy, filozofujący, nieustannie błędzący i żarliwie walczący w obronie swoich błędów Tojwo-Głumow-W-Domu. W domu nawet jadł ze smakiem. Nawet kaprysił z powodu jedzenia. Asia była degustatorką-gastronomem i zawsze gotowała sama. Tak było przyjęte w domu jej matki, tak było przyjęte w domu jej babki. Ta tradycja, która zachwycała Tojwo Głumowa w domu Stasowych, sięgała korzeniami niepamiętnych czasów, kiedy nie istniała jeszcze molekularna gastronomia i zwyczajny kotlet trzeba było przygotowywać za pomocą skomplikowanych i nie bardzo apetycznych procesów...

A poza tym Tojwo miał jeszcze mamę. Codziennie, czy był, czy nie był zajęty, gdziekolwiek przebywał, zawsze znajdował chwilę, żeby się z nią połączyć przez wideokanał i zamienić chociażby kilka słów. Nazywali to "kontrolnym dzwonkiem". Wiele lat temu poznałem Maję Głumową, ale okoliczności towarzyszące temu były tak smutne, że już nie spotkaliśmy się nigdy później. Nie z mojej winy. Mówiąc krótko, miała o mnie jak najgorsze zdanie i Tojwo o tym wiedział. Nigdy ze mną o matce nie rozmawiał. Ale o mnie rozmawiał z nią niejednokrotnie - dowiedziałem się o tym znacznie później...

To rozdziwienie niewątpliwie musiało mu ciążyć. Nie sądzę, żeby Maja Głumowa mówiła mu o mnie źle. I już jest zupełnie nieprawdopodobne, żeby opowiedziała synowi straszną historię śmierci Lwa Abalkina. Najpewniej, kiedy Tojwo zaczynał opowiadać o swoim bezpośrednim przełożonym, Maja po prostu uchylała się od podjęcia tematu. Ale tego wystarczyło aż za dużo.

Przecież dla Tojwo nie byłem zwyczajnym zwierzchnikiem. Przecież w istocie rzeczy byłem jego jedynym zwolennikiem, jedynym człowiekiem w całym bezkresnym KOMKONie-2, który absolutnie poważnie, bez żadnej taryfy ulgowej traktował problem, którym Tojwo był opanowany bez reszty. Oprócz tego Tojwo odnosił się do mnie z niezwykle pietyzmem. Jego szefem był legendarny Mak Sym! Tojwo jeszcze nie było na świecie, kiedy Mak Sym wysadzał w powietrze wieże radiacyjne na planecie Saraksz, walczył z faszystami... Nieprześcigniony Biały Hetman! Organizator akcji "Wirus", po której zakończeniu sam Superprezydent nadał mu przydomek Big Bug! Tojwo jeszcze chodził do szkoły, kiedy Big Bug przeniknął do Wyspiarskiego Imperium, do samej Stolicy... pierwszy z Ziemi i nawiasem mówiąc ostatni... Oczywiście wszystko to były wyczyny Progresora, ale przecież powiedziane jest: Progresora może pokonać jedynie Progresor! A Tojwo był gorącym wyznawcą tej właśnie prostej idei.

I jeszcze jedno. Tojwo nie miał pojęcia, w jaki sposób będzie działać, kiedy wreszcie ingerencja Wędrowców w nasze ziemskie sprawy zostanie wykryta i udowodniona ponad wszelką wątpliwość. Żadne analogie historyczne dotyczące wielowiekowej działalności ziemskich Progresorów nie mogły być tu przydatne. Dla irukańskiego herzoga zdemaskowany Progresor-Ziemianin był demonem lub praktykującym czarownikiem. Dla kontrwywiadowcy Imperium Wyspiarskiego tenże Progresor był zręcznym szpiegiem z Kontynentu. A czym jest zdemaskowany Progresor-Wędrowiec z punktu widzenia pracownika KOMKONu-2?

Zdemaskowanego czarownika należało spalić; niezłe byłoby również umieścić go w kamiennym

lochu i zmusić do robienia złota z własnego gówna. Sprytnego szpiega z Kontynentu należało zwerbować, albo zlikwidować. A jak należało postąpić ze zdemaskowanym Wędrowcem? Tojwo nie znał odpowiedzi na te i podobne im pytania. I nikt z jego znajomych nie znał na nie odpowiedzi. Większość z nich same pytania uznała za nietaktowne. “Co robić” jeśli w śrubę twojej motorówki wplątała się broda wodnika? Rozplątywać? Odcinać bez najmniejszej litości? Łapać wodnika za kark?” Ze mną Tojwo na te tematy nigdy nie rozmawiał. A nie rozmawiał dlatego, że - jak mi się wydaje - na początek przekonał sam siebie, że Big Bug, legendarny Biały Hetman, chytry Mak Sym dawno już wszystko przemyślał, przeanalizował wszystkie możliwe warianty, sporządził szczegółowe opracowanie i zatwierdził je na samej górze.

Nie rozczarowywałem go. Oczywiście do czasu.

Muszę powiedzieć, że Tojwo Głumow w ogóle był człowiekiem skłonny do apriorycznych sądów. (Zresztą jak mogło być inaczej przy jego fanatyzmie). Na przykład w żaden sposób nie chciał uznać związku swojej “Wizyty starszej pani” z od dawna rozpracowywanym u nas tematem “Rip Van Winkle”. Przypadki nagłych i absolutnie nie wyjaśnionych zaginień ludzi w siedemdziesiątych - osiemdziesiątych latach i równie nagłych i nie wyjaśnionych ich powrotów były jedynym punktem “Memorandum Bromberga”, który Tojwo kategorycznie odrzucał i w ogóle odmawiał wzięcia pod uwagę. “To jakaś pomyłka - twierdził. - Albo zrozumieliśmy go opacznie. Po co to potrzebne Wędrowcom, żeby ludzie nagle gdzieś znikali?” I to w sytuacji, kiedy “Memorandum Bromberga” stało się jego katechizmem, programem jego pracy, pracy na całe życie... Najwidoczniej nie mógł i nie chciał przyznać, że Wędrowcy posiadają moc nieomal nadnaturalną. Przyznanie czegoś takiego uczyniłoby jego prace bezwartościową. No bo rzeczywiście, jaki może mieć sens śledzenie, poszukiwanie i łowienie istoty, która w każdej chwili zdolna jest rozsypać się w powietrzu i następnie zmontować w innym punkcie?

Ale przy całej swojej skłonności do apriorycznych sądów, nigdy nie próbował walczyć ze stwierdzonymi faktami. Pamiętam jak Tojwo, jeszcze całkiem zielony neofita, przekonał mnie, abyśmy się włączyli w dochodzenie w sprawie tragedii na wyspie Matuku.

Zajmował się tym rzecz jasna sektor “Oceania”, w którym o żadnych Wędrowcach nikt nawet nie chciał słyszeć. Ale sprawa była unikalna, pozbawiona jakichkolwiek precedensów w przeszłości (mam szczerą nadzieję, że w przyszłości nic podobnego już nigdy się nie wydarzy), więc przyjęto nas obu bez słowa sprzeciwu.

Na wyspie Matuku od niepamiętnych czasów sterczał starodawny, na wpół rozwalony radioteleskop. Kto go zbudował i po co, nie” udało się nigdy ustalić.

Wyspę uważano za bezludną, odwiedzały ją tylko nieliczne grupy delfinerów oraz przypadkowe pary, które szukały pereł w przejrzystych zatoczkach na północnym wybrzeżu. Jednakże, jak dosyć szybko stało się wiadome, właśnie tam w ciągu ostatnich kilku lat zamieszkała na stałe zdublowana rodzina Głowanów. (Obecne pokolenie może już nie pamięta, co to za jedni. Przypominam: to rasa rozumnych kynoidów z planety Saraksz, która na pewien okres nawiązała bardzo bliskie kontakty z Ziemianami. Te wielkogłowe, mówiące psy towarzyszyły nam w wędrówkach po Kosmosie i miały nawet na naszej planecie coś w rodzaju przedstawicielstwa dyplomatycznego. Mniej więcej trzydzieści lat temu odeszły i dalszych kontaktów z nami już nie nawiązały).

Na południu wyspy była okrągła wulkaniczna zatoka. Nieopisanie brudna, jej brzegi zarosły jakąś

obrzydliwą, cuchnącą pianą. Prawdopodobnie paskudztwo to było pochodzenia organicznego, dlatego że przyciągało nieprzebrane stada morskich ptaków. Poza tym wody zatoki były martwe. Nawet wodorosty rozmnażały się w nich nad wyraz niechętnie.

I na tej wyspie miały miejsce zabójstwa. Ludzie zabijali się nawzajem i było to do takiego stopnia straszne, że nikt nie miał odwagi i to w ciągu kilku miesięcy - poinformować o tym środków masowego przekazu.

Dość szybko wyjaśniło się, że wina, a ściślej przyczyna wszystkiego, kryje się w szczególnych właściwościach gigantycznego syluryjskiego mięczaka, prehistorycznego, monstrualnego głowonoga, który jakiś czas temu osiedlił się na dnie zatoki. Prawdopodobnie zepchnął go jakiś tajfun. Biopole tego potwora, od czasu do czasu wypływającego na powierzchnię, wywierało depresyjny wpływ na wysoko rozwiniętą psychikę. W szczególności u człowieka powodowało katastrofalne obniżenie poziomu motywacji - pod wpływem tego biopola człowiek stawał się aspołeczny, mógł zabić kolegę, który niechcący wrzucił do wody jego koszulę. I zabijał.

A więc Tojwo Głumow wbił sobie do głowy, że ten mięczak to właśnie owa przepowiedziana przez Bromberga jednostka Monokosmu w procesie powstawania. Trzeba przyznać, że na samym początku, kiedy faktów jeszcze w ogóle nie było, te pomysły wyglądały dosyć przekonująco (jeśli w ogóle można mówić o logice konstrukcji, zbudowanej na fantastycznych przesłankach). I trzeba było widzieć, jak krok za krokiem cofał się pod naporem nowych danych, które codziennie zdobywali wstrząśnięci tragedią specjaliści od głowonogów oraz paleontolodzy...

Dobił Tojwo pewien student biolog, który wygrzebał w Tokio japoński manuskrypt z trzynastego wieku, zawierający opis tego, czy też może identycznego monstrum (cytuje według swego dziennika): "We Wschodnich morzach widuje się katapumoridako w kolorze purpury o nieprzebranej mnogości długich cienkich rąk, wysuwa się z okrągłej muszli wielkości trzydziestu stóp z ostrzami i grzebieniami, oczy jakby gnijące, cały obrośnięty polipami. Kiedy wypływa, leży na wodzie płaski, na podobieństwo wyspy, rozsiewając wokół smród, wydziela białą materię, by przywabić ptaki i ryby. Kiedy się gromadzą, łapie je rękami bez żadnego wyboru i pożywia się nimi. W nocy księżycowe leży kołysząc się na falach, wlepiając oczy w nieboskłon, rozmyśla o głębinach wód, które go zrodziły. Rozmyślenia te są tak posępne, że porażają ludzi i stają się ludzie podobni tygrysom".

Pamiętam, że kiedy Tojwo to przeczytał, milczał przez kilka minut pogrążony w głębokiej zadumie, następnie westchnął - jak mi się wydało - z ulgą i powiedział: "Tak. To nie to. I bardzo dobrze, byłoby, zbyt obrzydliwe". Według jego wyobrażeń Monokosm powinien być istotą wystarczająco wstrętną, ale może jednak nie do tego stopnia.

Monokosm w postaci syluryjskiej ośmiornicy nie pasował do jego wyobrażeń. (Dokładnie tak, jak - co chciałbym przy okazji zaznaczyć - nie pasował ten mięczak do żadnych wyobrażeń specjalistów: ze swoim jadowitym biopolem, ze swoim rozsuwanym pancerzem, ze swoim wiekiem, przewyższającym czterysta milionów lat).

W ten sposób pierwsza poważna sprawa, do której zabrał się Tojwo Głumow, skończyła się na niczym. Podobnych niewypałów miał później jeszcze немало i wreszcie w połowie 98-ego roku poprosił mnie o pozwolenie zajęcia się opracowaniem materiałów dotyczących masowych fobii. Zgodziłem się.

DOKUMENT 3

RAPORT - MELDUNEK

Nr 011/99

KOMKON-2

Ural-Północ

Data: 20 marca 99 roku

Autor: Tojwo Głumow, inspektor

Temat: 009 "Wizyta starszej pani"

Treść: kosmofobie, syndrom pingwina

Analizując przypadki powstawania kosmicznych fobii w ciągu ostatnich lat, doszedłem do wniosku, że w związku z tematem 009 mogą być dla nas interesujące materiały dotyczące tzw. syndromu pingwina.

Bibliografia:

Asmodeusz Moebius, referat na XIV konferencji kosmopsychologów, Ryga 84;

Asmodeusz Moebias, "Syndrom pingwina", PKP ("Problemy kosmicznej psychologii") 42, 84,

Asmodeusz Moebius, "Ponownie o etiologii syndromu pingwina", PKP 44, 85.

Dane biograficzne:

Moebius Asmodeusz Mateusz, doktor medycyny, członek korespondent Akademii Nauk Medycznych Europy, dyrektor filii Światowego Instytutu Kosmicznej Psychopatologii (Wiedeń), Urodzony w Insbruku 24.06.36. Wykształcenie: wydział psychopatologii (Sorbona), Drugi Instytut Medycyny Kosmicznej; (Moskwa), Wyższe kursy bezprzryżądowej akwanautyki (Honolulu). Podstawowe dziedziny zainteresowań naukowych, nie związane z wykonywanym zawodem: kosmo - i akwafobie. Od 81 do 91 zastępca przewodniczącego Głównej Komisji Lekarskiej Zarządu Floty Kosmicznej. Obecnie uznany powszechnie założyciel i czołowy reprezentant szkoły izw. polimorficznej kosmopsychopatologii.

7 października 84-ego roku na konferencji kosmopsychologów w Rydze doktor Asmodeusz Mutibius wygłosił referat o nowym rodzaju kosmofobii, którą nazwał "syndromem pingwina". Fobia ta jest rodzajem niegroźnej dewiacji, objawiającej się natrętnymi koszmarami, które nawiedzają chorych w czasie snu. Wystarczy, żeby chory zasnął, by natychmiast poczuł się zawieszony w kosmicznej pustce, absolutnie bezradny i bezsilny, samotny, przez wszystkich zapomniany, zdany na łaskę bezdusznych i nieprzewyciężonych mocy. Odczuwa fizycznie okropną duszność, wie, że jego ciało przenika na wskroś unicestwiający, twarde promieniowanie, czuje jak zanikają i mięknią jego kości, jak kipi i zaczyna wyparowywać mózg, ogarnia go nieprawdopodobnie intensywne uczucie rozpacz i wtedy chory się budzi.

Doktor Moebius nie uznał tej choroby za niebezpieczną, ponieważ po pierwsze - nie towarzyszyły jej żadne uszkodzenia psychiki albo somy, a po drugie - bardzo łatwo poddawała się ambulatoryjnej psychoterapii. "Syndrom pingwina" zwrócił uwagę doktora Moebiusa przede wszystkim dlatego, że był jakościowo nowym zjawiskiem, - do tej pory nigdy i przez nikogo nie opisanym. Zaskakujące było, że choroba atakowała ludzi bez względu na płeć, wiek czy zawód, ale nie mniej zaskakujące było i to, że nie wykryto żadnego związku syndromu z indeksem genetycznym pacjentów.

Doktor Moebius, zainteresowany etiologią zjawiska, poddał zebrany materiał (około tysiąca dwustu

przypadków) wielostronnej analizie według osiemnastu parametrów i z satysfakcją wykrył, że w siedemdziesięciu ośmiu procentach przypadków syndrom powstawał u ludzi, którzy odbywali dalekie kosmiczne podróże na statkach typu “Widmo-17- pingwin”. “Oczekiwałem czegoś podobnego - oświadczył doktor Moebius. - O ile pamiętam, to nie pierwszy przypadek, kiedy konstruktorzy oferują nam niedostatecznie atestowaną aparaturę. Właśnie dlatego nazwałem odkryty przeze mnie syndrom nazwą statku i niechaj posłuży to jako memento”.

Konferencja w Rydze, na podstawie referatu doktora Moebiusa, podjęła decyzję o czasowym zakazie eksploatacji statków typu “Widmo-17-pingwin” do czasu pełnego usunięcia wad powodujących fobie.

1. Stwierdziłem, że typ “Widmo-17-pingwin” został poddany wyjątkowo starannemu przeglądowi, w czasie którego nie wykryto jakichkolwiek istotnych konstruktorskich niedociągnięć, a więc bezpośrednia przyczyna powstawania “syndromu pingwina” nadal ukryta jest we mgle niejasności. (Zresztą, chcąc sprowadzić ryzyko do zera, Zarząd Floty Kosmicznej wycofał “pingwina” z linii pasażerskich i zalecił przystosowanie go do pilotów automatycznych). Przypadki “syndromu pingwina” zaczęły gwałtownie maleć i o ile wiem, ostatni był zarejestrowany trzynaście lat temu.

Jednak nadal nie byłem usatysfakcjonowany. Niepokoilo mnie te 22 procent badanych, których związki ze statkami typu “Widmo-17-pingwin” pozostawały niejasne. Z tych 22 procent (według danych doktora Moebiusa) 7 procent nigdy nie widziało “pingwina” na oczy, a pozostałe 15 procent nie mogło na ten temat powiedzieć nic rozsądnego; albo nie pamiętali, albo nigdy nie interesowały ich typy statków, na których wychodzili w kosmos.

Rzecz jasna, znaczenie statystyki w hipotezie o związku “pingwinów” z powstawaniem fobii nie ulega żadnej kwestii. Jednak 22% to wcale nie mało. Ponownie poddałem materiały Moebiusa wielopłaszczyznowej analizie według dwudziestu dodatkowych parametrów, przy czym parametry te wybierałem, przynajmniej, najzupełniej przypadkowo, ponieważ nie miałem w zapasie żadnej, nawet najskromniejszej, hipotezy. Parametry były na przykład takie: daty startów z dokładnością do miesiąca, miejsce urodzenia z dokładnością do regionu, hobby z dokładnością do klasy... i tak dalej...

Jednakże sprawa okazała się nad wyraz prosta i tylko odwieczne przywiązanie ludzkości do przekonania o izotropowości Wszechświata nie pozwoliło doktorowi Moebiusowi zauważyć tego, co mnie udało się dostrzec. Stwierdziłem co następuje: “syndrom pingwina” atakował ludzi latających trasami kosmicznymi na Saule, na Redutę i na Kasandre. Inaczej mówiąc przez podprzestrzenny sektor przejścia 41/02.

“Widmo-17-pingwin” nie był niczemu winien. Po prostu znakomitą większość statków w tym czasie (początek lat sześćdziesiątych) bezpośrednio z doków kierowano na trasę Ziemia - Kasandra - Zefir i Ziemia - Raduta - EN 2105. 80% statków na tych trasach stanowiły wówczas “pingwiny”. W ten sposób staje się jasne 78% doktora Moebiusa. Co zaś dotyczy pozostałych 22% chorych, to 20 latało tą trasą na statkach innego typu, a reszta, czyli 2%, nie latała nigdy i nigdzie, ale to nie odgrywa już żadnej roli.

2. Dane doktora Moebiusa są z całą pewnością niepełne. Wykorzystując zebrane przez niego historie choroby, a także dane archiwów Zarządu Floty Kosmicznej, stwierdziłem, że w interesującym nas okresie wymienioną trasą podróżowało 4512 osób w obie strony, spośród których 183 ludzi wielokrotnie

(przede wszystkim członkowie załóg). Ponad dwie trzecie tej grupy nigdy nie znalazło się w polu widzenia doktora Moebiusa. Nasuwa się wniosek, że albo okazali się odporni na “syndrom pingwina”, albo z nieznanych nam przyczyn nie uznali za konieczne zwracać się do lekarza. W związku z tym wydało mi się nadzwyczaj ważne ustalenie:

- czy byli wśród członków tej grupy ludzie, którzy okazali się odporni na syndrom;
- jeśli tacy byli, stwierdzić, czy nie da się ustalić przyczyn tej odporności albo chociażby bio-socjo-psychologicznych parametrów, według których osoby te różnią się od podatnych na chorobę.

Z tymi pytaniami zwróciłem się do doktora Moebiusa. Odpowiedział mi, że ten problem nigdy go nie interesował, ale intuicyjnie skłonny był przypuszczać, że istnienie tego rodzaju parametrów jest bardzo mało prawdopodobne. W odpowiedzi na moją prośbę zgodził się zlecić zbadanie tego problemu jednemu ze swych laborantów, ostrzegając mnie, że na rezultaty przyjdzie czekać co najmniej dwa, trzy miesiące.

Aby nie tracić czasu, rozpocząłem poszukiwania w archiwach Centrum Medycznego Zarządu Floty Kosmicznej i spróbowałem przeanalizować dane dotyczące wszystkich 124 pilotów, którzy regularnie latali interesującą nas trasą, w interesującym nas czasie.

Elementarna analiza dowiodła, że w każdym razie dla pilotów prawdopodobieństwo zachorowania na “syndrom pingwina” wynosi mniej więcej 1/3 i NIE ZALEŻY od liczby rejsów na “niebezpiecznej” trasie. Tak więc wydaje się bardzo możliwe, że: a) dwie trzecie ludzi jest odpornych na “syndrom pingwina” i b) człowiek pozbawiony odporności ma szansę zachorować z prawdopodobieństwem bliskim 1. Właśnie dlatego kwestia odróżnienia człowieka uodpornionego od nieodpornego wydaje się szczególnie interesująca.

3. Uważam za konieczne dosłowne przytoczenie uwag doktora Moebiusa zawartych w przypisach do jego artykułu »Raz jeszcze o etiologii “syndromu pingwina”«. Doktor Moebius pisze:

“Otrzymałem interesującą informację od kolegi Kriwokłykowa (krymska filia Drugiego Instytutu Medycyny Kosmicznej). Po publikacji mojego referatu na ryską konferencję napisał do mnie, że od wielu miesięcy śni mu się sny, których fabuła jest niezwykle podobna do koszmarów dręczących chorych dotkniętych “syndromem pingwina” - wydaje mu się, że jest zawieszony w przestrzeni kosmicznej, daleko od gwiazd i planet, nie czuje swojego ciała, ale widzi je, podobnie jak nieprzeliczone obiekty kosmiczne, zarówno fantastyczne, jak i realne. Ale w odróżnieniu od innych chorych nie odczuwa przy tym żadnych negatywnych emocji. Przeciwnie, przeżycia te wydają mu się interesujące i przyjemne. Ma wrażenie, że jest samodzielnym ciałem niebieskim, które porusza się po wybranej przez siebie trajektorii. Sam ten ruch daje mu zadowolenie, ponieważ zmierza do określonego celu, obiecującego mnóstwo ciekawych przeżyć. Widok konstelacji gwiazdnych wywołuje u niego uczucie niepojętego zachwyty itd. Przyszło mi do głowy, że w osobie kolegi Kriwokłykowa mamy do czynienia z przypadkiem pewnej inwersji “syndromu pingwina”, która w świetle zreferowanych przeze mnie w artykule wyników badań może być niezmiernie interesująca teoretycznie. Jednakże rozczarowałem się - okazało się, że kolega Kriwokłykow nigdy nie podróżował na gwiazdolotach typu “Widmo-17-pingwin”. Niezależnie od tego wciąż mam nadzieję, że inwersja “syndromu pingwina” jednak realnie istnieje jako zjawisko psychiczne i będę wdzięczny każdemu lekarzowi, który zechce nadesłać mi jakiegokolwiek nowe dane dotyczące tego tematu”.

Informacja:

Kriwokłykow Iwan Georgiewicz, lekarz psychiatra bazy “Lemboy” (EN 2105), w interesującym nas

okresie niejednokrotnie przebywał trasę Ziemia - Reduta - EN 2105 na gwiazdolotach różnych typów. Zgodnie z danymi WMI Kriwoklykow w chwili obecnej znajduje się w bazie "Lemboy".

W czasie mojej rozmowy z doktorem Moebiusem dowiedziałem się, że w ostatnich latach stwierdził "pozytywną" inwersję "syndromu pingwina" jeszcze u dwóch ludzi. Odmówił podania ich nazwisk ze względu na obowiązujące go zasady etyki lekarskiej.

Nie podejmuję się komentowania zjawiska inwersji "syndromu pingwina" w szczegółach, jednakże wydaje mi się oczywiste, że nosicielej tej inwersji powinno być więcej niż jest to nam wiadome obecnie

Tojwo Głumow

(koniec Dokumentu – 3)

Dokument nr 3 przytoczyłem tu nie tylko dlatego, że był to jeden z najbardziej obiecujących raportów złożonych przez Tojwo Głumowa. Czytając go wciąż od nowa, poczułem, że - jak mi się wydaje - po raz pierwszy wpadliśmy na prawdziwy trop, chociaż wtedy nawet mi do głowy nie przyszło, że od niego rozpocznie się łańcuch wydarzeń, które odegrają decydującą rolę w moim związku z Wielką Iluminacją.

21 marca przeczytałem meldunek Tojwo o "syndromie pingwina".

25 marca Szaman urządził swoją demonstrację w Instytucie Dziwaków (dowiedziałem się o tym dopiero w kilka lat później).

A 27 marca Tojwo przedstawił mi raport-meldunek w sprawie fukamifobii.

DOKUMENT 4

RAPORT-MELDUNEK

nr 013/99

KOMKON-2

Ural-Północ

Data: 26 marca; 99 roku

Autor: Tojwo Gumow, inspektor

Temat: 009 "Wizyta starszej pani"

Treść: fukamifobia historia poprawki do "Prawa o obowiązkowej bioblokadzie".

Analizując wypadki powstawania masowych fobii w ciągu ostatnich stu lat, doszedłem do wniosku, że w ramach tematu 009 mogą być dla nas interesujące wydarzenia, które poprzedzały przyjęcie 2.02.85 roku przez Światową Radę, znanej poprawki do "Prawa o bioblokadzie".

Należy wziąć pod uwagę:

1. Bioblokada czyli Procedura Tokijska jest systematycznie stosowana na Ziemi i na Peryferiach przez około 150 lat. Bioblokada jest terminem nienaukowym, używanym na ogół przez dziennikarzy. Lekarze specjaliści nazywają ten zabieg fukamizacją na część sióstr Natalii i Hosiko Fukami, które po raz pierwszy uzasadniły teoretycznie i zastosowały ten zabieg w praktyce. Celem fukamizacji jest podwyższenie naturalnego poziomu zdolności adaptacyjnej organizmu ludzkiego do zewnętrznych warunków (bioadaptacja). W swojej klasycznej formie fukamizację stosuje się wyłącznie wobec noworodków, zaczynając od ostatniego okresu rozwoju płodu. O ile udało mi się stwierdzić, zabieg ten podzielony jest na dwa etapy.

Wprowadzenie surowicy (kultura "bakterii życia") o kilka rzędów wielkości zwiększa odporność organizmu na wszelkie znane infekcje wirusowe, bakteryjne, zarodnikowe, a także na wszelkie trucizny organiczne. (I to jest właściwa bioblokada).

Odhamowywanie pod wzgórze mikrofalami wielokrotnie podwyższa zdolność organizmu do przystosowywania się do takich fizycznych czynników środowiska zewnętrznego jak twarde promieniowanie, szkodliwy skład atmosfery, wysokie temperatury. Poza tym wielokrotnie wzrastają regeneracyjne zdolności organizmu, zwłaszcza jeżeli chodzi o uszkodzone organy wewnętrzne, zwiększa się zakres widma świetlnego, które odbiera siatkówka, wzmacnia się podatność na psychoterapie itd.

Pełny tekst instrukcji dotyczącej fukamizacji przytaczam poniżej.

2. Fukamizację stosowano do 85 roku jako zabieg obowiązkowy zgodnie z prawem "O obowiązkowej bioblokadzie". W 82 roku pod obrady Światowej Rady wniesiono projekt poprawki przewidującej zniesienie obowiązku fukamizacji dla noworodków urodzonych na Ziemi. Poprawka przewidywała zmiany fukamizacji na tak zwaną szczepionkę, dojrzałości, przeznaczoną dla osób, które ukończyły szesnaście lat. W 85 roku Rada Światowa (większością zaledwie 12 głosów) przyjęła poprawkę do "Ustawy o obowiązkowej bioblokadzie". Zgodnie z tą poprawką obowiązek fukamizacji został zniesiony, jej stosowanie zależy wyłącznie od zgody rodziców. Osoby, które nie przeszły fukamizacji w wieku niemowlęcym, otrzymały prawo; w myśl którego mogły się następnie nie zgodzić na "szczepionkę dojrzałości", jednakże w takim wypadku traciły one możliwość pracy w zawodach związanych ze znacznymi fizycznymi i psychicznymi obciążeniami. Według danych WMI, w chwili obecnej żyje na Ziemi

około miliona nastolatków, które nie przeszły fukamizacji i około dwudziestu tysięcy osób, które nie zgodziły się na “szczepionkę dojrzałości”.

INSTRUKCJA

w sprawie przeprowadzenia etapowej antenatalnej i postnatalnej fukamizacji noworodka

1. Ustalić ścisły termin początku akcji porodowej metodą całkowitej parzystej. Zalecane metody diagnozowania: radioimmunologiczny analizator NIMB, zestaw FDH-4 i FDH-8.

2. Nie później niż 18 godzin przed pierwszymi skurczami macicy określić objętość płodu i objętość wód płodowych ODDZIELNIE.

Uwaga: poprawkę Lazarewicza stosować **OBOWIĄZKOWO!** Obliczenia przeprowadzać **WYŁĄCZNIE** według normografów Instytutu Bioadaptacji, biorąc pod uwagę różnice rasowe.

3. Ustalić niezbędną dawkę surowicy UNBLAF. Pełną, stabilną i trwałą immunizację na białkowe czynności i związki organiczne białkopodobne oraz struktury gantoidalne otrzymujemy przy dawce 6.8094 gamma-molów na gram tkanki limfoidalnej.

Uwaga: A) Przy indeksie objętości mniejszej niż 3.5 dawkę zwiększa się o 16%;

B) Przy ciąży wielorakiej łączna dawka surowicy musi być zmniejszona o 8% na każdy płód (bliźnięta - 896, trojaczki -16% itd.).

4. Na sześć godzin przed pierwszymi skurczami poprzez przednią ścianę brzucha w jamę owodni wprowadzić za pomocą zero-iniektora obliczoną dawkę surowicy UNBLAF. Wprowadzać surowice od strony przeciwnej niż plecy płodu.

5. 15 minut po urodzeniu wykonać scyntygrafię grasicy noworodka. Przy indeksie grasicy mniejszym niż 3.8 wprowadzić dodatkowo przez pępowinę 2.6750 gamma-molów surowicy UNBLAF-II.

6. W razie podwyższenia temperatury NATYCHMIAST umieścić noworodka w sterylnym inkubatorze. Pierwsze karmienie piersią dopuszczalne jest dopiero po 12 godzinach normalnej temperatury.

7. 72 godziny po urodzeniu przeprowadza się odhamowanie adaptacyjnych stref podwzgórza. Topograficzne określenie stref oblicza się według programu BINAR-I. Objętość stref podwzgórza powinna odpowiadać:

I - strefa - 36 42 neurony

II strefa -178-194 neurony

III strefa -125-139 neuronów

IV strefa - 460-510 neuronów

V stref a - 460-510 neuronów

Uwaga: przy przeprowadzaniu pomiarów należy upewnić się o całkowitym zaabsorbowaniu porodowej hematomy.

Otrzymane dane należy wprowadzić do BIO-IMPULSU. RĘCZNA KOREKTA IMPULSU JEST KATEGORYCZNIE ZAKAZANA!

8. Umieścić noworodka w operacyjnej komorze BIO-IMPULSU. Przy umiejscawianiu główki SPECJALNIE UWAŻAĆ, żeby odchylenie według skali “stereotaks” wynosiło nie więcej niż 0.0014.

9. Odhamowywanie adaptacyjnych-stref podwzgórza mikrofalami przeprowadza się w

paradoksalnej fazie snu, co odpowiada 1,8-2,1 mw rytmu alfa encefalogramu.

10. Wszystkie obliczenia muszą być **OBOWIĄZKOWO** odnotowane w karcie informacyjnej noworodka.

Jeżeli chodzi o istotę wydarzeń, które poprzedzały w 85-ym roku przyjęcie poprawki do "Ustawy o bioblokadzie" ustaliłem co następuje:

1. W ciągu stu pięćdziesięciu lat praktykowania fukamizacji nie odnotowano ani jednego przypadku, w którym fukamizacja zaszкодziłaby dziecku. Dlatego nie ma nic zaskakującego w stwierdzeniu, że do wiosny 81 roku brak zgody matek na fukamizację należał do niezmiernie rzadkich wyjątków. Zdecydowana większość lekarzy, z którymi się konsultowałem, do wyżej wymienionej daty w ogóle nie słyszała nigdy o takich przypadkach. Zaś wystąpienia przeciwko fukamizacji o charakterze teoretycznym oraz propagandowym zdarzały się często. Oto najbardziej charakterystyczne publikacje w naszym stuleciu:

Ch. Debouque "Skonstruować człowieka?" Lyon, 32.

Pośmiertne wydanie ostatniej książki wybitnego (zapomnianego dzisiaj) antyeugenika. Druga część książki jest w całości poświęcona krytyce fukamizacji, określonej jako "bezpardonowe, a zarazem podstępne wtargnięcie w naturalny stan żywego organizmu". Podkreśla nieodwracalny charakter zmian, spowodowanych przez fukamizację ("... nigdy i nikomu nie udało się ponownie zahamować odhamowanego podwzgorza..."), ale główny nacisk kładzie się na tę okoliczność, że ów typowo eugeniczny zabieg, poparty autorytetem ogólnoswiatowego prawa, od bardzo wielu już lat stanowi szkodliwy precedens dla przeprowadzania nowych eksperymentów eugenicznych.

K. Pumiwur "Reader - prawa i obowiązki" Bangkok, 15.

Autor, wiceprezydent Światowego Stowarzyszenia Readerów, jest zwolennikiem maksymalnie aktywnego uczestnictwa we wszystkich działaniach ludzkości. Występuje przeciwko fukamizacji, opierając się na osobiście zebranych danych statystycznych. Twierdzi, że fukamizacja wpływa negatywnie na powstawanie u człowieka reader-potencjału i chociaż relatywnie ilość readerów nie uległa zmniejszeniu w epoce fukamizacji, jednakże w tym okresie, nie pojawił się ani jeden reader, którego moc dałaby się porównać z mocą tych, którzy działali pod koniec 21-ego i na początku 22-ego wieku. Wzywa do zmiany dekretu o przymusowej fukamizacji, na początek chociażby dla dzieci i wnuków readerów. (Wszystkie materiały zawarte w książce zestarzały się beznadziejnie - w trzydziestych latach pojawiła się cała plejada readerów o niebywałej mocy - Aleksander Solemba, Peter Dzmomny i inni).

August Ksesys "Kamień obraży" Ateny, 37

Znany teoretyk i misjonarz neofilizmu poświęcił swoją broszurę gwałtownej krytyce fukamizacji, zresztą krytyce raczej poetyckiej niż racjonalnej. W ramach pojęć neofilizmu, jako oryginalnej wulgaryzacji teorii lakowtza, Wszechświat jest kontenerem nookosmosu, do którego po śmierci wpływa mentalno-emocjonalny kod osoby ludzkiej. Jak można sądzić, Ksesys nie ma pojęcia o fukamizacji, wyobraża ją sobie jako coś w rodzaju apendektomii i namiętnie wzywa do wyrzeczenia się brutalnego zabiegu, który okalecza i deformuje mentalno-emocjonalny kod. (Według danych WMI po przyjęciu poprawki ani jeden z członków

kongregacji neofilstów nie zgodził się na fukamizację swoich dzieci).

Tosyvill "Człowiek zuchwały". Birmingham, 51.

Ta monografia reprezentuje dosyć typowy przykład całej biblioteki książek i broszur poświęconej propagandzie likwidacji postępu technicznego. Dla wszystkich tego rodzaju publikacji charakterystyczna jest apologia spetryfikowanych cywilizacji w rodzaju cywilizacji Tagory albo biocywilizacji Leonidy. Autorzy twierdzą, że postęp techniczny na Ziemi spełnił już swój cel. Ekspansja człowieka w Kosmosie potraktowana jest jako swego rodzaju społeczna rozrzutność, w perspektywie prowadząca do okrutnego rozczarowania. Człowiek Rozumny przekształca się w człowieka Zuchwałego, który w pogoni za ilością racjonalnej i emocjonalnej informacji traci jej jakość. (Należy przez to rozumieć, że informacja w psychokosmosie ma nieporównywalnie większą wartość niż informacja o Zewnętrznym Kosmosie w najszerszym sensie tego słowa). Fukamizacja okazuje ludzkości niedźwiedzią przysługę właśnie a go, że sprzyja wyrodzeniu się Człowieka Rozumnego w Człowieka Zuchwałego, rozszerzając i faktycznie stymulując jego ekspansjonistyczne instynkty. Autorzy tych książek proponują, aby na początek odstąpić chociażby od odhamowywania podwzgórza.

K. Oksowiju "Ruch pionowy". Kalkuta, 61.

K. Oksowiju - kryptonim uczonego albo też grupy uczonych, którzy sformułowali i wprowadzili do obiegu znaną teorię tak zwanego pionowego postępu ludzkości. Pseudonimów nie udało mi się rozszyfrować. Mam podstawy przypuszczać, że K. Oksowiju to albo przewodniczący KOMKONu-1, Genadij Kosmow, albo ktoś z jego zwolenników z Akademii Społecznego Prognozowania. Książka, o której mowa, jest pierwszą monografią "Wertykalistów". Rozdział szósty poświęcony jest szczegółowej analizie wszystkich aspektów fukamizacji - biologicznych, społecznych i etycznych - z punktu widzenia teorii pionowego postępu. Podstawowe niebezpieczeństwo fukamizacji autor upatruje w możliwości jej niekontrolowanego wpływu na genotyp. Na potwierdzenie tych obaw autor przytacza po raz pierwszy (o ile udało mi się stwierdzić) dużo danych o wielu przypadkach dziedziczenia cech organizmu poddanego fukamizacji. Omówiono ponad sto przypadków, w których embrion jeszcze w łonie matki produkował przeciwciała, charakterystyczne dla skutków działania surowicy UNBLAF i ponad dwieście przypadków noworodków, które dziedzicznie miały już odhamowane podwzgórze. Ponadto zarejestrowano ponad trzydzieści przypadków przekazywania tych cech w trzecim pokoleniu. Autor podkreśla, że chociaż zjawiska te nie stanowią bezpośredniego niebezpieczeństwa dla zdecydowanej większości ludzi, niemniej są jaskrawą ilustracją faktu, że fukamizacja wcale nie jest tak dokładnie zbadana, jak twierdzą jej zwolennicy. Nie sposób nie zauważyć, że materiał został zebrany z niezwykłą starannością i podany niezmiernie sugestywnie. Na przykład kilka efektownych akapitów poświęconych jest tak zwanym alergikom G, dla których odhamowywanie podwzgórza jest przeciwwskazane. G - alergia jest niezwykle rzadkim stanem organizmu, który to stan można bardzo łatwo stwierdzić u płodu jeszcze w łonie matki i dlatego nie stanowi żadnego niebezpieczeństwa - takiego noworodka po prostu nie poddaje się drugiemu etapowi fukamizacji. Jeśli zaś odhamowanie podwzgórza będzie G-alergikowi przekazane jako cecha dziedziczna, medycyna okaże się bezsilna i przyjdzie na świat człowiek nieuleczalnie chory. K. Oksowiju udało się wykryć jeden

taki przypadek i nie szczędzi czarnej farby przy jego omawianiu. Jeszcze bardziej apokaliptyczny obraz maluje autor opisując świat przyszłości, w którym ludzkość pod wpływem fukamizacji rozpada się na dwa genotypy. Monografie te wydawano wielokrotnie i odegrała ona najwidoczniej niepoślednią rolę w dyskusji nad Poprawką. Interesujący natomiast jest fakt, że ostatnie wydanie książki (Los Angeles 99) nie zawiera ani słowa o fukamizacji. Można to zrozumieć tylko w taki sposób, że autor jest w pełni usatysfakcjonowany przyjęciem Poprawki i los 99,9...% ludzkości, która w dalszym ciągu poddaje swoje dzieci fukamizacji absolutnie go nie interesuje.

Uwaga: kończąc ten rozdział, uważam za konieczne podkreślić, że wybór materiałów przeprowadziłem według zasady oryginalności zawartych w nich koncepcji kierując się moim osobistym punktem widzenia. Z góry przepraszam, jeśli niezbyt wysoki poziom mojej erudycji wywoła niezadowolenie.

2. Najwidoczniej pierwsza odmowa poddania dziecka fukamizacji, która pociągnęła za sobą całą epidemię, została zarejestrowana w izbie porodowej osiedla K'sawa (Afryka równikowa). 17.04.81 roku wszystkie trzy rodzące, które zostały przyjęte w ciągu doby, zupełnie niezależnie od siebie, w różnej formie, ale absolutnie kategorycznie zabroniły personelowi szpitalnemu dokonywania fukamizacji. Rodząca A. (pierwszy poród) motywowała swój zakaz życzeniem męża, który niedawno zginął w nieszczęśliwym wypadku. Rodząca B. (pierwszy poród) nawet niczego nie próbowała uzasadniać, a najmniejsze próby przekonania jej powodowały histerie. "Nie chce i koniec!" - powtarzała. Rodząca C. (trzeci poród, protestowała po raz pierwszy) zachowywała się bardzo rozsądnie i spokojnie, i uzasadniała swoją decyzję niechęcią do decydowania o losie dziecka bez jego wiedzy i zgody. Jak urośnie, niech samo decyduje" - oświadczyła.

(Cytuje te uzasadnienia dlatego, że są bardzo typowe. Z pewnymi wariacjami argumentacja powtarzała się w 95% przypadków. W literaturze przedmiotu przyjęta jest następująca klasyfikacja. Odmowa zgody typu A - w pełni racjonalna, ale uzasadnienie w zasadzie nie do sprawdzenia, 25%. Odmowa typu B - fobia w czystej formie, zachowanie histeryczne, irracjonalne, 65%. Odmowa typu C - argumenty natury etycznej, 10%. Typ R (rzadki) - nadzwyczaj różnorodne w formie i treści odwoływanie się do przyczyn natury religijnej, związki z egzotycznymi systemami filozoficznymi itd., około 5%.

18 kwietnia, w tym samym szpitalu, nie wyraziły zgody jeszcze dwie kobiety, podobne odmowy zarejestrowano na innych oddziałach położniczych regionu. Pod koniec miesiąca tego rodzaju przypadki liczono już w setki i rejestrowano je we wszystkich zakątkach naszego globu, a 5 maja przyszła pierwsza wiadomość o odmowie już poza granicami Ziemi (Mars, Wielki Syrt). Epidemia, wybuchając i opadając, trwała do 85 roku, także w momencie przyjęcia Poprawki liczba kobiet odmawiających zgody na szczepienie wyniosła około 50 000 (0,1% wszystkich rodzących).

Rozwój epidemii pod kątem fenomenologii zbadany został bardzo dokładnie i z wysokim stopniem wiarygodności, jednakże pomimo to nie udało się znaleźć przekonującego wyjaśnienia.

Stwierdzono na przykład, że epidemia miała jakby dwa geograficzne ośrodki - jeden w Afryce równikowej i drugi na północno-wschodniej Syberii. Narzuca się analogia z prawdopodobnymi ośrodkami powstania człowieka, ale analogia ta, rzecz jasna, niczego nie wyjaśnia.

Drugi przykład. Odmowy były zawsze indywidualne, jednakże w granicach każdego oddziału

położniczego kolejna odmowa jakby powodowała następną. Stąd określenie “łańcuch odmów z N ogniów”. Liczba N mogła być bardzo znaczna - na oddziale położniczym kliniki w Howeko “łańcuch odmowy” zaczął się 11. 09.83 roku i trwał do 21.09. wciągając wszystkie rodzące, które były przyjęte do szpitala, tak że ostateczna długość “łańcucha” wyniosła 19 kobiet.

W niektórych szpitalach epidemia wybuchała i wygasła wielokrotnie. Na przykład w Bernie, w Pałacu Niemowlęcia powracała dwanaście razy.

Pomimo wszystkiego, co zostało powiedziane, w znakomitej większości szpitali na Ziemi nikt o odmowach nawet nie słyszał. Podobnie rzecz się miała w większości pozaziemskich kolon. Jednakże w tych miejscowościach, w których wybuchała epidemia (Wielki Syrt, baza Saula, Kurort), rozwijała się według tych samych prawidłowości co na Ziemi.

3. Na temat przyczyn powstania fukamifobii istnieje dość obszerna literatura. Zaznajomiłem się z najbardziej istotnymi pozycjami, które zarekomendował mi profesor Deruyod z Centrum Psychologii w Lhassie. Jestem zbyt słabo przygotowany, aby sporządzić kompetentny przegląd tych prac, ale wydaje mi się, na ile mogę sądzić, że nie istnieje jakakolwiek spójna teoria dotycząca fukamifobii. Dlatego ograniczę się do przytoczenia fragmentu mojej rozmowy z profesorem Deruyodem.

Pytanie: Czy uważa pan za możliwe, aby fobia powstała u człowieka zdrowego i zadowolonego z siebie?

Odpowiedz: Szczerze mówiąc uważam to za niemożliwe. Fobia u zdrowego człowieka powstaje zawsze jako skutek przeciążenia psychicznego bądź fizycznego. Jest raczej wątpliwe, czy taki człowiek może być zadowolony z siebie. Inna rzecz, że człowiek, szczególnie w naszych burzliwych czasach, nie zawsze zdaje sobie sprawę z tego, że przechodzi kryzys... Subiektywnie może uważać, że jest absolutnie w porządku, może być zadowolony i pojawienie się fobii z punktu widzenia dyletanta może wydawać się niepojęte...

Pytanie: Czy dotyczy to również fukamifobii?

Odpowiedź: Wie pan, cięża z pewnego punktu widzenia do dziś jeszcze okryta jest tajemnicą... Wystarczy powiedzieć, że dopiero bardzo niedawno zrozumieliśmy, że psychika ciężarnej kobiety jest psychiką binarną, wynikiem diabelnie skomplikowanego oddziaływania ukształtowanej już psychiki dorosłego człowieka i antenatalnej psychiki płodu, o której dzisiaj praktycznie nie wiemy nic... A jeżeli dodać nieuniknione stresy fizyczne, nieuniknione neurotyczne zjawiska... Wszystko to, mówiąc z grubsza, stanowi grunt sprzyjający powstawaniu fobii. Jednakże wyciąganie wniosku, że tego rodzaju spekulacjami można cokolwiek wyjaśnić w tej zdumiewającej historii? To byłoby przedwczesne. Zdecydowanie przedwczesne i niepoważne.

Pytanie: Czy istnieją jakieś różnice między kobietami, które nie zgodziły się na szczepienie, a innymi? Fizjologiczne, psychiczne... Czy przeprowadzano badania tego rodzaju?

Odpowiedź: Mnóstwo. I nic konkretnego nie udało się stwierdzić. Ja osobiście zawsze uważałem i uważam do dzisiaj, że fukamifobia to fobia uniwersalna, jak na przykład fobia na zero-przejścia. Tylko że fobia na zero-przejścia jest zjawiskiem bardzo rozpowszechnionym, lek przed pierwszym zero-przejściem odczuwa praktycznie każdy człowiek niezależnie od płci i zawodu, później ten lek mija bez śladu... fukamifobia zaś jest zjawiskiem bardzo rzadkim, na szczęście. Mówię “na szczęście”, ponieważ do tej pory

nie umiemy fukamifobii leczyć.

Pytanie: Jeśli pana dobrze zrozumiałem, profesorze, nie znamy ani jednej konkretnej przyczyny wywołującej fukamifobie.?

Odpowiedź: Potwierdzonej przyczyny nie znamy. Istnieje natomiast mnóstwo, dziesiątki hipotez.

Pytanie: Na przykład?

Odpowiedź: Na przykład propaganda przeciwników fukamizacji. Na wrażliwą naturę, do tego jeszcze w ciąży, tego rodzaju propaganda mogła wywrzeć określony wpływ. Albo, powiedzmy, hipertrofia instynktu macierzyńskiego, instynktowna potrzeba uchronienia swojego dziecka od jakichkolwiek zewnętrznych czynników, chociażby nawet pożytecznych... Chce pan zaprzeczyć? Nie trzeba. Zupełnie się z panem zgadzam. Te wszystkie hipotezy w najlepszym wypadku wyjaśniają tylko nadzwyczaj wąski zestaw faktów. Jeszcze nikomu nie udało się wyjaśnić zjawiska "łańcucha odmowy" ani geograficznych osobliwości zjawiska... i absolutnie nikt nie rozumie, dlaczego to wszystko zaczęło się akurat na wiosnę 81 roku i to nie tylko na Ziemi, ale i bardzo daleko od Ziemi...

Pytanie: A dlaczego to się skończyło w 85 roku, to można objaśnić?

Odpowiedź: A wie pan, że można. Niech pan sobie wyobrazi, że sam fakt przyjęcia Poprawki mógł odegrać wystarczającą rolę w wygaśnięciu epidemii. Oczywiście, nadal zostaje wiele niejasności, ale to są szczegóły.

Pytanie: Czy nie sądzi pan, że epidemia mogła powstać w wyniku jakichś nieostrożnych eksperymentów?

Odpowiedź: Teoretycznie jest to możliwe. W swoim czasie sprawdzaliśmy i te hipotezę. Żadnych eksperymentów, które mogłyby spowodować masowe fobie na Ziemi się nie przeprowadza. Poza tym, niech pan nie zapomina, że fukamifobia powstała jednocześnie i poza granicami Ziemi...

Pytanie: A jakiego rodzaju eksperymenty mogłyby wywołać fobie?

Odpowiedź: Zapewne wyraziłem się niezbyt precyzyjnie. Mogę wyliczyć cały szereg, jeśli tak można powiedzieć, technicznych sposobów za pomocą których u pana, u zdrowego człowieka, można wywołać jakąś tam fobie. Proszę zwrócić uwagę - właśnie JAKĄŚ TAM. Na przykład będę pana naświetlać przy określonym reżymie koncentratem Neutrino i wywołam u pana fobie. Ale jaka to będzie fobia? Lek próżni? Lek wysokości? Lek leku? Tego nie mogę z góry przewidzieć. A o tym, żeby wywołać u człowieka taką specyficzną fobie jak fukamifobia, lek przed fukamizacją... nie, o tym nie może być mowy. Może tylko w połączeniu z hipnozą? Ale jak to zrealizować praktycznie? Nie, nie, to jest niepoważne.

4. Przy całej swojej geograficznej (i kosmograficznej) specyfice, przypadki fukamifobii pozostały jednak zjawiskiem nadzwyczaj rzadkim w praktyce lekarskiej i same z siebie raczej nie doprowadziłyby do zmian w prawodawstwie. Jednakże epidemia fukamifobii bardzo szybko z problemu medycznego stała się problemem o charakterze społecznym.

Sierpień 81. Pierwsze zarejestrowane protesty ojców, noszące jeszcze prywatny charakter (skargi do miejscowych i regionalnych instytucji medycznych, pojedyncze listy do miejscowych Rad.)

Październik 81. Pierwsza zbiorowa petycja 124 ojców i dwóch lekarzy położników do Komisji Ochrony Macierzyństwa i Małego Dziecka przy Radzie Światowej.

Grudzień 81. Na XW Światowym Kongresie Stowarzyszenia Położników po raz pierwszy występują

przeciwko fukamizacji grupy lekarzy i psychologów.

Styczeń 82. Powstaje grupa inicjatywna WEPI (nazywana tak według inicjałów założycieli), jednocząca lekarzy, psychologów, socjologów, filozofów i prawników. To właśnie grupa WEPI rozpoczęła i doprowadziła do końca walkę, o przyjęcie Poprawki.

Luty 82. Pierwszy miting przeciwników fukamizacji przed gmachem Światowej Rady.

Czerwiec 82. Formalne ukonstytuowanie się opozycji wobec "Ustawy" wśród członków Komisji Ochrony Macierzyństwa i Małego Dziecka.

Dalsza chronologia wydarzeń moim zdaniem nie jest już interesująca. Czas (trzy i pół roku) potrzebny Światowej Radzie na wszechstronne przestudiowanie zagadnienia i przyjęcie Poprawki jest czasem dość typowym. Za to nietypowa wydaje mi się proporcja między ogromną liczbą zwolenników Poprawki i liczbą ekspertów. Przeważnie masowi zwolennicy nowego prawa - to minimum dziesięć milionów ludzi, eksperci zaś reprezentujący ich interesy (prawnicy, socjologowie, specjaliści w danej dziedzinie) - to zaledwie kilkadziesiąt osób. W naszym przypadku masowi zwolennicy Poprawki (kobiety odmawiające zgody, ich mężowie, krewni, przyjaciele, sympatycy, osoby popierające ruch z przyczyn religijnych lub filozoficznych) właściwie nigdy nie byli naprawdę masowi. Liczba uczestników ruchu nigdy nie przewyższała pół miliona. Jeżeli zaś chodzi o specjalistów, to jedna tylko grupa WEPI w chwili przyjęcia Poprawki liczyła 536 specjalistów.

5. Po przyjęciu Poprawki odmowy nadal trwały, chociaż zmniejszyła się ich liczba i to znacznie. Ale co najważniejsze - w ciągu całego 85 roku zmienił się charakter epidemii. Ścisłej mówiąc, nie można już teraz tego zjawiska nazwać epidemią. Jakie by istniały prawidłowości ("łańcuchy odmowy", koncentracja w określonych punktach geograficznych), wszystkie znikły. Teraz każdy przypadek odmowy nosi absolutnie przypadkowy, jednostkowy charakter, przy czym uzasadnienia typu A i B w ogóle znikły, przeważa powoływanie się na Poprawkę. Z tego widocznie powodu, faktów odmowy nie uważa się za przejaw fukamifobii. Ciekawe, że wiele kobiet, które w swoim czasie kategorycznie nie zgadzały SIĘ na fukamizację, a także aktywnie uczestniczyły w ruchu zwolenników Poprawki, obecnie całkowicie utraciły zainteresowanie tym problemem i przy porodzie nawet nie wykorzystują prawa odwołania się do Poprawki. Z kobiet, które nie wyraziły zgody na fukamizację w latach 81-85, przy następnych porodach nadal nie zgadzało się zaledwie 12%. Trzecia odmowa fukamizacji zdarza się niezmiernie rzadko, w ciągu piętnastu lat zarejestrowano kilka przypadków.

6. Uważam za konieczne szczególne zwrócenie uwagi na dwie okoliczności:

A) Prawie zupełne zniknięcie fukamifobii po przyjęciu Poprawki objaśnia się zwykle dobrze znanymi czynnikami natury psychosocjologicznej. Współczesny człowiek akceptuje tylko te ograniczenia-i obowiązki, które wypływają z moralno-etycznych zasad rządzących społecznością. Każde inne ograniczenie, czy też zobowiązanie innego rodzaju, człowiek odbiera z uczuciem (nieuświadomionej) wrogości i (instynktownego) wewnętrznego sprzeciwu. Wobec tego naturalne jest, że zwalczwszy przymus fukamizacji, człowiek traci powód do wrogości i zaczyna traktować fukamizację neutralnie, jak każdy zwyczajny zabieg medyczny.

Zgadzając się w całości z przytoczonymi wyżej argumentami, niemniej jednak podkreślam możliwość innej interpretacji, interesującej z punktu widzenia tematu 009. Konkretnie - cała zreferowana

przez mnie historia pojawienia się i zniknięcia fukamifobii daje się znakomicie wytłumaczyć jako rezultat ukierunkowanego i precyzyjnie obliczonego działania obcej i rozumnej woli.

B) Epidemia fukamifobii dokładnie zbiega się w czasie z pojawieniem się “syndromu pingwina” (patrz mój raport-meldunek nr 011/99).

Sapienti sat

Tojwo Głumow

(koniec Dokumentu 4)

Teraz już mogę stwierdzić z całkowitą pewnością, że właśnie ten konkretny raport-meldunek spowodował w mojej świadomości jakby zrzućnięcie pętających ją więzów, co w ostatecznym rezultacie doprowadziło mnie do Wielkiej Iluminacji. I przy tym, chociaż brzmi to teraz dosyć zabawnie, ten zwrot zaczął się od mimowolnej irytacji, którą wywołały u mnie niedwuznaczne i dość prostackie aluzje Tojwo do jakoby złowieszczej roli “wertykalistów” w historii Poprawki. W oryginale raportu ten akapit jest upstrzony grubymi, czerwonymi podkreśleniami - świetnie pamiętam, że zamierzałem solidnie zmyć Tojwo głowę za to, że do takiego stopnia puścił wodze swojej fantazji. Ale wtedy właśnie dotarły do mnie informacje o wizycie Szamana w Instytucie Dziwaków, nareszcie doznałem olśnienia i zapomniałem o zmywaniu jakichkolwiek głów.

Moja sytuacja była okropna, ponieważ nie miałem z kim porozmawiać. Po pierwsze nie miałem żadnych propozycji. A po drugie nie wiedziałem, z kim jeszcze mogę rozmawiać, a z kim już mi nie wolno. Znacznie później wypytywałem swoich pracowników, czy moje zachowanie w te straszne (dla mnie) kwietniowe dni 99-ego roku nie wydało im się cokolwiek dziwne. Sandro był wtedy zajęty tematem “Rip Van Winkle”, sam znajdował się w stanie absolutnego oszołomienia i dlatego nic nie zauważył. Grisza Serosowin twierdził, że byłem wtedy szczególnie skłonny do przemilczeń i na każdą jego inicjatywę odpowiadałem zagadkowym uśmiechem. A Kikin jak to Kikin - dla niego już wtedy było “wszystko jasne”. Zaś Tojwo Głumowa moje ówczesne zachowanie niewątpliwie musiało doprowadzać do szału. I doprowadzało. Tylko że ja naprawdę nie wiedziałem, co mam zrobić! Ganiałem swoich pracowników jednego po drugim do Instytutu Dziwaków, za każdym razem czekałem, co z tego wyniknie, nigdy nic nie wynikało, więc gonilem tam następnego i znowu czekałem.

W tym samym czasie Gorbowski umierał u siebie w Krasławie.

W tym samym czasie Atos-Sidorow czekał aż go znowu położą do szpitala i nie było żadnej pewności, że kiedyś jeszcze z niego wyjdzie.

W tym samym czasie Dania Łogowienko pierwszy raz po wieloletniej przerwie wprosił się do mnie na herbatę i przez cały wieczór wspominał jakieś nieistotne głupstwa z dawnych lat.

W tym czasie nie podjąłem jeszcze żadnej decyzji.

I wtedy wybuchła ta historia w Małej Peszy.

Nocą, z piątego na szósty maja, wyrwała mnie z łóżka służba awaryjna. W Małej Peszy (nad rzeką Peszą, która wpada do Zatoki Czeskiej Morza Barentsa) pojawiły się jakieś potwory, które spowodowały wybuch paniki wśród mieszkańców osiedla Grupa awaryjna w drodze, śledztwo trwa.

Zgodnie z obowiązującą pragmatyką byłem zobowiązany wysłać na miejsce wypadku któregoś ze

swoich inspektorów. Posiałem Tujwo.

Niestety raport - meldunek inspektora Głumowa o wydarzeniach; jego działalności w Małej Peszy zaginął. Mnie w każdym razie nie udało się go odnaleźć. Tymczasem bardzo chciałbym pokazać, w jaki sposób Tojwo prowadził dochodzenie i to pokazać możliwie szczegółowo, dlatego więc będę musiał uciec się do rekonstrukcji wydarzeń, opartej na mojej pamięci i na rozmowach z uczestnikami tych wydarzeń.

Nietrudno zauważyć, że proponowana rekonstrukcja (jak również wszystkie następne) zawiera oprócz niewątpliwych, potwierdzonych faktów również pewne opisy, metafory, epitety, dialogi i inne elementy literatury pięknej. Bo jednak chciałbym, aby czytelnik zobaczył przed - sobą żywego Tojwo, takiego jakim go pamiętam. A same dokumenty do tego nie wystarczą. Zresztą, jeżeli się chce, można traktować moje rekonstrukcje jako szczególnego rodzaju zeznania świadka.

MAŁA PESZĄ. 6 MAJA 99 ROKU. WCZESNE RANO.

Z góry osiedle Mała Pesza wyglądało tak, jak powinno wyglądać takie osiedle o godzinie czwartej rano. Sennie. Spokojnie. Pusto. Około dziesięciu różnobarwnych dachów półkolem, placyk zarośnięty trawą, kilka gliderów stojących tu i ówdzie na skarpie nad rzeką. Rzeka wydawała się nieruchoma, bardzo zimna i niezyczliwa, strzępy białawej mgły wisiały nad sitowiem po przeciwnej stronie.

Na ganku klubu stał człowiek z głową zadartą do góry i śledził wzrokiem glider. Jego twarz wydała się Tojwo znajoma i nie było w tym nic dziwnego - Tojwo znał wielu ze służby awaryjnej, mniej więcej co drugiego.

Posadził maszynę obok ganku i wyskoczył na wilgotną trawę. Ranek był tu zimny. Człowiek na ganku miał na sobie ogromną puchatą kurtkę z mnóstwem specjalnych kieszeni, z gniazdkami do najróżniejszych butli, regulatorów, gaśnic oraz innych przedmiotów koniecznych w czasie pełnienia służby.

- Dzień dobry - powiedział Tojwo. - Bazyli, jeśli się nie mylę?

- Witaj, Głumow - odparł tamten, wyciągając rękę. - Zgadza się Basile. Dlaczego tak długo? Tojwo wyjaśnił mu, że zero-T tu, w Małej Peszy, nie wiadomo dlaczego nie przyjmuje, że wyrzuciło go w Dolnej Peszy, że musiał wziąć tam glider i lecieć dodatkowe czterdzieści minut ponad rzeką.

- Jasne - powiedział Basile i obejrzał się na pawilon. - Tak właśnie myślałem. Rozumiesz, oni w panice prawie rozwalili swoją zero-kabine.

- To znaczy, że nikt z nich do tej pory nie wrócił?

- Nikt.

- I nic więcej się nie działo?

- Nic. Nasi zakończyli oględziny półtorej godziny temu, nie znaleźli nic istotnego i wrócili przeprowadzać analizy. Mnie zostawili, żebym nikogo nie wpuszczał i przez ten cały czas reperowałem zero-kabine.

- Zreperowałeś?

- Raczej tak.

Domki w Małej Peszy były stare, zbudowane w ubiegłym stuleciu, utylitarna architektura,

naturyzowana organika, jadowicie odblaskowe kolory - skutek starości. Wokół każdego domku - gęste zarośla czarnej porzeczki, bzu, polarnych truskawek, a od razu za półkolem domów las, żółte pnie gigantycznych sosen, szarozielone we mgle iglaste korony, a nad nimi już dosyć wysoko - szkarłatny dysk słońca na północnym wschodzie...

- Jakie analizy? - zapytał Tojwo,

- No, znaleźliśmy tu sporo śladów... To paskudztwo wylazło najwidoczniej z tej tam willi i rozpełzło się na wszystkie strony... - Basile zaczął pokazywać rękami. - Na krzakach, na trawie, gdzieś na werandach został wyschnięty śluz, jakieś łuski, grudki czegoś takiego...

- A co widziałeś na własne oczy?

- Nic. Kiedy przylecieliśmy, wszystko wyglądało dokładnie jak teraz, tylko mgła jeszcze wisiała nad rzeką.

- To znaczy, że świadków nie ma?

- Najpierw myśleliśmy, że uciekli wszyscy co do jednego. Ale później okazało się, że nie. O, w tamtym domku, ostatnim, na samym brzegu, świetnie sobie żyje dosyć sędziwa osoba, która nie miała najmniejszego zamiaru uciekać...

- Dlaczego? - zapytał Tojwo.

- Nie mam pojęcia! - odpowiedział Basile, unosząc brwi i rozkładając ręce. - Wyobrażasz sobie? Dookoła panika, wszyscy latają jak opętani, drzwi zero-kabiny wyrwali z korzeniami, a ta jak gdyby nigdy nic... Potem my przylatujemy, rozwijamy szyki bojowe, szable do boju, bagnet na broń i wtedy ona wychodzi na ganek i surowym głosem prosi nas o zachowanie ciszy, ponieważ swoimi wrzaskami przeszkadzamy jej spać!

- A czy rzeczywiście była panika? - zapytał Tojwo.

- I to jeszcze jaka - powiedział Basile, ostrzegawczo unosząc dłoń. - Było tu osiemnaście osób, kiedy się to wszystko zaczęło. Dziewięcioro zwiąło na gliderach. Pięcioro uciekło przez kabinę. A troje oszalałych ze strachu popędziło do lasu, tam zablądziło, tak że odnaleźliśmy ich z najwyższym trudem. Możesz nie mieć żadnych wątpliwości, była panika, była... Była panika, były jakieś potwory i nawet ślady zostały. Ale dlaczego staruszka się nie przestraszyła, tego nie wiemy. W ogóle jest jakaś dziwna, ta staruszka. Słyszałem na własne uszy, jak oświadczyła naszemu dowódcy: "Trochę późno przylecieliście, gołąbeczki. Nic im już nie pomożecie. Wszystkie zginęły..."

Tojwo zapytał:

- Co ona miała na myśli?

- Nie wiem - odparł Basile z niezadowoleniem. - Przecież mówię, dziwna jakaś staruszka. Tojwo spojrział na jadowicie różową willę, zawierającą dziwną staruszkę. Ogródek wokół domu był wyraźnie znacznie bardziej zadbane. Obok stał glider.

- Nie radzę jej niepokoić - powiedział Basile. - Lepiej niech się sarna obudzi, może wtedy...

W tym momencie Tojwo wydechnął się, że za jego plecami coś się rusza i gwałtownie się odwrócił. Zza drzwi klubu wyzierała blada twarz o szeroko otwartych, przerażonych oczach. Przez kilka sekund nieznajomy milczał, następnie jego bezkrwiste wargi poruszyły się i człowiek powiedział ochryplym głosem:

- Wyjątkowo głupia historia, prawda?

- Stop, stop - dobrodusznie przerwał mu Basile i ruszył przed siebie, wystawiając dłonie. - Przepraszam, ale nie wolno tu wchodzić. Służba awaryjna.

Niemniej jednak nieznajomy przekroczył próg i natychmiast przystanął.

- Właściwie ja na nic nie pretenduje - powiedział i odkaszlnął. - Ale okoliczności... Proszę, mi powiedzieć, czy Grigorij i Ela już wrócili?

Wyglądał dosyć niezwykle. Miał na sobie futrzaną doche, której poły rozchyłały się tak, że można było zobaczyć bogato wyszywane futrzane buty, jak również jaskrawą letnią siatkową koszulę, jakie najchętniej nosili wtedy mieszkańcy ziem stepowych. Tak na oko mógł mieć 40-50 lat, twarz prostoduszna i sympatyczna, tylko jakby zbyt blada - może ze strachu, może z zażenowania.

- Nie, nie - odpowiedział Basile, nacierając na niego z bliska. - Nikt nie wrócił, trwa dochodzenie i nikogo nie wpuszczamy...

- Poczekaj, Basile powiedział Tojwo. - Kim są Grigorij i Ela? - zapytał nieznajomego.

- Zdaje się, że znowu trafiłem nie tam, gdzie chciałem... - odezwał się z jakąś powiedziałbym nawet! rozpaczą i spojrzął przez ramie, tam, gdzie w głębi pawilonu połyskiwały polerowane powierzchnie; kabiny zero-T. - Przepraszam, to jest... m-m-m... O Boże, znowu zapomniałem... Mała Peszą? Czy in nie?

- To jest Mała Peszą - powiedział Tojwo.

- No to w takim razie musi pan go znać... Grigorij Jarygin... Jeśli dobrze zrozumiałem, spędza tu każde lato... i nagle zawołał z radością pokazując palcem. O, w tamtej willi! Tam na werandzie wisi mój płaszcz!

Wszystko z miejsca się wyjaśniło. Nieznajomy okazał się świadkiem. Nazywał się Anatolij Siergiejewicz Krylenko, był zootechnikiem i rzeczywiście pracował w stepach - w agzirskim kombinacie rolnym. Wczoraj, na corocznej wystawie nowości w Archangielsku, najzupełniej przypadkowo wpadł na swojego szkolnego przyjaciela Grigorija Jarygina, którego nie widział prawie od dziesięciu lat. Oczywiście Jarygin zaciągnął go do siebie, to znaczy tutaj, cło tej...o, do diabła, znowu wyleciało... no, do tej Małej Peszy. Spędzili wspaniały wieczór we trójkę: on, Jarygin i żona Jarygina, Ela, pływali łodzią, spacerowali po lesie, mniej więcej około dziesiątej wrócili do domu, do tej tam willi, zjedli kolację i usiedli na werandzie, żeby wypić herbatę. Było zupełnie jasno, z rzeczki dobiegały dziecięce głosy, było ciepło i zdumiewająco pachniały polarne truskawki. A potem Anatolij Siergiejewicz Krylenko nagle zobaczył oczy...

W tej najważniejszej części swojej opowieści Anatolij Siergiejewicz stał się, mówiąc łagodnie, dosyć niewyraźny. Tak jakby nadaremnie próbował opowiedzieć jakiś koszmarny, poplątany sen.

Oczy patrzyły z ogródka... zbliżały się, ale cały czas nie ruszały się z ogródka... Dwoje ogromnych oczu, powodujących mdłości... Bez przerwy coś po nich spływało... A z boku po lewej stronie było jeszcze trzecie... a może trzy? I coś zwałało się, zwałało, zwałało przez balustradę werandy, podpływało już pod nogi... I do tego absolutnie nie można było się ruszyć. Grigorij gdzieś przepadł, nie widać nigdzie Grigorija. Ela jest gdzieś blisko, ale też jej nie widać, tylko słyhać, jak histerycznie krzyczy... a może się śmieje... W tym momencie gwałtownie otworzyły się drzwi do pokoju. Pokój po pas wypełniały galaretowe, drgające cielska, a oczy tych cielsk były tam, na zewnątrz, w ogródku...

Anatolij Siergiejewicz zrozumiał, że zaczyna się to, co najstraszniejsze. Wyszarpnął nogi z przyklejonych do podłogi sandałów, przeskoczył przez stół, wypadł do lasu i kiedy obiegił dom dookoła...Nie, nie obiegił domu, wybiegił do lasu, ale nie wiadomo dlaczego znalazł się na placu... biegił, gdzie oczy poniosą i nagle zauważył pawilon klubu i w otwartych drzwiach błysnęła liliowa iskra zero-T, zrozumiał, że jest uratowany. Jak bomba wpadł do kabiny, na chybił trafił zaczął naciskać klawisze, aż wreszcie automat się włączył...

W tym momencie tragedia się skończyła, a rozpoczęła komedia. Zero-T wyrzucił Anatolija Siergiejewicza w osiedlu Roosevelt na wyspie Piotra Pierwszego. Ta wyspa leży na Morzu Bellingshausena, termometr wskazuje czterdzieści dziewięć stopni poniżej zera, szybkość wiatru 18 metrów na sekundę, osiedle z powodu panującej tam właśnie zimy jest prawie puste.

Zresztą w klubie polarników automatyka była sprawna, ciepło, przytulnie, a w barze, jak wspaniała tęcza świecą naczynia z płynami do rozjaśniania ciemności polarnych nocy. Anatolij Siergiejewicz w swojej siatkowej koszulce i w szortach, jeszcze mokry od herbaty i straszliwych przejść, otrzymuje chwile, niezbędnego wytchnienia i powolutku wraca do siebie. I kiedy już wrócił, przede wszystkim, jak tego należało oczekiwać, ogarnia go palący wstyd. Dociera do niego, że w panice uciekł jak ostatni tchórz - o takich tchórzach do tej chwili najwyżej zdarzało mu się czytać w historycznych powieściach. Przypomina sobie, że opuścił Ele, i co najmniej jeszcze jedną kobietę, którą zauważył w sąsiedniej willi. Przypomina sobie dziecięce głosy nad rzeką i rozumie teraz, że te dzieci również opuścił. Ogarnia go rozpaczliwa potrzeba działania, ale - charakterystyczne - potrzeba ta rodzi się bynajmniej nie od razu, a po drugie, kiedy już je zrodziła, dosyć długo współistnieje z nie dającym się opanować przerażeniem na samą tylko myśl o tym, że trzeba wrócić tam, na werandę, znaleźć się w polu widzenia tych koszmarnych, ciekających oczu, w pobliżu obrzydliwych, galaretowatych cielsk...

Grupa hałaśliwych glaciologów, która z trzaskającego mrozu wpadła do klubu, zastała Anatolija Siergiejewicza na żalonym załamywaniu rąk - wciąż jeszcze nie mógł się na nic zdecydować. Glaciologowie wysłuchali jego opowieści ze szczerym współczuciem i natychmiast postanowili wrócić razem z nim na straszną werandę. Jednakże wtedy okazało się, że Anatolij Siergiejewicz nie tylko nie zna zero-indeksu osiedli, a na dodatek zapomniał, jak się samo osiedle nazywa. Mógł tylko powiedzieć, że to gdzieś niedaleko Morza Barentsa, na brzegu niewielkiej rzeki w strefie polarnej kosówki. Wtedy glaciologowie spieszenie przydzielili Anatolija Siergiejewicza odpowiednio do miejscowego klimatu i przez wyjąca zamieć powlekli go do sztabu osiedla na przełaj, przez potworne zasy, w towarzystwie gigantycznych psów przypominających dzikie zwierzęta... I oto w sztabie przed pulpitem WMI któremuś z polarników przyszła do głowy bardzo rozsądna myśl, że to nie żadne żarty. Te potwory niewątpliwie albo uciekły i jakiegoś zwierzyńca, albo - aż strach pomyśleć - z jakiegoś laboratorium, zajmującego się konstruowaniem biomechanizmów. W każdym wypadku, chłopcy, nie ma co się tu zajmować improwizacją, trzeba zawiadomić służbę awaryjną.

I zawiadomili Centralną Awaryjną. W Centralnej Awaryjnej podziękowali i powiedzieli, że przyjmą do wiadomości. Po pół godzinie dyżurny Awaryjnej sam zadzwonił do sztabu, powiedział, że informacja została potwierdzona i poprosił Anatolija Siergiejewicza. Anatolij Siergiejewicz w najbardziej ogólnych zarysach opisał, co śle z nim działo i jak doszło do tego, że znalazł się na wybrzeżu Antarktydy. Dyżurny

uspokoił go również w tym sensie, że nikt nie ucierpiał, mąż i żona Jaryginowie są cali i zdrowi, i że rano prawdopodobnie do Małej Peszy można będzie wrócić, a teraz on, Anatolij Siergiejewicz, powinien wziąć coś na uspokojenie i położyć się, żeby odpocząć.

I Anatolij Siergiejewicz wziął coś na uspokojenie, i na miejscu, w sztabie, położył się, na kanapie, ale nie spał nawet godziny, kiedy znowu zobaczył ciekące oczy nad balustradą werandy, usłyszał histeryczny śmiech Eli i obudził się od nieznośnego wstydu.

- Nie - powiedział Anatolij Siergiejewicz - oni mnie nie zatrzymywali. Widocznie rozumieli mój stan... Nigdy nie przypuszczałem, że może mi się wydarzyć coś podobnego. Oczywiście nie jestem Zwiadowcą ani Progrecorem... ale i mnie zdarzały się w życiu trudne sytuacje, i zawsze zachowywałem się zupełnie przyzwoicie... Nie rozumiem, co się ze mną stało. Próbuje to wyjaśnić sam ze sobą i nic tego nie wychodzi... Jakby coś na mnie naszło... - nagle zaczęły mu latać oczy. - Teraz też rozmawiam z wami, a w środku jestem niby zlodowaciały... Może myśmy się czymś zatruli?

- Czy zdaniem pana nie mogła to być halucynacja? - zapytał Tojwo.

Anatolij Siergiejewicz skulił się jakby z zimna i spojrzał w kierunku domku Jaryginów.

- N-nie wiem... - powiedział. - Nie, nie mam zdania na ten temat.

- Dobrze, chodźmy zobaczyć - zaproponował Tojwo.

- Mam iść z wami? - zapytał Basile.

- Niekoniecznie - powiedział Tojwo. - Ja jeszcze długo będę tu łaził tam i z powrotem. A ty trzymaj twierdze.

- A jeńców brać? - zapytał rzeczowo Basile.

- Koniecznie - powiedział Tojwo. - Jeńcy są mi potrzebni. Wszyscy, którzy cokolwiek widzieli na własne oczy.

I Tojwo z Anatolijem Siergiejewiczem poszli przez plac. Anatolij Siergiejewicz wyglądał zdecydowanie i poważnie, ale im bardziej zbliżali się do domu, tym większe napięcie malowało się na jego twarzy, wyraźniej zaciskały się szczęki, a dolną wargę przygryzł tak, jakby starał się opanować silny ból. I Tojwo uznał za stosowne dać mu chwilę wytchnienia. Zatrzymał się jakieś pięćdziesiąt kroków od żywopłotu, jakoby po to, żeby raz jeszcze rozejrzeć się po okolicy i zaczął zadawać pytania. A czy był ktoś w tym domku po prawej? Ach, tam było ciemno? A po lewej? Kobieta... Tak, tak, pamiętam, już pan mówił. Tylko jedna kobieta i nikt więcej? A czy nie było tu w pobliżu glidera?

Tojwo zadawał pytania, Anatolij Siergiejewicz odpowiadał, a Tojwo kiwał głową z bardzo poważną miną, z całej siły starając się pokazać, jak istotne dla dochodzenia jest to wszystko, co właśnie słyszy. I stopniowo Anatolij Siergiejewicz zebrał się w sobie, rozluźnił wewnętrznie, tak że na werandę weszli prawie jak koledzy.

Na werandzie panował nieporządek. Stół stał ukosem, jedno krzesło było przewrócone, cukiernica potoczyła się w kąt, znacząc swoją drogę pasmem cukru. Tojwo dotknął czajniczka na herbatę - był jeszcze gorący. Kątem oka spojrzał na Anatolija Siergiejewicza, który znowu poblądł i zacisnął szczęki. Patrzył na parę sandałów, sieroco przytulonych do siebie pod daleko stojącym krzesłem. Widocznie były to jego sandały. Były zapięte i wydawało się niepojęte, jak udało się wyrwać z nich stopy. Zresztą żadnych zacieków ani na nich, ani pod nimi, ani w ogóle gdziekolwiek obok, Tojwo nie zauważył.

- Zdaje się, że tu nikt nie uznaje domowych cyberów - powiedział Tojwo rzeczowym tonem, żeby sprowadzić Anatolija Siergiejewicza ze świata przeżytego koszmaru w świat codziennego bytu.

- Tak... - wymamrotał Anatolij Siergiejewicz. - To znaczy... Zresztą kto ich dzisiaj uznaje?... Widzi pan - moje sandały...

- Widzę. - powiedział Tojwo obojętnie. - Czy wszystkie okienne ramy były podniesione tak jak teraz?

- Nie pamiętam. Ta była podniesiona, tedy wyskoczyłem.

- Rozumiem - powiedział Tojwo i spojrzał na ogródek.

Tak, tu były ślady. Śladów było dużo - zgniecione i połamane krzaki, zdewastowany klomb, trawa pod balustradą werandy wyglądała tak, jakby się po niej tarzało stado koni. Jeżeli były tu jakieś zwierzęta, to zwierzęta wyjątkowo niezgrabne, zwałiste, nie skradały się do domu, tylko sunęły jak czołgi. Z placu, przez krzaki, po przekątnej i przez otwarte okno prosto do pokojów...

Tojwo wszedł na werandę i pchnął drzwi do domu. Tam żadnego nieporządku nie było. A mówiąc ściślej, żadnego takiego nieporządku, który mogłyby zrobić ciężkie, niezgrabne cielska.

Kanapa. Trzy fotele. Nie widać stolika. Należy przypuszczać, że jest tu tylko jeden wbudowany pulpit, w poręczy fotela pana domu. Serwis - systemu "polikryształ" - w pozostałych fotelach i w kanapie. Na przeciwległej ścianie pejzaż Lewitana, staroświecka chromofotograficzna kopia ze wzruszającym trójkątem w lewym dolnym rogu, żeby nie daj Boże, jakiś znawca nie pomyślał, że to oryginał. A na ścianie po lewej stronie - rysunek piórkami w drewnianej, ręcznie robionej ramie, gniewna kobieca twarz. Bardzo piękna zresztą...

Przy dokładniejszych oględzinach Tojwo zauważył na podłodze ślady zelówek - widocznie ktoś ze służby awaryjnej. Przeszedł ostrożnie przez salon do sypialni. Ślady prowadziły tylko w jednym kierunku, tamten człowiek wyszedł oknem sypialni. No i podłogę w salonie pokrywała cieniutka warstwa brązowego pyłu. I nie tylko podłogę. Siedzenia foteli. Parapety. A na ścianach tego pyłu nie było.

Tojwo wrócił na werandę. Anatolij Siergiejewicz siedział na stopniach ganku. Polarną doche zrzucił, a o futrzanych butach najwidoczniej zapomniał i dlatego wyglądał dosyć idiotycznie. Do swoich sandałów nawet się nie dotknął, nadal stały pod krzesłem. Żadnych zacieków w ich pobliżu nie było, ale i same sandały, i podłoga obok - wszystko było przypudrowane tym samym brązowym pyłem.

- No i co słyhać? - zapytał Tojwo jeszcze od progu.

Anatolij Siergiejewicz pomimo to wzdrygnął się i gwałtownie odwrócił.

- Nic... powoli przychodzę do siebie...

- I bardzo dobrze. Niech pan bierze swój płaszcz i może pan wracać do domu. Czy może woli pan zaczekać na Jaryginów?

- Właściwie nie wiem - powiedział niezdecydowanie Anatolij Siergiejewicz.

- Jak pan sobie życzy - powiedział Tojwo. - W każdym razie żadnego niebezpieczeństwa tu nie ma i nie będzie.

- Coś pan z tego zrozumiał? - zapytał Anatolij Siergiejewicz wstając.

- Coś niecoś. Potwory rzeczywiście tu były, ale tak naprawdę nie są niebezpieczne. Mogą bardzo przestraszyć i nic więcej.

- Chce pan powiedzieć, że one były sztuczne?
- Na to wygląda.
- Ale w jakim celu? Kto?
- Będziemy to wyjaśniać - powiedział Tojwo.
- Wy będziecie wyjaśniać, a one tymczasem jeszcze kogoś... nastraszą.

Anatolij Siergiejewicz wziął swój płaszcz z balustrady, chwile stał wpatrzony w swoje futrzane buty. Wydawało się, że za moment usiądzie i zacznie je gwałtownie zdierać z nóg. Ale zapewne nawet ich nie widział.

- Mówi pan, mogą tylko przstraszyć - wycedził, nie podnosząc oczu. - Gdyby tylko - przstraszyć! One, wie pan, mogą złamać człowieka!

Szybko spojrzął na Tojwo, odwrócił oczy i nie odwracając się więcej, zaczął schodzić po stopniach, potem dalej po zmiętej trawie, przez zdewastowany żywopłot, na ukos przez plac, przygarbiony, bezsensowny w długich futrzanych butach polarnika i wesolutkiej jaskrawej koszulce, poszedł wciąż przyspieszając kroku w kierunku żółtego pawilonu klubu, ale w połowie drogi gwałtownie skręcił w lewo, wskoczył w glider, który stał przed sąsiednią willą i świecą wzbił się w bladogranatowe niebo.

Była godzina szósta rano.

To moje pierwsze doświadczenie rekonstrukcji. Bardzo się starałem. Moją pracę komplikował fakt, że nigdy nie byłem w Małej Peszy, jednakże miałem do swojej dyspozycji dostatecznie dużo kaset wideo nagranych przez Tojwo Głumowa, ludzi ze służby awaryjnej i ekipę Fleminga. Tak że w każdym razie za dokładność topografii ręczę. Również uważam za możliwe ręczyć za autentyczność dialogów. Poza wszystkim chciałbym również pokazać, jak wyglądało wtedy typowe dochodzenie. Wypadek. Służba awaryjna. Wyjazd inspektora wydziału MW. Pierwsze wrażenia (najczęściej słuszne) - czyjaś nieostrożność albo głupi żart. I narastające rozczarowanie, znowu nie to, znowu pudło; najlepiej byłoby machnąć na wszystko ręką, wrócić do domu, wyspać się. Zresztą tego w mojej rekonstrukcji nie ma. Jest gdzieś między wierszami.

Teraz kilka słów o Flemingu.

To nazwisko kilkakrotnie pojawi się w moich pamiętnikach, ale spieszę uprzedzić, że człowiek ten nie miał żadnego związku z Wielką Iluminacją. W tamtych czasach nazwisko Aleksandra Jonatana Fleminga było bardzo dobrze znane w KOMKONie-2. Był najwybitniejszym specjalistą w dziedzinie konstruowania sztucznych organizmów. W swoim instytucie w Sydney, a także w licznych filiach tego instytutu z nieopisaną pracowitością i zuchwałością wysmażał nieprzebrane mnóstwo najdziwaczniejszych istot, na których stworzenie MATCE Naturze nie starczyło fantazji i umiejętności. Jego współpracownicy w swoim zapale nieustannie łamali obowiązujące prawa i ograniczenia Rady Światowej w dziedzinie pogranicznych eksperymentów. Przy całym naszym mimowolnym, czysto ludzkim podziwem dla geniuszu Fleminga, jednocześnie nie cierpieliśmy go za jego bezpardonową bezczelność, zupełny brak sumienia i absolutnie nie pasującą do tego przebiegłość. Dzisiaj każdy uczeń wie, co to biokompleksy Fleminga albo, powiedzmy, żywe studnie Fleminga. Ale w tamtych czasach jego popularność miała charakter raczej skandalizujący.

Dla mojego przekazu jest ważne, że jedna z filii instytutu Fleminga znajdowała się właśnie przy ujściu rzeki Peszy, w naukowym osiedlu w Dolnej Peszy, zaledwie czterdzieści kilometrów od Małej Peszy. I kiedy mój Tojwo dowiedział się o tym, o ile go dobrze rozumiałem, nie mógł nie nadstawić uszu i nie powiedzieć sobie w myśli: "Aha, już wiem, czyja to robota!"

I jeszcze jedno. Kraboraki, o którym będzie mowa poniżej, to jeden z najpożyteczniejszych twórców Fleminga, który po raz pierwszy pojawił się na świecie, kiedy Aleksander Jonatan był jeszcze młodym pracownikiem rybnej farmy nad jeziorem Onega. Te kraboraki okazały się stworzeniami niezwyklejmi jeśli chodzi o ich właściwości smakowe, ale na całej Północy nie wiadomo dlaczego zaaklimatyzowały się tylko w małych strumykach? dopływach Peszy.

MAŁA PESZĄ. 6 MAJA 99 ROKU. 6 GODZINA RANO.

5 maja około 11 wieczór w letniskowym osiedlu Mała Peszą (trzydzieści domków, osiemnastu mieszkańców) powstała panika. Przyczyną paniki było pojawienie się w osiedlu pewnej (nieznanej) liczby quasibiologicznych istot o nadzwyczaj odpychającym, a nawet przerażającym wyglądzie. Istoty te ruszyły na osiedle z willi nr 7 w dziewięciu wyraźnie określonych kierunkach, które można określić na podstawie pomiętej trawy, połamanych krzaków, a także plam wyschniętego śluzu na liściach, płytach okładzin, zewnętrznych ścianach domów i na parapetach. Wszystkie dziewięć tras kończy się wewnątrz pomieszczeń mieszkalnych, to znaczy w willach nr 1, 4,10 (na werandach), 2,3,9,12 (w salonach), 6,11 i 13 (w sypialniach). Wille nr 4 i 9, jak można przypuszczać, są nie zamieszkane...

Jeżeli chodzi o wille nr 7, z której zaczęło się najście, to wyraźnie ktoś tam mieszkał i jedno tylko pozostawało do wyjaśnienia - kim był ten człowiek. Głupim żartownisem czy nieodpowiedzialnym fajtlapą? Czy naumyślnie wypuścił embriofory, czy nie zauważył, kiedy same wylazły? Jeśli przegapił, to czy przez zbrodnicze niedbalstwo, czy z braku elementarnych kwalifikacji?

Jednak dwie rzeczy jakby tu nie pasowały. Tojwo nie znalazł żadnych śladów po otoczkach embriofor. To po pierwsze. A po drugie początkowo w żaden sposób nie udawało mu się ustalić danych personalnych mieszkańca domku nr 7. Albo mieszkańców.

Na szczęście nasza zamieszkała Ziemia w zasadzie urządzona jest dosyć sprawiedliwie. Na placu nagle rozległy się gromkie głosy i po chwili wyjaśniło się, że poszukiwany mieszkaniec zjawił się w centrum wydarzeń we własnej osobie i na dodatek nie sarn, tylko z gościem.

Był to krepki, jakby odlany z żelaza mężczyzna w polowym kombinezonie i z brezentowym workiem, z którego dolatywały dziwne szeleszczące i skrzypiące dźwięki. Gość zaś żywo przypominał Tojwo starego, dobrego Duremara świeżo wydobytego ze stawu ciotki Tortilli - wysoki, długowłosy, długonosy, chudy, w nieokreślonej chlamidzie oblepionej wysychającym mułem. Natychmiast okazało się, że żelazny lokator nazywa się Ernst Jurgen, że pracuje jako operator-ortomistrz na Tytanie, na Ziemi jest na urlopie... co roku dwa miesiące urlopu spędza na Ziemi, miesiąc w zimie, miesiąc w lecie, i w lecie zawsze tutaj w Peszy, w tym właśnie domku... Jakże znowu potwory? Kogo pan właściwie ma na myśli, młody człowieku? Jakże potwory mogą być w Małej Peszy, niech się pan zastanowi, nie macie w służbie awaryjnej

nic lepszego do roboty, czy co?

Za to Duremar, przeciwnie, okazał się istotą całkowicie ziemską, prawie tubylcem. Nazywał się Tołstow Lew Nikołajewicz. Ale co innego było w nim interesujące. Okazało się, że mieszka na stałe i pracuje zaledwie czterdzieści kilometrów stąd, w Dolnej Peszy, gdzie, jak się okazuje, już od kilku lat działa filia firmy znanego nam dobrze Fleminga!

Dodatkowo jeszcze się okazało, że Ernst Jurgen i jego dawny przyjaciel Lowa są wybrednymi smakoszami. Corocznie spotykają się tu, w Małej Peszy, ponieważ mniej więcej pięć kilometrów dalej z biegiem rzeki, wpada do Peszy maleńki strumyk, w którym żyją jakieś kraboraki. Właśnie dlatego on, Ernst Jurgen, spędza swój urlop w Małej Peszy, właśnie dlatego razem ze swoim przyjacielem Lową Tołstowem wczoraj wczesnym wieczorem wybrali się łodzią na połów kraboraków i właśnie dlatego Ernst Jurgen razem ze swoim przyjacielem Lową byłiby bardzo wdzięczni służbie awaryjnej, gdyby w obecnej chwili dała im spokój, gdyż kraboraki (Ernst Jurgen potrząsnął ciężkim workiem, z którego dochodziły dziwaczne dźwięki) bywają tylko jednej świeżości, dokładnie mówiąc, wyłącznie pierwszej...

Ten zabawny, hałaśliwy mężczyzna w żaden sposób nie mógł wyobrazić sobie, że na Ziemi, nie tam u nich na Tytanie, nie na Pandorze, nie gdzieś tam na Jajle, a na Ziemi! w Małej Peszy! mogło wydarzyć się coś, co wywołało strach i panikę. Bardzo interesujący typ zawodowego zdobywcy kosmosu! Przecież widzi, że osiedle jest puste, widzi przed sobą funkcjonariusza służby awaryjnej, przedstawiciela KOMKONu-2, widzi, nie neguje ich autorytetu, ale to, co się stało, próbuje wyjaśniać na wszelkie sposoby, byle tylko nie przyznać się, że na jego ciepłej, ojczystej Ziemi może się okazać coś nie w porządku...

Następnie, kiedy wreszcie udało się go przekonać, że stało się to, co się stało, obraził się - urażony jak dziecko, wydał wargi i poszedł sobie, wlokąc po ziemi worek z drogocennymi kraborakami, usiadł bokiem na swoim ganku, tyłem do wszystkich, nie życząc sobie nikogo widzieć, nie życząc sobie nikogo słyszeć, wzruszając od czasu do czasu ramionami i porykując "Ładnie odpocząłem... Raz do roku człowiek przyjeżdża i proszę - Żeby coś podobnego...!"

Zresztą Tojwo interesowała raczej reakcja przyjaciela Ernsta, Lwa Tołstowa, pracownika Fleminga, specjalisty w dziedzinie konstruowania i uruchamiania sztucznych organizmów. A reakcja specjalisty była następująca: najpierw kompletne niezrozumienie, spontaniczne mruganie oczami i niepewny uśmiech człowieka podejrzewającego, że ktoś robi z niego balona i to w dość głupi sposób, następnie - frasobliwie zmarszczone brwi, spojrzenie puste, jakby zwrócone do wewnątrz, zatroskane ruchy dolnej szczęki. I pod koniec wybuch zawodowego oburzenia. Czy panowie rozumiecie o czym mówicie? Czy macie chociaż najmniejsze pojęcie o temacie? Czy w ogóle kiedykolwiek widzieliście sztuczny organizm? Ach, tylko na kronice? A więc dowiedzcie się, że nie ma i nie może być sztucznych stworzeń, które byłyby zdolne wlaźć przez okna do czyjejkolwiek sypialni. Przede wszystkim są powolne i niezgrabne, a jeśli już w ogóle się poruszają, to nie idą do ludzi, tylko od ludzi, uciekają, ponieważ naturalne biopole jest dla nich przeciwwskazane, nawet biopole domowego kota... Dalej, cóż to znaczy "mniej więcej wielkości krowy"? Czy próbowaliście chociaż w przybliżeniu obliczyć, jaka energia potrzebna jest embrioforowi, żeby rozrosnąć się do takiej masy, powiedzmy, nawet w ciągu godziny? Przecież tutaj kamień na kamieniu by się nie ostał, nie mówiąc już o krowach, wyglądałoby to po prostu jak wybuch.

Czy dopuszcza możliwość uruchomienia tu embrioforów nieznanego mu rodzaju?

W żadnym wypadku. Takie embriofry po prostu nie istnieją.

Wiec co tu się stało, jego zdaniem?

Lew-Tolstow nie rozumiał, co tu się stało. Musi się rozejrzeć, żeby dojść do jakichś wniosków.

Tojwo zostawił go, żeby się; rozejrzał, a sarn z Basilem poszedł do klubu z zamiarem przegryzienia czegoś.

Zjedli po kanapce z zimnym mięsem i Tojwo zaczął parzyć kawę. I wtedy:

- W-w-w-w! - wykrztusił Basile z nabitymi ustami

Połknął z wysiłkiem i patrząc obok Toiwu, ryknął świeżym głosem:

- Stop maszyna! Dokąd się wybierasz, synku?

Tojwo odwrócił się. To był chłopak mniej więcej dwunastoletni, w szortach i kurtce, o odstających uszach, opalonej twarzy. Donośny okrzyk Basila zatrzymał go tuż przy wyjściu z pawilonu.

- Do domu - odpowiedział z wyzwaniem.

- Chodź no tu do mnie, proszę! - powiedział Basile.

Chłopiec podszedł i przystanął z rękami na plecach.

- Mieszkasz tu? - chytrze zapytał Basile.

- Mieszkaliśmy - odparł chłopiec - pod szóstką. Teraz już nie będziemy tu mieszkać.

- Kto - my? - zapytał Tojwo.

- Ja, mama i ojciec. To znaczy byliśmy tu na lotnisku, a mieszkamy w Pietrozawodsku.

- A gdzie mama i tata?

- Śpią. W domu.

- Śpią - powtórzył Tojwo. - Jak się nazywasz?

- Kir.

- A twoi rodzice wiedzą, że tu jesteś?

Kir przestąpił z nogi na nogę, wyraźnie skrepowany i powiedział:

- Wróciłem tu tylko na chwilę. Muszę zabrać galerę, cały miesiąc się męczyłem.

- Galerę... - powtórzył Tojwo, wpatrując się w Kira.

Twarz chłopca nie wyrażała nic poza cierpliwą nudą. Widać było, że obchodzi go tylko jedno - chce jak najszybciej zabrać swoją galerę i wrócić do domu, zanim rodzice się obudzą.

- Kiedy stąd wyjechaliście?

- Dzisiejszej nocy. Wszyscy stąd wyjeżdżali i my też. A o galerze zapomnieliśmy.

- Dlaczego wyjechaliście?

- Była panika. Pan nie wie? Co się tu działo! Mama się przestraszyła, a ojciec powiedział: "Wiecie co, wynosimy się stąd, wracamy do domu". Wsiedliśmy w glider i odlecieliśmy... To ja już pójde, dobrze? A może nie wolno?

- Poczekaj chwile. Dlaczego była ta panika, jak myślisz?

- Dlatego, że przylazły te zwierzęta. Wyszły z lasu... albo z rzeki. Wszyscy się przestraszyli nie wiadomo dlaczego, zaczęli biegać... Ja spałem, mama mnie obudziła.

- A ty się nie przestraszyłeś?

Wzruszył ramionami.

- No, ja też się przestraszyłem na początku... ze snu... Wszyscy wrzeszczą, wszyscy krzyczą, wszyscy biegają, nic nie można zrozumieć...

- A potem?

- Przecież mówię - wsiedliśmy w glider i odlecieliśmy.

- Widziałeś te zwierzęta?

Chłopiec nagle się roześmiał.

- Oczywiście, że widziałem... jedno wlatło prosto przez okno, takie rogate, tylko że rogi nie były twarde, ale jak u ślimaka... bardzo zabawne...

- To znaczy, że ty sam się nie przestraszyłeś?

- Nie, przecież mówię - oczywiście, że się przestraszyłem, co będę kłamał. Mama wbiegła taka błada, bałem się, że jakieś nieszczęście... myślałem, z tatą coś się stało...

- Jasne, jasne. Ale czy przestraszyłeś się tych zwierząt?

Kir odpowiedział z irytacją:

- A dlaczego miałem się ich bać? Przecież one są dobre, śmieszne... takie miękkie, jedwabiste, jak mangusty, tylko sierści nie mają. A że takie duże, no to co? Tygrys też jest duży, no i może dlatego mam się go bać? Słoń jest duży i wieloryb... delfiny też bywają spore... A te zwierzęta wcale nie były większe od delfinów i tak samo łagodne... -

Tojwo spojrział na Basila. Basilowi szczeka opadła, słuchał dziwnego chłopca, trzymając w powietrzu nadgryzioną kanapkę.

- I jak ślicznie pachną! - gorąco ciągnął dalej Kir. - Pachną jagodami. Myślę, że właśnie jagodami się żywią... Trzeba by je oswoić, a uciekać od nich, dlaczego? - westchnął. - Teraz już na pewno sobie poszły. Szukaj ich w tajdze jak wiatru w polu... Wszyscy tak na nie krzyczeli, tupali, machali rękami! Oczywiście musiały się wystraszyć! Trudno je będzie teraz przywabić...

Opuścił głowę i popadł w gorzką zadumę. Tojwo powiedział:

- Jasne. Ale rodzice nie zgadzają się z tobą? Prawda? Kir machnął ręką.

- A jakże... Ojciec jeszcze jako tako, ale mama kategorycznie - nigdy, za nic jej noga tu nie postanie! teraz odlatujemy na Kurort. A ich tam przecież nie ma... A może są? Nie wie pan, jak one się nazywają?

- Nie wiem, Kir - powiedział Tojwo.

- Ale tu już nie ma ani jednego?

- Ani jednego.

- Tak sobie pomyślałem - powiedział Kir. Westchnął i zapytał: - Czy mogę zabrać swoją galereę? Basile wreszcie wrócił do siebie, Podniósł się hałaśliwie i powiedział:

- Chodźmy, odprowadzę cię. Dobrze? - zapytał Tojwo.

- Oczywiście - odpowiedział Tojwo.

- Po co mnie odprowadzać? - z oburzeniem zapytał Kir, ale Basile położył już swoją dłoń na jego ramieniu.

- Chodźmy, chodźmy - powiedział. - Przez całe życie marzyłem o tym, żeby zobaczyć prawdziwą galereę.

- Ona nie jest prawdziwa, to tylko model...

- Tym bardziej. Całe życie marzyłem, żeby zobaczyć model prawdziwej galery. Odeszli. Tojwo wypił filiżankę kawy i również wyszedł z pawilonu.

Słońce już nieźle przypiekało, na niebie nie było ani jednej chmurki. W bujnej trawie na placu migwały niebieskie koniki polne. I poprzez to metaliczne migotanie, niczym dziwaczna poranna zjawą płynęła w kierunku pawilonu majestatyczna starucha z absolutnie nieprzystępnym wyrazem wąskiej, brązowej twarzy.

Podtrzymując (diabło wykwintnie) brązową ptasią łapą dół zapiętej pod szyje śnieżnobiałej sukni, stara, jakby nie dotykając trawy, podpłynęła do Tojwo i stanęła, górując nad nim co najmniej o głowę. Tojwo pokłonił się z szacunkiem, stara kiwnęła w odpowiedzi głową, zresztą zupełnie życzliwie.

- Może pan nazywać mnie Albiną - oświadczyła miłościwie sympatycznym barytonem.

Tojwo przedstawił się pospiesznie. Zmarszczyła brązowe czoło pod bujną czupryną białych włosów.

- KOMKON? No cóż, niech będzie KOMKON. Niech pan będzie tak uprzejmy, Tojwo, i powie mi, jak wy w tym swoim KOMKONie objaśnacie to wszystko?

- Co pani konkretnie ma na myśli? - zapytał Tojwo. Pytanie nieco ją zirytowało.

- Mam na myśli, mój drogi, to właśnie - powiedziała. - Jak to się mogło zdarzyć, że w naszych czasach, pod koniec naszego stulecia, u nas na Ziemi żywe istoty błagające człowieka o pomoc i miłosierdzie nie tylko nie otrzymały pomocy ani miłosierdzia, ale stały się obiektem nagonki, zastraszania, a nawet aktywnych działań fizycznych o wyjątkowo barbarzyńskim charakterze. Nie chce wymieniać nazwisk, ale ci ludzie bili je grabiami, dziko na nie krzyczeli, a nawet próbowali rozgniatać je gliderami. Nigdy bym w to nie uwierzyła, gdybym nie widziała na własne oczy. Czy pan wie, co to takiego dzikość? Wiec to była dzikość! Jest mi wstyd.

Umilkła, nie spuszczać z Tojwo przenikliwego spojrzenia gniewnych, czarnych jak węgiel, bardzo młodych oczu. Oczekiwała odpowiedzi i Tojwo wymamrotał:

- Pani pozwoli, że wyniosę dla niej fotel?

- Nie pozwolę - odpowiedziała. - Nie zamierzam się tu rozsiadywać. Życzę sobie usłyszeć pańskie zdanie o tym, co się stało z ludźmi w naszym osiedlu. Pańską opinie jako specjalisty. Kim pan jest? Socjologiem? Pedagogiem? Psychologiem? A wiec niech pan będzie łaskaw wyjaśnić! Proszę zrozumieć, nie chodzi o jakieś tam sankcje. Ale musimy zrozumieć, jak to się mogło stać, że ludzie jeszcze wczoraj cywilizowani, dobrze wychowani... powiedziałabym - wspaniali ludzie!... dzisiaj nagle tracą ludzkie oblicze! Czy wie pan, co różni człowieka od wszystkich innych istot?

- Eee... to, że jest rozumny? - zaproponował na chybił trafił Tojwo.

- Nie, mój drogi! Miłosierdzie! Miło-sier-dzie!

- Ależ oczywiście - powiedział Tojwo. - Ale skąd wiadomo, że wczorajsze stworzenia prosiły właśnie o miłosierdzie?

Popatrzyła na Tojwo z obrzydzeniem.

- Czy pan sam je widział? - zapytała.

- Nie.

- Wiec jak pan może wypowiadać się na ten temat?

- Nie wypowiadam się - odparł Tojwo. - Właśnie chciałbym ustalić, czego one chciały...

- Mam wrażenie, że wystarczająco jasno powiedziałam panu, że te żywe istoty, te biedactwa, szukały u nas pomocy! Znajdowały się na krawędzi zagłady. Z minuty na minutę groziła im śmierć! Przecież one zginęły, czy pan o tym nie wie? Na moich oczach umierały, rozpadając się w proch, w nicłość, a ja nic nie mogłam poradzić, jestem tancerką, a nie biologiem, nie lekarzem, wołałam, ale czy ktokolwiek mógł usłyszeć mój głos w tym tumultcie, w tym rozpasaniu dzikości i okrucieństwa? A potem, kiedy pomoc wreszcie nadeszła, było już za późno, ani jedno nie przeżyło. Ani jedno! A te dzikusy... Nie wiem, jak wyjaśnić ich zachowanie... Być może była to zbiorowa psychoza... zatrucie... zawsze byłam przeciwna jedzeniu grzybów... Zapewne kiedy się już ocknęli, tak im się zrobiło wstyd, że wszyscy uciekli gdzie oczy poniosą! Znalazł ich pan?

- Tak - powiedział Tojwo.

- Rozmawiał pan z nimi?

- Tak. Z niektórymi. Nie ze wszystkimi.

- Wiec proszę mi powiedzieć, co się z nimi stało? Jakie są pańskie wnioski, chociażby wstępne?

- Widzi pani...

- Może mnie pan nazywać Albina.

- Dziękuję. Chodzi o to, że... Chodzi o to, że o ile możemy przypuszczać, większość pani sąsiadów odebrała te inwaz... to wydarzenie trochę inaczej niż pani.

- Ja myślę! - wyniosłe powiedziała Albina. - Widziałam to na własne oczy!

- Nie, nie. Chce powiedzieć, że oni się przestraszyli. Śmiertelnie przestraszyli. Oszałeli z przerażenia. Nawet teraz boją się tu wrócić. Niektórzy chcą uciec z Ziemi po tym, co tu przeżyli. I o ile rozumiem, pani jest jedynym człowiekiem, który usłyszał błagania o pomoc.

Albina słuchała majestatycznie, ale uważnie.

- No cóż - powiedziała - widocznie tak im wstyd, że muszą tłumaczyć się strachem... Niech pan im nie wierzy, mój drogi, niech pan nie wierzy! To najprymitywniejsza, paskudna ksenofobia! Coś jak uprzedzenia rasowe. Pamiętam, że w dzieciństwie panicznie bałam się żmij i pajaków... Tu było dokładnie to samo.

- To bardzo możliwe. Ale niektóre rzeczy chciałbym jednak uściślić. Te stworzenia błagały o pomoc. Domagały się miłosierdzia. Ale w czym to się wyrażało? Przecież o ile wiem, nie mówiły, nawet nie jęczały...

- Mój drogi! One były chore i umierały! Co z tego, że umierały w milczeniu? Delfinek wyrzucony na ląd też się nie odzywa... w każdym razie my go nie słyszymy... ale przecież rozumiemy, że potrzebna mu jest pomoc i spieszymy z tą pomocą... Albo idzie sobie chłopczyk, nie słyszymy stąd, co mówi, ale widać, że jest wesoły, zadowolony i szczęśliwy...

Od willi nr 6 zbliżał się do nas Kir i rzeczywiście najwyraźniej był wesoły, zadowolony i szczęśliwy. Basile, który maszerował obok, z szacunkiem niósł czarny model wielkiej, antycznej galery i jak się zdaje zadawał stosowne pytania, zaś Kir odpowiadał, pokazując rękami odpowiednie wymiary jakiejś formy, jakieś skomplikowane współzależności. Niewykluczone, że Basile sam był wielkim specjalistą w budowie antycznych galer.

- Pan wybaczy - powiedziała Albina - ale to przecież Kir!

- Tak - odparł Tojwo. - Wrócił po swój model.

- Kir jest dobrym chłopcem - oświadczyła Albina. - Ale jego ojciec zachował się ohydnie... Dzień dobry, Kir!

Kir pochłonięty swoimi sprawami dopiero teraz zauważył ją, przystanął i powiedział nieśmiało "Dzień dobry...". Ożywienie znikło z jego twarzy. Zresztą z twarzy Basila również.

- Jak się czuje twoja mama?

- Dziękuję. Mama śpi.

- A tata? Gdzie jest twój ojciec, Kir? Gdzieś tu niedaleko? Kir w milczeniu pokręcił głową i zasepił się.

- A ty tu byłeś przez cały czas? - z zachwytem wykrzyknęła Albina i triumfująco popatrzyła na Tojwo.

- Kir wrócił po swój model - przypomniał Tojwo. Wszystko jedno. Przecież nie bałeś się tu wrócić, Kir?

- Dlaczego miałbym się ich bać, babciu Albino? - gniewnie wymruczał Kir, próbując chyłkiem ją wyminąć.

- Nie wiem, nie wiem - kłótliwie powiedziała Albina. - Bo na przykład twój tata...

- Tata ani trochę się nie przestraszył. To znaczy przestraszył się o mnie i o mamę. Po prostu w tym zamieszaniu nie zauważył, jakie one są łagodne.

- Nie łagodne, tylko nieszczęśliwe! - poprawiła Albina.

- Jakie tam nieszczęśliwe, babciu Albino? - oburzył się Kir, zabawnie rozkładając ręce gestem kiej - Magika. - Były takie wesołe, chciały się bawić. Nawet się łąsiły!

Babcia Albina uśmiechała się z politowaniem.

Nie mogę się powstrzymać, aby natychmiast nie podkreślić pewnej cechy charakterystycznej dla Tojwo jako dla pracownika. Gdyby na jego miejscu był zielony stażysta, po rozmowie z Duremarem byłby pewien, że jego rozmówca kreci i że sprawa ogólnie i konkretnie jest absolutnie jasna - Fleming stworzył embriofory nowego typu, jego potwory wyrwały się na wolność, więc można spokojnie wracać do łóżka, a rano zameldować o wszystkim przełożonym.

Pracownik doświadczony, na przykład Sandro Mtbewari, też nie spędzałby czasu na picu kawy z Basilem - embriofory nowego typu to nie żarty - i Sandro niezwłocznie rozesałby ze dwa i pół dziesiątka pytań do wszystkich możliwych instancji, a sam popędziłby do Dolnej Peszy, żeby chwycić za gardziel tych chuliganów i nedorajdów Fleminga, póki nie przygotowali się do odgrywania urażonych niewinności.

Tojwo Głumow nie ruszył się z miejsca. Dlaczego? Tojwo poczuł zapach siarki. Nawet nie zapach, lecz taki lekki zapaszek. Niebywały embriofor? Naturalnie, to poważna sprawa. Ale to nie zapach siarki. Histeryczna panika? Już ciepło, znacznie cieplej. Ale najważniejsza jest dziwna staruszka z willi nr 5. To jest to! Panika, histeria, ucieczka, służba awaryjna, a ona prosi, żeby nie hałasować i nie przeszkadzać jej spać. Tu już nie pasują tradycyjne wyjaśnienia. Tojwo zresztą nie próbował tego wyjaśniać. Po prostu został i czekał, kiedy staruszka wstanie, żeby jej zadać kilka pytań. Został i był wynagrodzony. "Gdyby mi nie

wpadło do głowy zjeść śniadania z Basilem - opowiadał mi później - gdybym przyleciał z raportem do pana od razu po rozmowie z tym Tołstowem, pozostałoby mi już na zawsze wrażenie, że w Małej Peszy nie zdarzyło się nic zagadkowego, oprócz dziwnej paniki, spowodowanej najściem sztucznych zwierząt. Ale wtedy pojawił się ten chłopiec Kir oraz babcia Albina i wprowadzili istotny dysonans w zgrabny i prymitywny schemat...”

“Wpadło do głowy zjeść śniadanie”, tak się wyraził. Najprawdopodobniej po to, żeby nie tracić czasu na próby wyrażenia słowami tych niejasnych i trwożnych przeczuć, które kazały mu czekać.

MAŁA PESZA. TEN SAM DZIEŃ, 8 GODZINA RANO.

Kir z galerią w ręku jakoś jednak wcisnął się w kabinę zero-T i udał się do Pietrozawodska. Basile zdjął swoją upiorną kurtkę, uwalnił się w cieniu na trawie i zdaje się, że przysnął. Babcia Albina odpłynęła do swojej willi nr 1.

Tojwo nie poszedł do pawilonu, po prostu usiadł na trawie, skrzyżował nogi i zaczął czekać.

W Małej Peszy nic szczególnego się nie działo. Żelazny Jurgen od czasu do czasu porykiwał z głębin swego domku nr 7 - coś w związku z pogodą, coś w związku z rzeką i coś w związku z urlopem. Albina, jak poprzednio cała w bieli, zjawiała się na werandzie i usiadła pod markizą. Dobięgl jej głos - melodyjny i niegłośny - widocznie rozmawiała przez wideofon. Kilkakrotnie w polu widzenia pojawił się Dudemar Tołstow. Krążył między domkami, przykucał, oglądał ziemię, włożył pod krzaki, czasami nawet przemieszczał się na czworakach.

O wpół do ósmej Tojwo wstał, wszedł do klubu i połączył się przez wideo z mamą. Normalny kontrolny dzwonek. Bał się, że dzień będzie tak wypełniony, że później zabraknie czasu. Porozmawiali o tym i owym... Tojwo opowiedział, że spotkał tu starą tancerkę, której na imię Albina. Czy to nie ta Wielka Albina, o której bez przerwy słyszał w dzieciństwie? Przedyskutowali to zagadnienie i doszli do wniosku, że niewykluczone, a zresztą była jeszcze jedna wielka primabalerina Albina, starsza o jakieś piętnaście lat od Wielkiej Albiny... Potem pożegnali się do jutra.

Na dworze rozległ się potężny ryk “A raki? Lowa, przecież mamy raki!...”

Lowa Tołstow szybkim krokiem zbliżał się do klubu, z irytacją machając lewą ręką. Prawą tulił do piersi sporą paczkę. Przy wejściu do pawilonu przystanął i piskliwym falsetem wrzasnął w kierunku willi nr 7 “Przecież wróć! Niedługo wróć!” W tym momencie zauważył, że Tojwo patrzył na niego i wyjaśnił jakby przepraszająco:

- Wyjątkowo dziwna historia. Muszę się w tym rozeznąć.

Znikł w kabinie zero-T i jeszcze przez jakiś czas nie działo się zupełnie nic. Tojwo postanowił poczekać do godziny ósmej.

Za pięć ósma z lasu wyleciał glider, zatoczył kilka kół nad Małą Peszą, zniżając się stopniowo, i miękko usiadł przed domkiem nr 10, tym samym, w którym sądząc po sprzętach mieszkała rodzina malarza. Z glidera wyskoczył rosły mężczyzna, lekko wbiegł po schodach na werandę, odwrócił się i krzyknął: “Wszystko w porządku! Nie ma nic i nikogo!” I w czasie kiedy Tojwo szedł w kierunku domu przez plac, z

glidera wysiadła młoda kobieta o krótko obciętych włosach, w fioletowej chlamidzie przed kolana. Nie weszła na ganek, tylko stała obok glidera, przytrzymując drzwi.

Jak się okazało, malarzem w tej rodzinie była właśnie kobieta, Zosia Ladowa, i jak się wyjaśniło, to właśnie jej autoportret widział Tojwo w willi Jaryginów. Miała mniej więcej 25-26 lat, studiowała na Akademii w pracowni Komowskiego-Korsakowa i nie namalowała jeszcze nic, o czym warto by mówić. Była bardzo ładna, znacznie ładniejsza od swojego autoportretu. W jakiś sposób przypominała Tojwo jego Asie, - co prawda nigdy nie widział swojej Asi tak przerażonej.

A mężczyzna nazywał się Oleg Olegowicz Pankratow i był lektorem w Syktykwarze, a poprzednio, w przeciagu prawie trzydziestu lat, astroarcheologiem, pracował w grupie Fokina, brał udział w ekspedycji na Kala-i-Mug (czyli "paradoksalną planetę Marochasi") i w ogóle jadł chleb z niejednego pieca. Bardzo spokojny, nawet można powiedzieć nieco flegmatyczny człowiek, o dłoniach jak łopaty, mocny, pewny, spychaczem trudno by go ruszyć z miejsca, a przy tym twarz - krew z mlekiem, nos jak kartofel, broda płowa, jaką nosił Ilia Muromiec...

I nie było nic w tym dziwnego, że w czasie nocnych wypadków małżonkowie zachowywali się zupełnie różnie. Oleg Olegowicz na widok żywych worków, włączających przez okno do sypialni, zdziwił się rzecz jasna, ale wcale nie przestraszył. Być może dlatego, że od razu przypomniał sobie o filii w Dolnej Peszy, w której swego czasu kilkakrotnie bywał, zresztą sam wygląd potworów nie wydał mu się szczególnie niebezpieczny. Obrzydzenie to było to, co poczuł przede wszystkim. Obrzydzenie i wstręt, ale w żadnym wypadku nie strach. Nie wpuścił worków do sypialni, wypchnął je z powrotem do ogrodu. wstrętne, śliskie i lepkie, nieprzyjemnie podatne, a zarazem sprężyste i chyba najbardziej przypominały wnętrzości jakiegoś ogromnego zwierzęcia. Zaczął biegać po sypialni, szukając czegoś, w co można by wytrzeć ręce, ale wtedy na werandzie zaczęła krzyżeć Zosia i natychmiast zapomniał o obrzydzeniu...

Tak, wszyscy nie zachowaliśmy się najlepiej, ale rozkleić się tak, jak rozkleili się niektórzy jednak nie wolno. Przecież są tacy, którzy do tej pory nie mogą się opamiętać, Frołowa musieliśmy umieścić w szpitalu od razu w Suli, wrywaliśmy go z glidera na raty, popadł w jakąś psychozę... A Grigorianowie z dziećmi nawet nie zatrzymali się w Suli, popędzili do zero-kabiny całą czwórką i przenieśli się prosto do Mistrza-Czarle. Grigorian krzyknął na pożegnanie "Dokądkolwiek, byle jak najdalej i na zawsze!"

Ale Zosia rozumiała Grigorianów bardzo dobrze. Ona osobiście nigdy nie przeżyła czegoś równie przerażającego. I zupełnie nie o to chodzi, czy te zwierzęta były niebezpieczne, czy też nie były. Jeśli nas wszystkich gnało przerażenie... Nie wtrącaj się, Oleg, mówię o nas, o zwyczajnych, nie przygotowanych ludziach, a nie o takich pancernych facetach jak ty... Jeśli nas wszystkich gnało przerażenie, to wcale nie dlatego, że baliśmy się, że ktoś nas pozre, zadusi, żywcem strawi albo coś w tym rodzaju... Nie, to było zupełnie inne uczucie!" Zosi trudno je było sprecyzować. Najbardziej zbliżone było następujące jej sformułowanie: nie przerażenie, tylko poczucie całkowitej obcości, niemożność pozostawania z tymi stworzeniami w jakiegokolwiek ograniczonej przestrzeni. Ale najciekawsze w jej opowieści było coś innego.

Okazuje się, że te potwory były na domiar wszystkiego jeszcze przepiękne! Były do takiego stopnia straszne i odrażające, że stanowiły swego rodzaju doskonałość. Doskonałość szpetoty. Estetyczny styk idealnej szpetoty i idealnego piękna. Gdzieś, ktoś, kiedyś powiedział, że idealna szpetota powinna jakoby wywoływać u nas takie same wrażenie estetyczne jak idealne piękno. Do wczorajszej nocy to stwierdzenie

wydawało się Zosi jedynie paradoksem. A tymczasem to nie paradoks! Chyba że ona, Zosia, jest wyjątkowo perwersyjnym człowiekiem?

Pokazała Tojwo swoje szkice, zrobione z pamięci około dwie godziny po tym, jak zaczęła się panika. Oboje z Olegiem zajęli jakiś pusty domek w Suli i na początku Oleg cucił ją tonikiem, następnie psychomasażem, ale to wszystko nie pomagało, więc złapała kawałek papieru i jakieś paskudne piórka, twarde i rozcapierzone, i zaczęła spiesznie, kreska za kreską, cień za cieniem, przenosić na papier to, co jak okropny koszmar stało jej przed oczami, zasłaniając realny świat...

Nic szczególnego na tych rysunkach zauważyć się nie dało. Płatanina linii, kontury znajomych przedmiotów - poręcz na werandzie, stół, krzaki, a nad tym wszystkim rozmyte cienie o nieokreślonym kształcie. Rysunki te zresztą emanowały jakąś trwożą, opuszczenie, zagubienie... Oleg Olegowicz uważał, że w nich coś jest, chociaż jego zdaniem wszystko było prostsze i obrzydliwsze. Zresztą jest człowiekiem dalekim od sztuki. Cóż, niewykwalifikowany odbiorca, nic więcej...

Zapytał Tojwo, co udało się do tej pory wykryć. Tojwo zreferował mu swoje przypuszczenia - Fleming, Dolna Peśza, embriofory nowego typu i tak dalej. Pankratow pokiwał głową, że się zgadza, a potem oznajmił z niejakim smutkiem, że w całej tej historii najbardziej go martwi... jakby tu się wyrazić? No, powiedzmy, przesadna nerwowość współczesnego mieszkańca Ziemi. Przecież wszyscy uciekli, no dosłownie jak jeden mąż! Żeby chociaż ktoś jeden był ciekaw, okazał zainteresowanie... Tojwo pospieszył ratować honor współczesnego Ziemianina i opowiedział o Albinie i Kirze.

Oleg Olegowicz ożywił się nadzwyczajnie. Uderzał swoimi dłońmi jak łopaty po poręczach fotela, po blacie stołu, rzucał zwycięskie spojrzenia to na Tojwo, to na swoją Zosie i podśmiewając się, wykrzykiwał "Brawo, Kir! Zuch! Zawsze mówiłem, że będą z niego ludzie! A nasza Albina! Niby taka mizerota..." Na to Zosia oznajmiła zapalczywie, że nie ma w tym nic dziwnego, starcy i dzieci są siebie warci... "I pionierzy kosmosu! - wykrzykiwał Oleg Olegowicz. - Nie zapominaj o pionierach kosmosu, najmilsza moja!" Spierali się na wpół poważnie, na wpół żartobliwie, kiedy nagle wydarzył się małeńki incydent.

Oleg Olegowicz, który słuchał swojej najmilszej z uśmiechem od ucha do ucha, nagle uśmiechać się przestał i wyraz radości na jego twarzy ustąpił miejsca wyrazowi zatroskania, jakby coś wstrząsnęło nim do głębi duszy. Tojwo uchwycił jego spojrzenie i zobaczył, że w drzwiach domku nr 7 stoi oparty ramieniem o framugę niepocieszony i rozczarowany Ernst Jurgen, tym razem już nie w skafandrze do łowienia krabów, a w obszernym beżowym garniturze, że w jednej ręce dzierży płaską puszkę piwa, a w drugiej kolosalną kanapkę z czymś czerwono-białym, podnosi do ust na przemian to jedną rękę, to drugą, gryzie i potyka, i patrzy przy tym nieprzerwanie przez plac na drzwi klubu.

- Otóż i Ernst! - zawołała Zosia. - A ty mówiłeś!

- Zwariować można! - wolno powiedział Oleg Olegowicz ciągle z tym samym zatroskanym wyrazem twarzy.

- Ernst, jak widzisz, też się nie przestraszył - powiedziała Zosia nie bez jadu.

- Widzę - zgodził się Oleg Olegowicz.

Coś wiedział o tym Ernście Jurgenie, w żaden sposób nie spodziewał się go tutaj zobaczyć po wczorajszym. Ten Ernst Jurgen nie miał teraz co tu robić, nie miał po co stać na swojej werandzie w Małej

Peszy, pijąc piwo i jedząc kraboraki, a powinien najwidoczniej zwiewać teraz gdzie pieprz rośnie, może do siebie na Tytana, a może jeszcze dalej.

Wiec Tojwo pospieszył wyjaśnić nieporozumienie i opowiedział, że Ernsta Jurgena nie było wczorajszej nocy w osiedlu, lecz był wczoraj w nocy tam, gdzie łowił kraboraki, kilka kilometrów wyżej z biegiem rzeki. Zosia bardzo się zmartwiła, a Oleg Olegowicz, jak się wydało Tojwo, nawet odetchnął z ulgą. "To zupełnie co innego! - powiedział. - Trzeba było od razu tak mówić..." I chociaż oczywiście nikt żadnych pytań na temat jego zatroskania nie zadawał, zaczął nagle szczegółowo objaśniać - stropiło go to, że w nocy, w czasie paniki, widział na własne oczy, jak Ernst Jurgen, rozpychając wszystkich łokciami, pędził do pawilonu, w którym stoi zero-kabina. Teraz rozumie, że się pomylił, tak nie było i jak się okazuje być nie mogło, ale w pierwszej chwili, kiedy zobaczył Ernsta Jurgena z puszką piwa...

Nie wiadomo, czy uwierzyła mu Zosia, ale Tojwo nie uwierzył w ani jedno słowo. Nic podobnego się nie odbyło, żaden Ernst Jurgen nie przywidział się wczoraj Olegowi Olegowiczowi, tylko wiedział Oleg Olegowicz o tym Jurgenie coś, co było znacznie bardziej interesujące, ale chyba niezbyt chwalebne, jeżeli nie chciał opowiedzieć...

I wtedy cień upadł na Małą Peszę, przestrzeń dookoła wypełniło aksamitne bzyczenie, jak bomba wypadł zza węgła pawilonu zaniepokojony Basile, naciągając w biegu swoją kurtkę i słońce ponownie weszło nad Małą Peszą, na placu zaś majestatycznie, nie przygniatając ani jednego źdźbła, przysiadł cały złocisty i lśniący niczym gigantyczny kołacz pseudograwit klasy "puma" z tych najnowszych, supernowoczesnych. Błyskawicznie pękły na obwodzie jego niezliczone owalne luki i wysypali się na plac długonodzy, opaleni, rzeczowi, głośno mówiący chłopcy, wysypali się, ciągnąc jakieś lejowato zakończone skrzynki, rozwijali węże z dziwacznymi końcówkami, zaczęli błyskać blitz-kontaktorami, rozpoczęła się krzątania, bieganie, machanie rękami i najbardziej wśród nich krzątał się i biegał, i machał rękami, ciągał skrzynki, rozwijał węże Lew Dudemar Tołstow, wciąż jeszcze w tym samym kombinezonie oblepionym zaschniętym zielonym ilem.

GABINET NACZELNIKA WYDZIAŁU NW. 6 MAJA 99 ROKU. OKOŁO PIERWSZEJ PO POŁUDNIU.

- I co im się udało osiągnąć tą techniką? - zapytałem.

Tojwo ze znużeniem patrzył w okno, śledząc spojrzeniem Obłoczne Osiedle, płynące gdzieś nad południowymi peryferiami Swierdłowska.

- Nic szczególnie nowego - odpowiedział. - Zrekonstruowali najbardziej prawdopodobny wygląd zwierząt. Wyniki analiz, takie jakie otrzymali ci ze Służby Awaryjnej. Byli zdziwieni, że nie zachowały się otoczki embriofor. Zdumiała ich energetyka i twierdzili, że to niemożliwe.

- Wysłałeś pytania? - zapytałem, z ogromnym wysiłkiem.

Chce tu raz jeszcze podkreślić, że wtedy już wszystko widziałem. Wszystko wiedziałem, wszystko rozumiałem, ale nie miałem pojęcia, co mam zrobić z tym moim widzeniem, wiedzą i rozumem. Nic nie potrafiłem wymyślić, a moi pracownicy i koledzy tylko mi przeszkadzali. W szczególności Tojwo Głumow.

Najbardziej na świecie pragnąłem, aby natychmiast, nie czekając ani chwili, wysłać go na urlop. Wysłać na urlop wszystkich do ostatniego stażysty, samemu zaś odłączyć wszelkie linie łączności,

aktywować ekranowanie, zamknąć oczy i chociażby na jedną dobę zostać zupełnie samemu. Żeby nie musiał uważać na swój wyraz twarzy. Żeby nie musiał zastanawiać się, jakie moje słowa zabrzmiały naturalnie, a jakie dziwnie. Żeby w ogóle nie musiał myśleć o czymkolwiek, żeby w głowie powstała przepastna pustka i może wtedy poszukiwane rozwiązanie pojawi się w tej pustce samo przez się. To było coś w rodzaju halucynacji - takie halucynacje zdarzają się, kiedy człowieka trapi jednostajny, nieprzerwany ból. Trwało to już ponad pięć tygodni, moje siły duchowe były na wyczerpaniu, ale na razie udawało mi się jeszcze panować nad swoją twarzą, kierować swoim zachowaniem i zadawać absolutnie sensowne pytania.

- Wysłałeś pytania? - zapytałem Tojwo Głumowa.

- Pytania wysłałem - odpowiedział monotonna. - Do Burgermeiera, do zjednoczenia "Embriomechanika". Do Gorbackiego. Do rąk własnych. I do Fleminga. Na wszelki wypadek. Wszystko w pana imieniu.

- Dobrze - powiedziałem. - Poczekamy.

Teraz należało dać mu się wygadać. Przecież widziałem - musi się wygadać. Powinien być pewien, że to co najważniejsze dotarło do przełożonego. Idealny przełożony sam powinien wydzielić i podkreślić to najważniejsze, ale na to nie miałem już siły.

- Chcesz jeszcze coś dodać? - zapytałem.

- Tak. Chce - strącił prztyczkiem niewidzialny pyłek z powierzchni stołu. - Niezwykła technologia - ale nie ona jest najważniejsza. Najważniejsze - to dyspersja reakcji.

- To znaczy? - zapytałem. (Do tego wszystkiego musiałem go jeszcze poganiać).

- Mógł pan zauważyć, że wydarzenia te rozdzieliły świadków na dwie nierówne grupy. Mówiąc ściślej nawet na trzy. Przeważająca część świadków uległa nieopanowanej panice. Szatan na średniowiecznej wsi. Całkowita utrata samokontroli. Ludzie uciekali z Ziemi. Teraz druga grupa. Zootechnik Anatolij Sergiejewicz i malarka Zosia Ładowa, chociaż początkowo bardzo się wystraszyli, jednak następnie znaleźli w sobie dość sił, żeby wrócić, przy czym malarka dostrzegła w tych zwierzętach jakiś urok. I wreszcie - stara primabalerina i chłopiec Kir. I może jeszcze Pankratow, mąż Ładowej. Ci w ogóle się nie przestraszyli. Powiedziałbym nawet przeciwnie. Dyspersja reakcji - powtórzył Tojwo.

Wiedziałem czego on ode mnie oczekuje. Wnioski leżały na powierzchni. Ktoś przeprowadził w Małej Peszy eksperyment, polegający na selekcji, rozdzielił ludzi według ich reakcji na tych, którzy się nadają i na tych, którzy do czegoś tam się nie nadają. Dokładnie tak samo jak ten, który przeprowadzał selekcję w sektorze podprzestrzeni wejścia 41/02.1 jest zupełnie jasne, kto to jest ten ktoś, dysponujący nieznaną nam techniką. To ten sam, któremu z niewiadomego nam powodu przeszkadzała fukamizacja... Tojwo Głumow mógłby sam to wszystko sformułować, ale z jego punktu widzenia byłoby to naruszenie zasad służbowej etyki i zasady "sjao". Wyciąganie takich wniosków - to prerogatywa przełożonego i starszego klanu.

Ale ja nie wykorzystałem swoich prerogatyw. Na to również już nie miałem siły.

- Dyspersja - powtórzyłem. - Brzmi to dość przekonująco.

Zdaje się, że jednak sfałszowałem, ponieważ Tojwo podniósł nagle swoje białe rzęsy i spojrzał mi prosto w oczy.

- To wszystko? - zapytałem natychmiast.

- Tak - odpowiedział. - Wszystko.

- Dobrze. Poczekamy na wynik ekspertyzy. Co zamierzasz teraz robić? Pójdiesz spać?

Westchnął. Ledwie dosłyszalnie. "Szef nie uznał za stosowne". Mniej opanowany człowiek na jego miejscu powiedziałby coś nieuprzejmego. Tojwo powiedział:

- Nie wiem. Chyba pójdę jeszcze trochę popracować. Dzisiaj powinny zakończyć się obliczenia.

- W związku z wielorybami?

- Tak.

- Dobrze - powiedziałem. - Jak chcesz. A jutro bądź łaskaw pojechać do Charkowa. Tojwo unioś białe brwi, ale nie powiedział nic.

- Wiesz co to jest Instytut Dziwaków? - zapytałem.

- Tak. Kikin mi opowiadał.

Teraz ja uniosłem brwi. W myśli. Rozpuścili się jak dziadowskie bicze. Niech ich wszyscy diabli wezmą. Czy naprawdę, za każdym razem trzeba każdego uprzedzać, żeby trzymał język za zębami? Nie KOMKON-2, tylko pogaduszki w maglu...

- I co takiego opowiedział ci Kikin? - zapytałem.

- To filia Instytutu Badań Metapsychoicznych. Badają graniczne i podgraniczne właściwości ludzkiej psychiki. Mnóstwo najdziwniejszych ludzi.

- Zgadza się - powiedziałem. - Wybierzesz się tam jutro. Zadanie będzie następujące.

Zadanie sformułowałem tak. 25 marca Instytut Dziwaków zaszczylił swoją wizytą słynny Szaman z planety Saraksz. Kto to taki ten Szaman? Niewątpliwie mutant. Więcej, jest panem i władcą wszystkich mutantów w radioaktywnych dżunglach za Błękitną Żmiją. Jest obdarzony wieloma zdumiewającymi zdolnościami, na przykład jest również psychokrata. Co to takiego psychokrata? - Psychokratą nazywamy istotę, zdolną podporządkować sobie cudzą psychikę. Do tego Szaman posiada niebywały potencjał intelektualny, jest z tych sapiensów, którym wystarczy kropla wody, żeby wywnioskować o istnieniu oceanów. Szaman przybył na Ziemię z prywatną wizytą. Nie wiadomo dlaczego w pierwszej kolejności zainteresował go przede wszystkim Instytut Dziwaków. Być może, pragnął znaleźć się wśród sobie podobnych, tego nie wiemy. Jego wizyta była przewidziana na cztery dni, ale wyjechał po godzinie. Wrócił na Saraksz i tam przepadł w swoich radioaktywnych dżunglach.

Do tego momentu moje informacje dla Tojwo zawierały samą tylko prawdę i nic poza prawdą. Dalej zaczynało się pseudoquasi.

W ciągu całego ostatniego miesiąca nasi Progresorzy na Sarakszu na moją prośbę próbują nawiązać łączność z Szamanem. I nijak się to im nie udaje. Czy, nie zdając sobie sprawy, tu na Ziemi uraziliśmy czymś Szamana, czy wystarczyła mu jedna godzina, żeby uzyskać całą potrzebną mu informację, o ludziach, czy też w ogóle zaszło coś specyficznego szamańskiego i dlatego absolutnie niepojętego dla nas - nie wiadomo. Mówiąc krótko, należy pojechać do Instytutu, przejrzeć tam całość materiałów dotyczących Szamana (jeśli przeprowadzono jakieś testy), porozmawiać z wszystkimi pracownikami, którzy mieli do czynienia z Szamanem, dowiedzieć się, czy nie zdarzyło się w czasie pobytu Szamana w Instytucie coś dziwnego, czy nie zapamiętano jakichś jego wypowiedzi na temat Ziemi albo też ludzi, i czy Szaman nie

zrobił czegoś, co wtedy wydało się bez znaczenia, ale teraz nabrało wagi.

- Wszystko jasne? - zapytałem.

Tojwo znowu spojrział na mnie i szybko spuścił oczy.

- Nie powiedział pan z jakim tematem związana jest moja delegacja.

Nie, to nie było przebłyskiem intuicji. I raczej nie złapał mnie na pseudoquasi. Po prostu całkiem szczerze nie mogłem zrozumieć, dlaczego jego szef, dysponując taką istotną informacją dotyczącą infiltracji znienawidzonych Wędrowców, może zajmować się postronnymi sprawami. Wiec powiedziałem:

- Temat wciąż ten sam. "Wizyta starszej pani".

(Właściwie tak właśnie było. W szerokim znaczeniu tych słów. W najszerszym.)

Czas jakiś Tojwo milczał, bezdźwięcznie postukując palcami po powierzchni stołu. Potem powiedział jakby przepaszając:

- Nie widzę związku...

- Jeszcze zobaczysz - obiecałem.

Tojwo milczał.

- A jeśli nie ma związku, to tym lepiej - powiedziałem. - To jest czarownik, rozumiesz? Autentyczny czarownik, ja go znam. Prawdziwy czarownik z bajek, na ramieniu siedzi mu gadający ptak i tak dalej. Do tego jeszcze czarownik z innej planety. Jest potrzebny mi za wszelką cenę!

- Potencjalny sprzymierzeniec - powiedział Tojwo z cieniem pytania w głosie.

No proszę, sam sobie wszystko wyjaśnił. Teraz będzie pracować jak oszałały. Być może nawet odnajdzie Szamana. Co zresztą jest dosyć wątpliwe.

- Weź pod uwagę - powiedziałem - że w Charkowie będziesz występować jako pracownik Wielkiego KOMKONu. To nie konspiracja, Wielki KOMKON rzeczywiście poszukuje Szamana.

- Dobrze - powiedział Tojwo.

- Wszystko jasne? W takim razie idź już. No idź, idź. Pozdrowienia dla Asi.

Poszedł, a ja wreszcie zostałem sam. Na kilka błogosławionych minut. Do następnego dzwonka wideofonu. I oto w czasie tych błogosławionych minut zdecydowałem ostatecznie - trzeba iść do Atosa. Iść natychmiast, dlatego że kiedy Atos pójdzie do szpitala na operację, nie będzie w pobliżu mnie ani jednego człowieka, do którego będę mógł iść.

DOKUMENT NR 5

KOMKON-2 Swierdłowski.

Maksym Kammerer.

Od Gorbackiego, dyrektora biocentrum.

W odpowiedzi na pytanie z dnia 6 maja br.

Ktoś pana robi w konia. Coś takiego jest niemożliwe. Niech pan się nie przejmuje.

Gorbacki

(koniec Dokumentu nr 5)

DOKUMENT NR 6

**KOMKON-2,
Maksym Kammerer**

Maksym!

O tym, co się stało w Małej Peszy, wiem wszystko. Sprawa moim zdaniem niezwykła i budząca zawiść. Twoi chłopcy bardzo precyzyjnie postawili pytania, na które wszyscy jesteśmy zobowiązani odpowiedzieć. Tym właśnie teraz się zajmuje, odłożywszy wszystkie inne sprawy. Kiedy się coś wyjaśni, natychmiast dam ci znać.

Fleming

Dolna Pesza, 15.30

PS. A może coś już wyjaśniłeś swoimi kanałami? Jeśli tak, zawiadom mnie jak najprędzej. W ciągu najbliższych trzech dni siedzę w Dolnej Peszy.

PPS. Czyżby mimo wszystko Wędrowcy? Do diabła, to byłoby fajnie!

(koniec Dokumentu nr 6)

DOKUMENT 7

Zjednoczenie "EMBRIOMECHANIKA"

Dyrektoriat.

Ziemia, region Antarktyczny.

Erebus A 18/03 62

Indeks O/T: KC 946239

Łączność: SKU-76

Burgermeier Adolf-Anna Dyrektor Generalny

S-283 7 maja 99 roku

KOMKON-2 Ural-Północ. NW łączność: SRZ-23

Do naczelnika wydziału NW Maksyma Kammerera

Treść: odpowiedź na pismo z dnia 6 maja 99 roku

Drogi Kammerer!

W związku z interesującymi pana właściwościami embrioformów stwierdzam co następuje:

1) Łączna masa powstających mechanizmów - do 200 kg. Maksymalna liczba - 8 sztuk. Maksymalny rozmiar egzemplarza może pan obliczyć według programu 102 ASTA (M, R, Rq, K), gdzie M - masa materiału wyjściowego, R - gęstość materiału wyjściowego, Rq - gęstość środowiska, K - ilość powstających mechanizmów. Ten stosunek ze znaczną dokładnością zachodzi w rozpiętości temperatury od 200 do 4000 i w rozpiętości ciśnienia od 0 do 200 SE.

2) Czas rozwoju embriofora - to wielkość niecharakterystyczna, zależna od bardzo wielu parametrów, które całkowicie znajdują się pod kontrolą inicjatora. Dla najszybciej działających embrioforów istnieje dolna granica czasu rozwoju i wynosi około 1 min.

3) Czas trwania znanych mi obecnie biomechanizmów zależy od ich indywidualnej masy. Masa krytyczna biomechanizmu wynosi $M^{\circ} = 12$ kg. Biomechanizmy, których masa nie przekracza M° , teoretycznie mogą żyć w nieskończoność. Czas zaś istnienia biomechanizmów o większej masie zmniejsza się wraz ze wzrostem nadmiaru masy według eksponenty tak, że czas istnienia egzemplarzy o największej masie (rzędu 100 kg) nie może przewyższać kilku sekund.

4) Problem stworzenia embriofora, który mógłby się całkowicie rozessać, istnieje już od dawna, lecz - niestety - jest jeszcze daleki do rozwiązania. Nawet najdoskonalsza technika nie potrafi jeszcze skonstruować otoczki, która by w pełni mogła się włączyć w cykl rozwoju.

5) Mikroskopijne biomechanizmy ogólnie mówiąc posiadają znaczną ruchliwość (do tysiąca własnej długości na minutę). Jeżeli zaś chodzi o prototypy polowe, to za rekordowy uważa się na razie model KS-3 "Pasikonik", który może rozwijać prędkość w określonym kierunku do 5 m/sek.

6) Można stwierdzić ze stuprocentową pewnością, że każdy ze zrealizowanych obecnie biomechanizmów ostro i jednoznacznie (negatywnie) reaguje na naturalne biopole. Jest to zakodowane w systemie genetycznym każdego biomechanizmu - i nie z etycznych, jak wielu sądzi, powodów, tylko dlatego, że każde naturalne biopole o intensywności przewyższającej 0,63 GD (biopole kota) emituje zakłócenia nie do skompensowania w systemie sygnałnym biomechanizmu.

7) W związku z bilansem energetycznym. Ukształtowanie przez embiofora biomechanizmu o parametrach opisanych w pańskim piśmie musiałyby doprowadzić do gwałtownego wyzwolenia się energii (eksplozja), w razie gdyby opisane przez pana wydarzenie było w ogóle możliwe. Jednakże wszystko wskazuje na to, że opisane wydarzenie, jak wynika z wszystkiego, co stwierdziłem powyżej, a także jeśli wziąć pod uwagę możliwości nauki i techniki, na obecnym poziomie rozwoju, jest płodem czyjejś fantazji.

Z poważaniem

Dyrektor Generalny Burgermeier

(koniec Dokumentu 7)

DOKUMENT 8

RAPORT-MELDUNEK

Nr 016/99

KOMKON-2

Ural-Północ

Data: 8 maja 99 roku

Autor: Tojwo Głumow, inspektor

Temat: 009 "Wizyta starszej pani"

Treść: o pobycie Szamana (Saraksz) w Charkowskim Instytucie Badań Metapsychicznych (Instytut Dziwaków)

Zgodnie z poleceniem, wczoraj rano przybyłem do Charkowa, do filii Instytutu Dziwaków. Zastępca dyrektora filii, Łogowienko, wyznaczył mi audiencje na 10.00, jednakże do jego gabinetu nie wpuszczono mnie od razu. Najpierw zbadano mnie w komorze poślizgowej częstotliwości KSCZ-8, zwanej również "Pułapką na Dziwaka". Okazuje się, takiemu badaniu poddają tu każdego nowego przybysza. Cel badania - wykrycie u przypadkowego człowieka "latentnych zdolności metapsychicznych", inaczej mówiąc, tak zwanej "utajonej dziwaczności".

010.25 stawiłem się u zastępcy dyrektora do spraw kontaktów z organizacjami społecznymi.

(Łogowienko Danii Aleksandrowicz, doktor psychologa, członek korespondent Akademii Nauk Medycznych Europy. Urodzony 17.09.30 w Boryspolu. Wykształcenie: Instytut Psychologii w Kijowie. Wydział Zarządzania Uniwersytetu Kijowskiego. Specjalne kursy wyższej i anomalnej etiologii w Splicie. Podstawowe prace - w dziedzinie metapsychologii odkrył tzw. "impuls Łogowienko" czyli "rytm T mentogramu". Jeden z założycieli Charkowskiej filii Instytutu Badań Metapsychicznych).

Danił Łogowienko opowiedział mi, że sam osobiście powitał Szamana 25 marca br. na kosmodromie Mirza Czarle i przywiózł go wprost do budynku Instytutu. Obecni przy tym byli: kierownik oddziału filii Bohdan Gajdaj i towarzyszący Szamanowi z ramienia KOMKONu-1 znany nam Bona Łaptiew.

Po przybyciu do Instytutu Szaman uchylił się od tradycyjnej rozmowy wstępnej w czasie niewielkiego przyjęcia i wyraził chęć niezwłocznego rozpoczęcia zaznajamiania się z działalnością pracowników Instytutu oraz z ich klientelą. Wtedy Danił Łogowienko przekazał opiekę nad Szamanem Gajdajowi i więcej już Szamana nie zobaczył.

Ja: W jakim celu, pańskim zdaniem, Szaman przyjechał do Instytutu?

Łogowienko: Szaman nic na ten temat nie powiedział. KOMKON poinformował nas, że Szaman jakoby wyraził życzenie zapoznania się z naszymi pracami, a my umożliwiliśmy mu to z przyjemnością. Oczywiście mieliśmy w tym także własny interes - chcieliśmy przetestować samego Szamana. W polu naszego widzenia jeszcze nigdy nie znalazł się psychokrata o podobnej mocy i do tego obcoplanetarny.

Ja: Co wykazało badanie?

Łogowienko: Badanie się nie odbyło. Szaman nieoczekiwanie przerwał swoją wizytę, ku zaskoczeniu nas wszystkich.

Ja: Jak pan sądzi, dlaczego?

Łogowienko: Gubimy się w domysłach. Ja osobiście skłonny jestem przypuszczać, co następuje. Przedstawiono mu Michaela Desmonda, to polimental. I możliwe, że Szaman wychwycił u Michaela coś takiego, co nam umknęło, a jego przstraszyło, czy uraziło, słowem, zaszokowało do takiego stopnia, że stracił ochotę do kontaktów z nami. Niech pan nie zapomina, że to psychokrata, intelektualista, ale z pochodzenia, z wychowania, również w sferze światopoglądu, jeśli można tak powiedzieć, to typowy dzikus.

Ja: Niezupełnie rozumiem. Co to takiego polimental?

Łogowienko: Polimentalizm - to bardzo rzadkie metapsychiczne zjawisko, współistnienie w jednym organizmie ludzkim dwóch i więcej niezależnych świadomości. Proszę nie mylić ze schizofrenią, to nie patologia. Na przykład nasz Misza Desmond. To idealnie zdrowy, bardzo sympatyczny młody chłopak, który nie zdradza żadnych odchyłeń od normy. No i jakieś dziesięć lat temu najzupełniej przypadkowo wykryto u niego podwójny mentogram. Jeden - zwyczajny, ludzki, jednoznacznie związany z przeszłością i terażniejszością Michaela. I drugi - wykrywalny przy bardzo precyzyjnie określonej głębokości mentoskopii. To mentogram istoty, która nie ma z Michaelem nic wspólnego, przebywającej w świecie, którego dotąd nie udało się nam zidentyfikować. Najwidoczniej jest to świat wysokich temperatur i ogromnych ciśnień... Zresztą nie to jest ważne. Ważne jest natomiast, że Michael nie ma pojęcia ani o tym świecie, ani o tej sąsiadującej świadomości, tamta zaś istota nie ma pojęcia ani o Michaelu, ani o naszym świecie. Wiec tak sobie myślę. - udało się nam wykryć u Michaela jedną sąsiadującą świadomość, a może współistnieją z nią jeszcze jakieś inne, znajdujące się poza zasięgiem naszych możliwości wykrywania i to właśnie one mogły zaszokować Szamana.

Ja: A pana szokuje ten drugi świat waszego Desmonda?

Łogowienko: Rozumiem. Nie. Stanowczo - nie. Ale muszę panu powiedzieć, że ten człowiek, który robił mentoskopie i pierwszy zajrzał w ten inny świat, przeżył silny bardzo wstrząs. Przede wszystkim, rzecz jasna, dlatego, ponieważ uznał, że Michael jest zamaskowanym agentem jakichś tam Wędrowców. Progresorem z obcego nam świata.

Ja: A w jaki sposób ustaliliście, że to nie tak?

Łogowienko: Jeśli o to chodzi, może pan być spokojny!. Miedzy zachowaniem się Michaela a funkcjonowaniem drugiej świadomości nie ma żadnej korelacji. Sąsiadujące świadomości polimentala w żaden sposób nie oddziałują na siebie. Nie mogą oddziaływać z przyczyn zasadniczych - funkcjonują w różnych przestrzeniach. Oto bardzo prymitywna analogia. Proszę sobie wyobrazić teatr cieni. Cienie rzucone z projektora na ekran nie mogą oddziaływać na siebie. Oczywiście pozostają rozmaite fantastyczne hipotezy, ale są czyste fantastyczne.

Na tym zakończyła się moja rozmowa z Danilem Łogowienko i porzedstawiono mnie Bohdanowi Gajdajowi.

(Gajdaj Bohdan, magister psychologii. Urodzony 10.06.55 w Seredynie-Budzie. Wykształcenie: Instytut Psychologii w Kijowie. Specjalne kursy wyższej i anomalnej etologii, Split. Główne prace - w dziedzinie metapsychologii. Od 89 roku pracownik zakładu psychoprognozyki, od 93 - kierownik laboratorium zabezpieczenia aparatury, od 94- kierownik zakładu techniki introspsychicznej..)

Fragment rozmowy:

Ja: Co, pańskim zdaniem, najbardziej interesowało Szamana w Instytucie?

Gajdaj: Wie pan, odniosłem wrażenie, że ten Szaman był po prostu źle poinformowany. Niema w tym zresztą nic dziwnego, nawet tu na Ziemi wielu fałszywie wyobraża sobie naszą pracę, więc czego oczekiwać od Progresorów, z którymi Szaman stykał się u siebie na Sarakszu? Rozumie pan, od razu mnie zdziwiło, dlaczego Szaman, ktoś z obcej planety, na całej Ziemi chciał zobaczyć tylko nasz Instytut... Wydaje mi się, że wiem, o co chodzi. U siebie, na planecie Saraksz, Szaman to - można powiedzieć - król mutantów i w związku z tym ma na pewno masę problemów - mutanci degenerują się, chorują, trzeba ich leczyć, jakoś podtrzymywać na duchu. A nasi "dziwacy" - to przecież też swego rodzaju mutanci, WIĘC Szaman wyobraził sobie, że zdoła uzyskać w Instytucie jakieś pożyteczne informacje, może myślał, że jest to coś w rodzaju kliniki.

Ja: A kiedy zrozumiał swoją pomyłkę, odwrócił się i wyszedł?

Gajdaj: Dokładnie tak. Chyba tylko trochę zbyt gwałtownie odwrócił się i trochę zbyt pośpiesznie wyszedł, ale ostatecznie niewykluczone, że takie są ich obyczaje.

Ja: O czym z panem rozmawiał?

Gajdaj: O niczym ze mną nie rozmawiał. W ogóle tylko raz usłyszałem jego głos. Zapytałem go, co chciałby u nas obejrzeć i wtedy odpowiedział "Wszystko co mi pan pokaże". Głos miał, muszę powiedzieć" dość nieprzyjemny, jak stara, swarliwa wiedźma.

Ja: A w jakim języku rozmawialiście?

Gajdaj: Niech pan sobie wyobrazi, że po ukraińsku!

Według świadectwa Gajdaja Szaman spotkał się w Instytucie zaledwie z trojgiem ludzi. Na razie udało mi się porozmawiać z dwojgiem.

Rawicz Maryna, lat 27, z wykształcenia lekarz weterynarii, obecnie konsultantka leningradziej fabryki embriosystemów, pracowni realizacji P-abstrakcji w Lozannie, Belgradzkiego Instytutu Laminarnej Pozytroniki i głównego architekta regionu jakuckiego. Skromna, bardzo nieśmiała i smutna kobieta. Posiada unikalną i na razie jeszcze nie wyjaśnioną zdolność (tej zdolności nie nadano jeszcze naukowej nazwy). Jeśli przed Maryną stawia się jasno sformułowany i zrozumiały dla niej problem, zaczyna go rozwiązywać z radością i zapałem, ale absolutnie wbrew swojej woli otrzymuje w rezultacie rozwiązanie zupełnie innego problemu, który nie ma nic wspólnego z tym poprzednim i z reguły nie ma nic wspólnego z jej zawodowymi zainteresowaniami. Postawione zadanie działa na jej świadomość jak katalizator przyspieszający rozwiązanie jakiegoś problemu, z którym kiedyś albo pobieżnie się zapoznała dzięki publikacji w popularnonaukowym periodyku, albo też przypadkiem, słysząc rozmowę specjalistów. Ustalenie z góry, jaki problem Maryna Rawicz rozwiąże, jest najwidoczniej niemożliwe z samego założenia - działa tu coś w rodzaju klasycznej zasady nieokreśloności jak w fizyce. Szaman pojawił się w jej gabinecie w chwili, kiedy pracowała. Pamięta dość mętnie szkaradną, wielkogłową postać, owiniętą w coś zielonego-i nic więcej z pobytu Szamana jej świadomość nie zachowała. Nie, Szaman nic nie powiedział. Jakies zwyczajowe uprzejmości na temat jej "daru" wypowiadał Bohdan i żadnego innego głosu Maryna nie pamięta. Według Gajdaja Szaman spędził u Maryny dwie minuty, zainteresowała go widocznie nie bardziej niż on ją.

Michael Desmond, lat 41, z wykształcenia inżynier-granulista, zawodowy sportowiec. Wesoły, bardzo zadowolony z siebie i Wszechświata. Mistrz Europy z 88 roku w hokeju tunelowym. Do swego polimentalizmu odnosi się z humorem i absolutnie obojętnie. Właśnie wybierał się na stadion, kiedy przyprowadzono do niego Szamana. Szaman, według słów Michaela, wyglądał chorowicie, milczał przez cały czas, żarty do niego nie docierały, najprawdopodobniej niezupełnie rozumiał, gdzie się znajduje i co się do niego mówi. Był co prawda moment, który Michael zapamięta na całe życie: Szaman uniósł nagle swoje ogromne, blade powieki i zajął Michaelowi wprost w duszę, a może nawet głębiej, w samo jądro tego świata, gdzie zamieszkuje stwór, z którym Michael zmuszony jest dzielić wspólny obszar mentalnej przestrzeni. Był to moment niemiły, ale interesujący. Wkrótce potem Szaman oddalił się, nie racząc otworzyć ust. Ani pożegnać się.

Susumu Hirota czyli "Senrigan", co oznacza "Widzący na tysiąc mil", lat 83, historyk religii, profesor historii religii na uniwersytecie w Bangkoku. Porozmawiać z nim mi się nie udało. Do Instytutu wróci dopiero jutro albo pojutrze. Zdaniem Gajdaja Szamanowi ten jasnowidz zdecydowanie się nie spodobał. W każdym razie zostało stwierdzone ponad wszelką wątpliwość, że Szaman wyszedł właśnie w czasie tego spotkania.

Zdaniem wszystkich świadków wyglądało to tak. Szaman stał na środku gabinetu mentoskopii, słuchając wykładu Gajdaja o niezwykłych zdolnościach "Senrigana", a "Senrigan" od czasu do czasu przerywał wykładowcy kolejną rewelację dotyczącą jego, wykładowcy, spraw osobistych aż nagle - nie mówiąc ani słowa, nie poprzedzając swojej decyzji ani gestem, ani spojrzeniem - ten zielony gnóm zrobił gwałtowne w tył zwrot, potrącając łokciem Borie Łaptiewa, i szybkim krokiem, nie zatrzymując się nigdzie ani na moment, ruszył korytarzami w kierunku wyjścia z Instytutu. Koniec.

W Instytucie Szamana widziało jeszcze kilku ludzi: pracownicy naukowcy, laboranci, ktoś tam z personelu administracyjnego. Nikt z nich nie wiedział, kogo widział. I tylko dwaj nowicjusze w Instytucie zwrócili na Szamana szczególną uwagę, zdumieni jego powierzchownością. Niczego istotnego od nich się nie dowiedziałem.

Następnie spotkałem się z Borysem Łaptinem. Oto najważniejsza część naszej rozmowy.

Ja: Jesteś jedynym człowiekiem, który był z Szamanem cały czas, od Saraksza do Saraksza. Nie rzuciło ci się w oczy nic dziwnego?

Borys: Niezłe pytanie. Wiesz, zapytano kiedyś wielbłąda "Dlaczego masz krzywą szyję?" A wielbłąd odpowiedział: "A co ja mam proste?"

Ja: A jednak? Spróbuj przypomnieć sobie, jak się zachowywał przez ten cały czas. Przecież coś się musiało stać, jeśli tak nagle stanął dęba!

Borys: Słuchaj, znam Szamana już dwa ziemskie lata. To niezgłębiona istota. Już bardzo dawno machnąłem ręką i nawet nie próbuję cokolwiek zrozumieć. Co mogę powiedzieć? Miał tego dnia atak depresji, przynajmniej ja to tak nazywam. Od czasu do czasu nachodzi na niego bez żadnej widocznej przyczyny. Staje się milczący, a jeżeli nawet otwiera usta, to wyłącznie po to, żeby powiedzieć jakąś złośliwość czy zgryźliwość. Tak właśnie było tego dnia. Kiedy lecieliśmy z Saraksza, wszystko było świetnie, wygłaszał aforyzmy, żartował ze mną, nawet nucił... Ale już w Mirza-Czarle nagle sposepniał, z Łogowienko prawie nie rozmawiał, a kiedy razem z Gajdajem zaczęliśmy zwiedzać Instytut, wyglądał już

jak chmura gradowa. Zacząłem się nawet obawiać, że za moment kogoś obrazi, ale wtedy widocznie sam poczuł, że tak dalej być nie może, wciągnął pazury i na wszelki wypadek się wyniósł. Potem przez całą drogę na Saraksz milczał... tylko jeszcze w Mirza-Czarle obejrzał się jakby na pożegnanie i takim obrzydliwym, cieniutkim głosem zapiszczał: "Widzi lasy i góry, widzi niebo i chmury, widzi każde ździebełko, a nie widzi, gdzie belka".

Ja: Co to znaczy?

Borys: Jakiś wierszyk dla dzieci. Bardzo stary.

Ja: A jak ty go zrozumiałeś?

Borys: Nijak go nie rozumiałem. Zrozumiałem, że jest wściekły na cały świat i że zaraz zacznie gryźć. Zrozumiałem, że najlepiej będzie milczeć. No więc obaj milczeliśmy do samej planety Saraksz.

Ja: I to wszystko?

Borys: Wszystko. Przed samym lądowaniem jeszcze burknął, też ni w pięć, ni w dziewięć. Że niby poczekajmy, aż ślepi ujrzą widzących. A kiedy byliśmy już za Błękitną Żmiją, kiwnął mi głową i rozpląnął się w dżungli. Zauważ, że ani mi nie podziękował, ani nie zaprosił do siebie.

Ja: I nic więcej nie masz mi do powiedzenia?

Borys: Czego ty chcesz ode mnie? Tak, coś mu się na Ziemi okropnie nie spodobało. Ale co konkretnie - nie raczył powiedzieć. Przecież ci mówię. - Szaman jest istotą nieprzewidywalną i niepojętą. Być może wcale tu nie chodzi o Ziemię.. Być może po prostu nagle rozboleł go brzuch - w szerokim sensie tego słowa, w bardzo szerokim, kosmicznym sensie...

Ja: Uważasz, że to przypadek - najpierw dziecinny wierszyk, że ktoś tam nic nie widzi, a potem o ślepych i widzących?

Borys: Rozumiesz, tam u nich na Sarakszu, w Pandei, jest takie powiedzenie o ślepych i widzących: "Kiedy ślepy ujrzy widzącego". W sensie "kiedy rak świśnie, a ryba zaśpiewa". "Na święte nigdy". Widocznie chciał o czymś powiedzieć, co nigdy się nie stanie. A wierszyk - ot, tak sobie, normalna porcja jadu. Zadeklamował go z wyraźnym szyderstwem, tylko nie bardzo wiem, z kogo właściwie szydził. Bardzo możliwe, że z tego meczącego samochwała, Japończyka.

WNIOSKI WSTĘPNE

1. Żadnych danych, które mogłyby pomóc w poszukiwaniu Szamana na Saraksz, nie udało mi się uzyskać.
2. Nie mogę udzielić żadnych wskazówek w sprawie dalszych poszukiwań.

Tojwo Głumow

(koniec Dokumentu 8)

6 maja wieczorem przyjął mnie nasz Prezydent Atos-Sidorow. Wziąłem ze sobą najciekawsze materiały, a istotę, sprawę, podobnie jak moje własne wnioski, zreferowałem mu ustnie. Był już strasznie chory, twarz miał ziemistą, męczyła go zadyszka. Zbyt długo zwlekałem z tą wizytą - nie starczyło mu sił, żeby się autentycznie zdziwić. Powiedział, że zapozna się z materiałami, pomyśli i skomunikuje się ze mną

jutro.

7 maja cały dzień przesiedziałem u siebie w gabinecie, czekając na połączenie. Atos nie skomunikował się ze mną. Wieczorem otrzymałem wiadomość, że miał bardzo silny atak, że z trudem go odratowano i że leży teraz w szpitalu. I znowu to spadło na mnie jednego, i to tak, że zatrzeszczały wszystkie kości mojej nieszczęsnej duszy.

8 maja otrzymałem, poza wszystkim innym, sprawozdanie Tojwo z jego wizyty w Instytucie Dziwaków. Postawiłem na swojej liście znaczek przy jego nazwisku, wprowadziłem raport-meldunek do rejestratora i zacząłem wymyślać zadanie dla Pieti Sileckiego. Do tego dnia Instytutu nie odwiedzili jeszcze tylko Pietia Silecki i Zoja Morozowa.

Mniej więcej w tym samym czasie Tojwo Głumow rozmawiał w swoim gabinecie z Griszą Serosowinem. Przytaczam poniżej rekonstrukcje ich rozmowy przede wszystkim po to, aby zademonstrować nastroje, panujące wówczas wśród moich pracowników. Chodzi tylko o jakość. Ilościowo były zachowane poprzednie proporcje - po jednej stronie Tojwo Głumow, po drugiej - wszyscy inni.

WYDZIAŁ NW, GABINET "D". 8 MAJA 99 ROKU. WIECZÓR.

Grisza Serosowin wszedł swoim zwyczajem bez pukania, stanął w progu i zapytał:

- Można?

Tojwo odłożył na bok "Ruch pionowy" (utwór anonimowego K. Oksowiu), kiwnął głową i obejrzał Grisze.

- Można. Tylko już wkrótce idę do domu. - Sandro znowu nie ma?

Tojwo spojrział na biurko Sandro. Biurko było puste i idealnie czyste.

- Tak. Już trzeci dzień.

Grisza usiadł przy biurku Sandro i założył nogę na nogę.

- A ciebie gdzie wczoraj poniosło? - zapytał.

- Do Charkowa.

- A więc i ty byłeś w Charkowie?

- Kto jeszcze był?

- Prawie wszyscy. W ciągu ostatniego miesiąca prawie cały wydział jeździł do Charkowa. Słuchaj, Tojwo, przyszedłem w konkretnej sprawie. To ty przecież zajmujesz się "nagłymi geniuszami"?

- Tak. Tylko to było dawno. Dwa lata temu.

- Pamiętasz Soddi?

- Pamiętam. Bartolomeo Soddi. Matematyk, który został prorokiem.

- Właśnie, właśnie o niego chodzi - powiedział Grisza. - W komunikacie jest jedno zdanie. Cytuje: "Według posiadanych danych Bartolomeo Soddi krótko przed metamorfozą przeżył tragedie osobistą". Jeśli to ty redagowałeś komunikat, to mam dwa pytania. Co to była za tragedia i skąd otrzymałeś te informacje?

Tojwo wyciągnął rękę i wywołał swój program na terminal. Selekcja informacji już się zakończyła, następowało obliczanie. Tojwo niespiesznie zaczął sprzątać na swoim biurku. Grisza cierpliwie czekał. Był przyzwyczajony.

- Jeśli tam jest napisane "według posiadanych danych" - powiedział Tojwo - to znaczy, że te dane otrzymałem od Big Buga.

I zamilkł. Grisza czekał jeszcze chwile, założył nogę na nogę, tym razem odwrotnie niż poprzednio, i powiedział:

- Nie chciałbym z takim głupstwem iść do Big Buga. Trudno, jakoś sobie poradzę... Słuchaj, Tojwo, czy nie masz wrażenia, że nasz Big Bug ostatnio zrobił się jakiś nerwowy?

Tojwo wzruszył ramionami.

- Być może - powiedział. - Z Prezydentem jest bardzo źle. Gorbowski, powiadają, umiera. A przecież Big Bug zna ich wszystkich. I to zna bardzo dobrze.

Grisza powiedział z zadumą:

- Nawiasem mówiąc, ja też znam Gorbowskiego, wyobraź sobie. Pamiętasz... chociaż wtedy jeszcze nie pracowałeś u nas...Kamil popełnił samobójstwo... ostami z Diabelskiego Tuzina. Zresztą kasus Diabelskiego Tuzina to dla ciebie też... bajka o żelaznym wilku... Ja na przykład również nigdy o tym nie słyszałem... No, sam fakt samobójstwa, a ściślej mówiąc, autodestrukcji tego nieszczęsnego Kamila nie budził żadnych wątpliwości. Niezrozumiałe tylko było - dlaczego? To znaczy oczywiście nie miał słodkiego życia, przez ostatnie sto lat był absolutnie samotny... Ani ty, ani ja nie możemy sobie nawet wyobrazić takiej samotności... Ale nie o tym chciałem mówić. Big Bug posłał mnie wtedy do Gorbowskiego, ponieważ, jak się okazało, Gorbowski był w swoim czasie bardzo blisko z Kamilem i nawet jakoś próbował mu pomóc... Słuchasz mnie?.

Tojwo kilkakrotnie kiwnął głową.

- Tak - powiedział.

- Wiesz, jak teraz wyglądasz?

- Wiem - powiedział Tojwo. - Wyglądam jak ktoś, kto jest bardzo zajęty myśleniem o swoich sprawach. Już mi to mówiłeś. Kilka razy. Sztampa. Zgadza się?

Zamiast odpowiedzi Grisza z kieszeni na piersi wyciągnął nagle długopis i rzucił nim jak strzałką przez cały pokój, celując w głowę Tojwo. Tojwo dwoma palcami schwycił długopis w powietrzu, kilka centymetrów od swojej twarzy, i powiedział:

- Słabo.

"Słabo" - nakreślił długopisem na kartce przed sobą.

- Szczędziesz mnie, panie - powiedział. - Nie trzeba mnie szcędzić. To mi szkodzi.

- Rozumiesz, Tojwo - z uczuciem powiedział Grisza - wiem, że masz niezłą reakcję. Nie, żeby rewelacyjną, co to to nie, ale niezłą, przyzwoitą reakcję zawodowca. Ale wyglądasz...Zrozum, jako twój trener subaksu uważam po prostu za swój obowiązek od czasu do czasu sprawdzać, czy jesteś w stanie reagować na otoczenie, czy też rzeczywiście znajdujesz się w stanie katalepsji...

- Jednak się dziś zmęczyłem - powiedział Tojwo. - Zaraz program będzie gotowy i pójde do domu.

- A co tam u ciebie? - zapytał Grisza.

"Tam u mnie" - napisał Tojwo na kartce i powiedział:

- Tam u mnie wieloryby. U mnie tam ptaki. U mnie tam lemingi, szczury, myszy polne. U mnie tam wielu małych i dużych.

- I co one tam robią u ciebie?

- Giną. Albo uciekają. Umierają, wyskakując na brzeg, topią się, odlatują z miejsc, na których żyły przez wieki.

- Dlaczego?

- Tego nikt nie wie. Dwa, trzy wieki temu było to normalne zjawisko, chociaż i wtedy nie wiadomo, dlaczego tak się dzieje. Potem przez długi czas panował spokój. Zupełny. A teraz znowu się zaczęło,

- Przepraszam - powiedział Grisza. - To wszystko jest okropnie ciekawe, ale co my tu mamy do roboty?

Tojwo milczał i nie doczekawszy się odpowiedzi, Grisza zapytał:

- Uważasz, że to może mieć związek z Wędrowcami?

Tojwo starannie, ze wszystkich stron obejrzał długopis, obracając go w palcach, ujął za koniuszek i nie wiadomo dlaczego spojrzał pod światło.

- Wszystko, czego nie potrafimy wytłumaczyć, może mieć związek z Wędrowcami.

- Żelazna definicja - z zachwytem powiedział Grisza.

- A może i nie mieć związku - dodał Tojwo. - Skąd ty bierzesz takie ładne rzeczy? Wydawałoby się, że niby nic szczególnego - długopis. Co może być banalniejszego? A na twój długopis przyjemnie popatrzeć. Wiesz co? Podaruj mi go. A ja podaruję Asi. Chce jej sprawić przyjemność. Choćby długopisem.

- A ja tobie sprawię przyjemność chociażby nim.

- A ty mi sprawisz przyjemność chociażby nim.

- Bierz - powiedział Grisza. - Władaj. Podaruj, ofiaruj, coś tam zełgaj. Że niby sam zaprojektowałeś dla ukochanej, nie śpiąc po nocach.

- Dziękuję - powiedział Tojwo, chowając długopis do kieszeni.

- Ale wiedz! - Grisza uniósł palec - Tu za rogiem, na ulicy Czerwonych Klonów, stoi automat z warsztatu niejakiego F. Merana i wypieka takie właśnie długopisy odpowiednio do popytu.

Tojwo znowu wyjął długopis i zaczął go oglądać.

- To nie ma znaczenia - powiedział ze smutkiem. - Ty, na przykład, zauważyłeś ten automat na ulicy Czerwonych Klonów, a mnie do głowy nie przyszło zauważyć...

- Za to zauważyłeś zamieszanie w świecie wielorybów! - powiedział Grisza. "Wielorybów" - napisał Tojwo na karce.

- Ale a propos - powiedział. - Jesteś człowiekiem niezaangażowanym, bez uprzedzeń - powiedz, co o tym myślisz? Co takiego musiało się wydarzyć, żeby stado wielorybów, oswojonych, zadbanych, dopieszczonych, nagle, jak całe wieki temu, w dawnych złowieszczych czasach, wyskoczyło na mieliznę, żeby umrzeć? W milczeniu, razem z dziećmi, nie wzywając nawet pomocy... Czy możesz sobie wyobrazić jakąkolwiek przyczynę tego samobójstwa?

- A dawno temu dlaczego wyskakiwały na brzeg?

- Dlaczego wyskakiwały dawno temu też nie wiadomo. Ale wtedy można było coś tam przypuszczać. Wieloryby cierpiały z powodu pasożytów, na wieloryby napadały orki i kalmary, na wieloryby napadali ludzie... Istniała nawet teoria, że popełniały samobójstwa na znak protestu... Ale dzisiaj!

- A co mówią specjaliści?

- Specjaliści przysłali pismo do KOMKONu-2. Domagają się ustalenia przyczyn wznawiających się przypadków samobójstw wśród wielorybów.

- Hm... jasne. A co mówią pasterze?

- To od nich się wszystko zaczęło. Pasterze twierdzą, że wieloryby pędzą na śmierć opanowane strasliwym przerażeniem. I pasterze nie rozumieją, nie potrafią sobie wyobrazić, czego mogą się bać dzisiejsze wieloryby.

- Tak - powiedział Grisza. - Wygląda na to, że naprawdę muszą być w to zamieszani Wędrowcy. "Zamieszani" - napisał Tojwo, narysował dookoła ramkę, potem jeszcze jedną ramkę i zaczął zamalowywać przestrzeń między liniami.

- Chociaż z drugiej strony - mówił dalej Grisza - wszystko to już było, było i było. Gubimy się w domysłach, oczerniamy Wędrowców, niedługo mózg będziemy ncrllr na temblaku, a potem patrzymy - o! - ktoś to taki znajomy majaczy na horyzoncie wydarzeń? Któż to taki wytworny, z dumnym uśmiechem Pana Boga wieczorem szóstego dnia stworzenia? Czyja to taka śnieżnobiała, dobrze nam znana hiszpańska bródka? Mister Fleming, sir! Skąd pan tu trafił, sir? Może pozwoli pan ze mną, sir? Na Światową Radę, przed Nadzwyczajny Trybunał!

- Zgodzisz się ze mną, że byłby to nie najgorszy wariant - zauważył Tojwo.

- No chyba! Chociaż przypuszczam, że wolałbym mieć do czynienia z tuzinem Wędrowców niż z jednym Flemingiem. Zresztą to pewnie dlatego, że Wędrowcy to istoty wciąż jeszcze hipotetyczne, a Fleming ze swoją hiszpańską bródką - bestia zupełnie realna. Przerazająco realna, ze swoją śnieżnobiałą hiszpańską bródką, ze swoją Dolną Peszą, ze swoimi uczonymi bandytami, ze swoją przeklętą światową sławą!

- Widzę, że ta jego bródka szczególnie ci przeszkadza...

- Bródka mi jak raz nie przeszkadza - zaprzeczył Grisza jadowicie. - Za te bródkę właśnie możemy go złapać. A za co złapiemy Wędrowców, jeżeli się okaże, że to oni?

Tojwo starannie włożył długopis do kieszeni, wstał i podszedł do okna. Kątem oka zauważył, że Grisza uważnie go obserwuje, zdjął nogę z nogi i nawet pochylił się do przodu. Było cicho i tylko coś słabo popiskiwało w terminalu w takt zmiany tablic na ekranie monitora.

- Czy może masz nadzieje, że to jednak nie ONI? - zapytał Grisza.

Czas jakiś Tojwo milczał, a potem nagle powiedział, nie odwracając głowy:

- Teraz już nie mam nadziei.

- To znaczy?

- To oni.

Grisza zmrużył oczy.

- To znaczy?

Tojwo odwrócił się do niego.

- Mam pewność, że Wędrowcy są na Ziemi i że działają.

(Grisza opowiadał potem, że w tym momencie przeżył bardzo nieprzyjemny wstrząs. Miał uczucie pełnej irracjonalności tego, co się działo. Wszystko polegało na osobowości Tojwo Głumowa: słowa Tojwo

trudno było pogodzić z osobowością Tojwo. Słowa te nie mogły być żartem, dlatego że Tojwo nigdy nie żartował na temat Wędrowców. Słowa te nie mogły być opinią nie przemyślaną, ponieważ Tojwo nigdy nie wygłaszał nie przemyślanych opinii. I prawdą te słowa nijak być nie mogły, dlatego że nijak nie mogły być prawdą. Zresztą Tojwo mógł się mylić...)

Grisza zapytał z napięciem w głosie:

- Big Bug wie?
- Zameldowałem mu o wszystkich faktach.
- I co?
- Na razie, jak widzisz, nic.

Grisza rozluźnił się i znowu opadł na oparcie fotela.

- Po prostu się pomyliłeś - powiedział z ulgą. Tojwo milczał.

- Niech cię diabli! - zawołał Grisza. - Wiesz, do czego doprowadziłeś mnie swoimi okropnymi pomysłami? Czuje się tak, jakby mnie ktoś polał lodowatą wodą!

Tojwo milczał. Znowu odwrócił się do okna. Grisza zasapał, złapał się za koniuszek nosa i cały skrzywiony wykonał nim kilka okrężnych ruchów.

- Nie - powiedział. - Chodzi o to, że ja nie mogę tak jak ty. Nie mogę. To zbyt poważna sprawa. Mnie od tego odrzuca. Przecież to nie nasz prywatny spór - ja, powiedzmy, wierze, a wy nie - jak tam sobie chcecie. Gdybym uwierzył, mam obowiązek wszystko rzucić, poświęcić wszystko co mam, wszystkiego się wyrzec... iść do klasztoru, do diabła. Ale przecież nasze życie jest wielowariantowe! Jak można wtłoczyć je w coś jednego... Chociaż, oczywiście, czasami ogarnia mnie strach i wstyd, i wtedy patrzę na ciebie ze szczególnym zachwytem... A czasami - na przykład jak teraz - bierze mnie złość, kiedy na ciebie patrzę... na twoje samoudręczenie, na twoją monomanię... I mam ochotę śmiać się z ciebie, kpić z ciebie, wykręcić się od tego wszystkiego co nam tu chcesz zwalić...

- Słuchaj - powiedział Tojwo. - Czego ty chcesz ode mnie? Grisza zamilkł.
- Rzeczywiście - powiedział. - Czego ja właściwie chce od ciebie? Nie wiem.
- A ja wiem. Ty chcesz, żeby wszystko było dobrze i z każdym dniem coraz lepiej.
- O! - Grisza podniósł palec.

Chciał powiedzieć coś jeszcze, coś lekkiego, co by zatarło to uczucie niewygodnej intymności, które powstało między nimi w ciągu ostatnich minut, ale w tym momencie rozległ się sygnał zakończenia programu i na biurko krótkimi szarpnięciami wypełzła taśma z wynikami.

Tojwo przejrzał ją całą, wiersz po wierszu, starannie złożył na załamaniach i wsunął w szparę sumatora.

- Nic ciekawego? - zapytał Grisza z niejakim współczuciem.

- Jakby ci powiedzieć... - wymamrotał Tojwo. Teraz rzeczywiście myślał o czymś innym. - Znowu wiosna 81-ego.

- Jak to, znowu?

Tojwo przebiegł opuszkami palców po sensorach terminalu, wprowadzając kolejny cykl programu.

- W marcu 81-ego roku - powiedział - po raz pierwszy po dwóchsetletniej przerwie zarejestrowano przypadek masowego samobójstwa szarych wielorybów.

- Tak - niecierpliwie powiedział Grisza. - A w jakim sensie “znowu”?

Tojwo wstał.

- To długa opowieść - powiedział. - Potem przeczytasz komunikat. Chodźmy do domu.

TOJWO GŁUMOW W DOMU. 8 MAJA 99 ROKU. PÓŹNY WIECZÓR.

Zjedli kolację w pokoju purpurowym od zachodzącego słońca.

Asia była rozstrojona. Zaczyn Paskowskiego, dostarczany do delikatesowego kombinatu z Pandory (w żywych workach biokontenera, pokrytych terakotowym szronem, najeżonych rogowymi haczykami tężni, po sześć kilo drogocennego zaczynu w każdym worku), więc ten zaczyn znowu się zbuntował. Jego zapach samowolnie przeszedł do klasy “sigma”, a goryczka osiągnęła ostatni dopuszczalny stopień. Rada ekspertów podzieliła się. Magister zażądał, aby do momentu wyjaśnienia przerwać produkcję sławnych na całej planecie “ałapajczek”, a smarkacz Bruno, bezczelny gaduła, oświadczył: właściwie z jakiej racji? Nigdy w życiu by się nie ośmielił powiedzieć słowa przeciwko Magistrowi, a dziś nagle zebrał się na odwagę. Że niby normalni konsumenci nie dostrzegą takiej subtelnej zmiany smaku, a co się tyczy smakoszy, to on, Bruno, daje głowę, że minimum co piątego taki wariant smakowy wprawi w entuzjazm... Komu jest potrzebna jego głowa? Ale byli tacy, którzy go poparli! I teraz nie wiadomo, co będzie...

Asia otworzyła okno, usiadła na parapecie i zaczęła patrzeć w dół, w dwukilometrową, niebieskozieloną przepaść.

- Boję się, że będę musiała lecieć na Pandorę - powiedziała.

- Na długo? - zapytał Tojwo.

- Nie wiem. Być może na długo.

- A właściwie po co? - ostrożnie zapytał Tojwo.

- Rozumiesz, chodzi o to... Magister uważa, że tu na Ziemi, sprawdziliśmy wszystko co możliwe. To znaczy, że coś jest nie w porządku na plantacjach. Może zmutował się nowy szczep... A może coś się dzieje w czasie transportu... Nie wiemy.

- Już raz leciałaś na Pandorę - powiedział Tojwo, chmurząc się. - Poleciałaś na tydzień i przesiedziałaś tam trzy miesiące.

- Dobrze, a co mam robić?

Tojwo podrapał się w policzek, stęknął.

- Ja nie wiem, co robić... Wiem, że trzy miesiące bez ciebie, to okropne.

- A dwa lata beze mnie? Kiedy siedziałeś na tej, jak jej tam...

- Też masz co wspominać! Kiedy to było! Byłem wtedy młody, byłem wtedy głupi... Byłem wtedy Progresorem! Człowiek z żelaza, mięśnie, maska, szczeki! Słuchaj, niech lepiej leci twoja Sonia. Jest młoda, ładna, może tam wyjdzie za męża?

- Oczywiście, Sonia też poleci. A innych pomysłów nie masz?

- Mam. Niech leci Magister. To on nawarzył tego piwa, więc niech teraz leci. Asia tylko popatrzyła.

- Odwołuje swoje słowa - szybko powiedział Tojwo. - Nigdy ich nie było. Skasowane.

- Jemu nawet ze Świerdłowska nie wolno wyjechać! Chodzi o jego kubeczki smakowe! Ćwierć

wieku nie opuszcza swojego kwartału!

- Zapamiętam - zaczął Tojwo. - Na zawsze. Już się nie powtórzy. Wyglupiłem się. Palnąłem. Niech leci Bruno.

Asia jeszcze przez kilka chwil mierzyła go oburzonym spojrzeniem, potem odwróciła się i znowu zaczęła patrzeć przez okno.

- Bruno nie poleci - powiedziała gniewie. - Bruno teraz zajmie się swoim nowym bukietem. Chce go utrwalić i standaryzować... No, to się jeszcze zobaczy... - z ukosa spojrzała na Tojwo i roześmiała się. - Aha! Teraz ci smutno! "Trzy miesiące... Bez ciebie..."

Tojwo natychmiast wstał, przeszedł przez pokój i usiadł na podłodze u nóg Asi a głowę położył na jej kolanach.

- Przecież tak czy inaczej musisz jechać na urlop - powiedziała Asia - Mógłbyś tam zapolować... To przecież Pandora! Pojechałbyś na Diuny... Obejrzałbyś nasze plantacje... Nawet nie możesz sobie wyobrazić, czym są plantacje Paszkowskiego!

Tojwo milczał, tylko coraz mocniej przytulał policzki do jej kolan. Wtedy Asia również umilkła i przez czas jakiś nie rozmawiali, a potem Asia zapytała:

- Coś się tam u ciebie stało?

- Dlaczego tak myślisz?

- Nie wiem. Widzę.

Tojwo westchnął głęboko, wstał z podłogi i też usiadł na parapecie.

- Dobrze widzisz - powiedział ponuro. - Stało się. U mnie. - Co?

Tojwo mrużąc obserwował czarne pasma obłoków, przecinające miedziano-purpurową łunę zachodu. Czarnosiwe zwały lasów u horyzontu. Cienkie czarne iglice tysiącpietrowców obciążone gronami kwartałów. Połyskująca miedziane kopuła. Forum po lewej i nieprawdopodobnie gładka powierzchnia okrągłego Morza po prawej stronie. I czarne, popiskujące jerzyki, setkami strzałek ulatujące z wiszącego ogrodu kwartał wyżej, znikające w liściach wiszącego ogrodu kwartał niżej.

- Co się dzieje? - zapytała Ania.

- Jesteś zdumiewająco śliczna - powiedział Tojwo. - Masz jaskółcze brwi. Nie wiem dokładnie, co znaczą te słowa, ale chodzi w nich o coś bardzo pięknego. O ciebie. Nie jesteś nawet śliczna, jesteś piękna. Nadobna. Miłe są twoje troski. I świat twój jest miły. I nawet twój Bruno jest miły, jeśli się dobrze zastanowić... W ogóle świat jest piękny, jeśli chcesz wiedzieć... "Piękny jest nasz świat jak kwiat, obdzielimy bez rozterki dziewięć serc i cztery nerki, i jeszcze trzy wątroby..." Nie wiem, co to za wiersze. Nagle przyszły mi do głowy i chciałem ci je zadeklamować... Zapamiętaj, co ci powiem! Całkiem niewykłuczone, że niedługo przylecę do ciebie na Pandorę. Dlatego, że lada chwila wyczerpie się jego cierpliwość, a wtedy naprawdę wygoni mnie na urlop. A, być może, w ogóle wygoni. Oto co wyczytałem w jego orzechowych oczach. Wyraźnie jak na monitorze. A teraz zrób herbatę.

Asia przenikliwie popatrzyła na Tojwo.

- Nic nie wychodzi? - zapytała.

Tojwo uchylił się przed jej spojrzeniem i wzruszył ramionami.

- Dlatego, że od samego początku to było źle pomyślane - powiedziała Asia gorąco. - Dlatego, że od

samego początku zadanie zostało źle sformułowane! Nie można formułować zadania tak, żeby żaden wynik cię nie zadowalał. Twoje założenie było fałszywe od samego początku - pamiętasz, co ci mówiłam? Gdybyś rzeczywiście znalazł Wędrowców - czy by cię to ucieszyło? A teraz, kiedy zaczynasz rozumieć, że ich nie ma, znowu niedobrze, bo pomyliłeś się, twoja hipoteza była niesłuszna, wygląda, że przegrałeś, chociaż tak naprawdę niczego nie przegrałeś...

- Nigdy się z tobą nie spierałem - pokornie powiedział Tojwo. - To ja jestem winien wszystkiemu, taki już mój los...

- Widzisz, teraz nawet Big Bug jest rozczarowany waszym pomysłem... Oczywiście nie wierze, że cie wygoni, gadasz okropne głupstwa, lubi cię i ceni, wszyscy o tym wiedzą. Ale przecież rzeczywiście nie można marnować tylu lat - i właściwie na co? Przecież tak naprawdę nie macie nic poza gołą hipotezą. Nikt nie zaprzeczy - jest ciekawa, niepokojąca, ale nic ponadto! W istocie rzeczy to po prostu inwersja znanej od zamierzchłych czasów ludzkiej praktyki... po prostu Progresorstwo na odwrót, nic więcej... Jeśli my prostujemy czyjąś historie, to znaczy, że i z naszą historią ktoś może spróbować tego samego... Poczekaj, daj mi skończyć! Po pierwsze zapomnij, że nie każda inwersja musi mieć odpowiednik w rzeczywistości. Gramatyka to jedno, a rzeczywistość to coś zupełnie innego. Dlatego najpierw zapowiadało się ciekawie, a teraz w ogóle się nie zapowiada... i wygląda dość nieprzyzwoicie... Wiesz, co mi wczoraj powiedział jeden z naszych działaczy? Powiedział: my, wie pani nie jesteśmy funkcjonariuszami KOMKONu, możemy im tylko pozazdrościć. Kiedy stykają się z jakąkolwiek rzeczywiście poważną zagadką, natychmiast kwalifikują ją jako rezultat działalności Wędrowców i z głowy!

- Ciekawe, kto to powiedział? - ponuro zapytał Tojwo.

- Co za różnica? Na przykład u nas zbuntował się zaczyn. Po co szukać przyczyn? Wszystko jasne - Wędrowcy! Krwawa ręka supercywilizacji! I nie złość się proszę! Nie złość! Nawet takie żarty są ci nie w smak, ale ty ich prawie nigdy nie słyszysz. A ja słyszę je bez przerwy. Jeden tylko "syndrom Sikorskiego" ile mnie kosztuje... A przecież to już nie jest żart. To wyrok, mój miły! To diagnoza!

Tojwo już się opanował.

- A co - powiedział - z tym waszym zaczynem, to jest myśl. To przecież NW! Dlaczego nie zameldowaliście? - zapytał surowo. - Nie znacie przepisów? A jeśli poprosimy Magistra na dywanik?

- Tobie też żarty w głowie - gniewnie powiedziała Asia. - Wszyscy wszędzie żartują.

- I bardzo dobrze! - podchwycił Tojwo - Trzeba się cieszyć! Kiedy zacznie się robota na serio, nie będzie czasu na żarty...

Asia z irytacją uderzyła pięścią w kolano.

- O Boże! No i po co udajesz przede mną? Nie masz ochoty na żarty, nie chce ci się wygłupiać i to najbardziej w was irytuje! Zbudowaliście wokół siebie posepny, mroczny świat, świat zagrożeń, świat strachu i podejrzliwości... Dlaczego? Skąd? Skąd ta wasza kosmiczna mizantropia?

Tojwo nie odezwał się.

- Być może dlatego, że te wasze wszystkie nie wyjaśnione NW - to tragedie? Ale przecież NW - to zawsze tragedia! Czy jest tajemnicze, czy zrozumiałe, jednak zawsze NW! Mam racje.?

- Nie masz - powiedział Tojwo.

- A co, bywają szczęśliwe NW?

- Bywają.

- Na przykład? - zainteresowała się jadownicie Asia.

- Lepiej napijmy się herbaty - zaproponował Tojwo.

- Nie, najpierw proszę daj mi przykład szczęśliwego, radosnego, pogłębiającego radość życia, nadzwyczajnego wydarzenia.

- Dobrze - powiedział Tojwo. - Ale potem napijemy się herbaty, umowa stoi?

- Odczep się - powiedziała Asia.

Oboje zamilkli. Na dole przez gęste liście ogrodów, przez siwawy zmierzch, zabłyśły różnokolorowe światelka. Iskry światel obsypały czarne słupy tysiącpietrowców.

- Nazwisko Gujon coś ci mówi? - zapytał Tojwo.

- Oczywiście.

- A Soddi? - Ja myślę!

- Czym według ciebie zasłynęli oni obaj?

- "Według mnie"! Nie według mnie, tylko wszyscy wiedzą, że Gujon to wspaniały kompozytor, a Soddi - wielki prorok... A według ciebie?

- A moim zdaniem wyróżnia ich coś zupełnie innego - powiedział Tojwo. - Albert Gujon do lat pięćdziesięciu był niezłym, ale tylko niezłym astrofizykiem bez żadnych uzdolnień muzycznych. A Bartolomeo Soddi czterdzieści lat zajmował się cieniowymi funkcjami i był oschłym, pedantycznym odludkiem. Oto co wyróżnia ich obu WEDŁUG MNIE.

- Co chcesz przez to powiedzieć? Co w tym widzisz niezwykłego? W tych ludziach drzemał ukryty talent, pracowali nad sobą długo i uporczywie... a potem ilość przeszła w jakość...

- Nie było żadnej ilości, Asiu, o to właśnie chodzi. Tylko jakość nagle uległa zmianie. Radykalnie. W jednej chwili. Jak wybuch.

Asia milczała przez chwile, poruszając wargami, a potem zapytała trochę szyderczo:

- Wiec co, twoim zdaniem natchnęli ich Wędrowcy?

- Tego nie powiedziałem. Chciałaś, żebym ci dał przykład szczęśliwego, radosnego NW. No to ci dałem. Mogę wymienić jeszcze kilka nazwisk, mniej co prawda znanych.

- Dobrze. A właściwie dlaczego się tym zajmujecie? Co was to właściwie obchodzi?

- Zajmujemy się wszystkimi nadzwyczajnymi wydarzeniami.

- Przecież właśnie pytam. Co jest w tych wydarzeniach nadzwyczajnego?

- W ramach istniejącej wiedzy nie dają się wyjaśnić.

- Czy to mało istnieje na świecie rzeczy nie wyjaśnionych?! - zawołała Asia. - Readerstwo też nie zostało wyjaśnione, tylko wszyscy do niego przywykli...

- To, do czego przywykliśmy, nie uważamy za nadzwyczajne. Nie zajmujemy się zjawiskami, Asiu. Zajmujemy się wydarzeniami, wypadkami. Czegoś nie było przez tysiące lat, a potem nagle się zdarzyło. Dlaczego się zdarzyło? Niezrozumiałe. Jak to wyjaśnić? Specjaliści rozkładają ręce. Wtedy my to bierzemy na warsztat. Rozumiesz, Asiu, ty niewłaściwie klasyfikujesz NW. My nie dzielimy ich na szczęśliwe i

tragiczne, dzielimy je na wyjaśnione i nie wyjaśnione.

- Wiec uważasz, że każde nie wyjaśnione NW niesie w sobie zagrożenie?

- Tak. I szczęśliwe również.

- Jakie zagrożenie może przynieść przemiana przeciętnego astrofizyka w genialnego kompozytora?

- Niezupełnie precyzyjnie się wyraziłem. Zagrożenie niesie w sobie nie NW. Najbardziej tajemnicze NW jest z reguły zupełnie nieszkodliwe. Czasami nawet komiczne. Zagrożenie niesie w sobie przyczyna NW. Mechanizm, który je zrodził. Przecież pytanie można postawić następująco: komu i po co była potrzebna przemiana astrofizyka w kompozytora?

- A może to po prostu fluktuacja statystyczna?

- Może. Ale o to właśnie chodzi, że my tego nie wiemy... Zresztą zauważ, do czego doprowadziło twoje rozumowanie? Czy twoje wyjaśnienie jest lepsze od naszego? Fluktuacja statystyczna, która ze swojej definicji jest nieprzewidywalna i niekontrolowana, czy Wędrowcy, którzy też nie są bukiecikiem fiołków, ale których przynajmniej teoretycznie można próbować złapać za rękę. Tak, oczywiście, "fluktuacja statystyczna" brzmi znacznie lepiej, solidniej, obiektywniej i naukowo w porównaniu z tymi natrętnymi, głupio romantycznymi i banalnie legendarnymi, które już wszystkim obrzydło...

- Poczekaj, nie bądź taki ironiczny - powiedziała Asia. - Nikt przecież nie neguje twoich Wędrowców Cały czas tłumaczę, ci coś zupełnie innego... Całkiem mnie zbiłeś z tropu... Zawsze tak robisz! I mnie, i twojego Maksyma, a potem chodzisz z nosem zwieszonym na kwintę i trzeba cię pocieszać... Już wiem, co chciałam powiedzieć. Dobrze, niech będzie, Wędrowcy rzeczywiście ingerują w nasze życie. Nie o to chodzi. Dlaczego to ma być źle - o to cię teraz pytam? Dlaczego robicie z nich płachtę na byka - oto czego nie mogę zrozumieć! I nikt tego nie może zrozumieć... Dlaczego, kiedy TY prostowałeś historie na innych planetach - to było dobrze, a kiedy ktoś chce prostować TWOJĄ historie... Przecież dzisiaj każde dziecko wie, że superrozum to jedynie dobro!

- Superrozum to superdobro - powiedział Tojwo.

- Wiec tym bardziej!

- Nie - powiedział Tojwo. - Żadnych "tym bardziej". Co to takiego dobro, wiemy, chociaż nie bardzo dokładnie. A co to takiego superdobro...

Asia znowu uderzyła się pięścią w kolano.

- Nie rozumiem! To nie do pojęcia! Skąd u was ta presumpcja zagrożenia? Wytlumacz!

- Wy wszyscy absolutnie fałszywie pojmujecie nasze stanowisko - powiedział Tojwo już ze złością.

- Nikt nie twierdzi, że Wędrowcy zamierzają wyrządzić Ziemiom krzywdę. To rzeczywiście bardzo mało prawdopodobne. Boimy się czegoś innego, czegoś zupełnie innego! Boimy się, że zaczną tu tworzyć dobro tak, jak ONI je rozumieją!

- Dobro zawsze jest dobrem! - z naciskiem powiedziała Asia.

- Wiesz świetnie, że to wcale nie tak. Albo może ty naprawdę nie wiesz? Ale przecież wytłumaczyłem ci. Byłem Progresorem wszystkiego trzy lata, czyniłem dobro, tylko i nic oprócz dobra, i o Boże! - jakże nienawidzili mnie ci ludzie! I mieli absolutną rację. Dlatego, że przyszli bogowie, nie pytając o pozwolenie. Nikt ich nie wzywał, a oni wdarli się i zaczęli czynić dobro. To dobro, które zawsze jest dobrem. I czynili to dobro potajemnie, ponieważ z góry wiedzieli, że śmiertelnicy nie rozumieją ich celów,

a jeśli nawet rozumieją, to nie uznają za swoje... Oto jaka jest moralno-etyczna struktura tej diabelskiej sytuacji! Feudalny niewolnik w Arkanarze nie rozumie, czym jest komunizm, a mądry mieszczanin trzysta lat później rozumie i ze zgrozą odrzuci... To jest abecadło, którego jednakże nie umiemy zastosować wobec siebie. Dlaczego? Dlatego, że nie możemy wyobrazić sobie, co mianowicie mogą nam zaproponować Wędrowcy. Nie mamy analogii! Ale ja wiem dwie rzeczy. Oni przyszli bez pytania, to po pierwsze. Oni przyszli potajemnie, to po drugie. A więc zakładają, że wiedzą lepiej od nas, czego nam trzeba - po pierwsze, i z góry są przekonani, że albo ich nie zrozumiemy, albo ich cele będą dla nas nie do przyjęcia - po drugie. Nie wiem jak ty, ale ja tego nie chce. Nie chce! - powiedział kategorycznie. -I starczy na dziś. Jestem zmęczony, niedobry, mam wiele kłopotów, wziąłem na siebie ciężar nieopisaną odpowiedzialności. Mam syndrom Sikorskiego, jestem psychopata i wszystkich podejrzewam. Nikogo nie kocham, jestem moralnym kaleką, cierpiętnikiem, monomaniakiem, trzeba się mną opiekować i współczuć mi... chodzić dookoła na paluszkach, całować w czołko, zabawiać dowcipami... i pić herbatę. Mój Boże, czy nikt nie da mi dzisiaj herbaty?

Nie mówiąc ani słowa, Asia zeskoczyła z parapetu i poszła parzyć herbatę. Tojwo położył się na kanapie. Z okna, na granicy słyszalności, dobiegało brzęczenie jakiegoś egzotycznego instrumentu muzycznego. Nagle wleciał ogromny motyl, zatoczył krąg nad stołem, siadł na ekranie wizora, rozłożywszy czarne, puszyste skrzydła. Na skrzydłach wyrysowany był jakiś ornament. Tojwo, nie wstając, wyciągnął rejce do pulpitu serwisu, ale nie dosięgnął i ręka opadła.

Weszła Asia z tacą, nalala herbatę do szklanek i usiadła obok.

- Patrz - powiedział szeptem Tojwo, pokazując jej spojrzeniem motyla.

- Jaki śliczny - powiedziała Asia również szeptem.

- Może on zechce z nami pomieszkać?

- Nie, nie zechce - powiedziała Asia.

- Dlaczego? Pamiętasz, u Kazarianów mieszkał konik polny...

- Nie mieszkał. Tak wpadł od czasu do czasu...

- No to i niech ten motyl wpada od czasu do czasu. Będzie się nazywał Marfa.

- Dlaczego Marfa?

- A jak?

- Scyntia - powiedziała Asia.

- Nie - powiedział zdecydowanie Tojwo. - Jaka znowu Scyntia... Marfa. Marfa Posiadło. A ekran od dziś - Posiadłość.

Nie zamierzam rzecz jasna twierdzić, że dokładnie taka rozmowa odbyła się późnym wieczorem 8 maja. Ale oni w ogóle często rozmawiali na te tematy, spierali się - to wiem na pewno. I że nie potrafili przekonać się nawzajem - to też wiem na pewno.

Oczywiście Asia nie umiała przekazać mężowi swego wszechogarniającego optymizmu, który czerpała z otaczającej ją atmosfery. Pożywką dla tego optymizmu byli ludzie, z którymi pracowała, najgłębszy sens jej pracy, dobrej i smakowitej. Tojwo zaś żył poza granicami tego optymistycznego świata,

w świecie trwogi i nieufności, w świecie, w którym z najwyższym trudem można sobie wzajemnie przekazywać optymizm, przy wyjątkowo korzystnym zbiegu okoliczności, a i to nie na długo.

Ale i Tojwo nie umiał nawrócić żony na swoją wiarę, zarazić ją przeczuciem nadciągającego zagrożenia. Jego argumentom brakowało konkretów. Były zbyt oderwane. Wynikały z poglądów, zdaniem Asi, niczym nie popartych. Tojwo nie udało się Asi “przerazić”, zarazić wstrętem, oburzeniem, niechęcią...

Dlatego kiedy uderzył grom, nawałnica spadła na nich rozdzielonych, nie przygotowanych, tak jakby nigdy nie było tych sporów, kłótni i namiętnych prób przekonania się nawzajem...

Rano 9 maja Tojwo ponownie pojechał do Charkowa, żeby jednak spotkać się z jasnowidzem Hiroto i ostatecznie zamknąć sprawę wizyty Szamana w Instytucie Dziwaków.

DOKUMENT 9

RAPORT-MELDUNEK

Nr 017/99

KOMKON2

Ural-Północ

Data: 9 maja 99 roku

Autor: Tojwo Głumow, inspektor

Temat: 099 "Wizyta starszej pani"

Treść: suplement do R/M nr 016/99

Susumu Hiroto czyli "Senrigan" przyjął mnie w swoim gabinecie o 10.45. To dość niskiego wzrostu starszy już mężczyzna (wygląda staro na swój wiek). Jest zafascynowany swoim "darem", wykorzystuje każdą nadarzącą się okazję, żeby ten "dar" zademonstrować: pańska żona ma kłopoty w pracy... Z całą pewnością poleci na Pandorę, niech pan nie liczy, że uda się temu zapobiec... ten długopis podarował panu kolega, a pan zapomniał ofiarować żonie... I tak dalej w podobnym stylu. Muszę przyznać, że było to dość niemiłe. "Wyjście Szamana" według słów Hiroto wyglądało tak: "Najwidoczniej przestraszył się, że dowiem się o nim tego co najtajniejsze i wtedy rzucił się do ucieczki. Nie mógł wiedzieć, że widziałem go jako biały pusty ekran bez żadnego konturu, przecież jest istotą z innego świata..."

(koniec Dokumentu 9)

DOKUMENT 10

WAŻNE!

RAPORT-MELDUNEK

Nr 018/99

KOMKON-2

Ural-Północ

Data: 9 maja 99 roku

Autor: Tojwo Głumow, inspektor

Temat: 009 "Wizyta starszej pani"

Treść: Instytut Dziwaków interesuje się świadkami wydarzeń w Małej Peszy.

W czasie mojej rozmowy z dyżurnym dyspozytorem Instytutu Dziwaków 9 maja o 11.50 zdarzyło się co następuje:

Rozmawiając ze mną dyżurny dyspozytor Termikanow jednocześnie bardzo szybko i fachowo notował dane z rejestratora i wprowadzał je w terminal maszyny. Dane te, w miarę napływania, pojawiały się na kontrolnym monitorze i wyglądały następująco: nazwisko, imię, imię ojca, wiek, (prawdopodobnie), nazwa miejscowości (miejsce urodzenia? miejsce zamieszkania? miejsce pracy?), zawód i jakiś sześciocyfrowy indeks. Nie zwracałem uwagi na monitor, do chwili kiedy nagle się pojawiło:

KUBOTUEWA ALBINA CÓRKA MILANA 96 PRIMABALERINA ARCHANGIELSK 001507

Następne dwa nazwiska nic mi nie powiedziały, a potem:

KOSTENIECKIKIR 12 UCZEŃ PIETROZAWODSK 001507

Przypominam: oboje są notowani jako świadkowie wydarzeń w Małej Peszy, patrz mój R/M nr 015/99 z dnia 7 maja br.

Prawdopodobnie na kilka sekund straciłem kontrolę nad sobą, gdyż Termikanow zapytał, co mnie tak zdziwiło. Zmyśliłem, że zdumiało mnie nazwisko Albiny Kubotijewej, primabaleriny, o której bardzo dużo opowiadali moi rodzice, zajadli wielbiele baletu. Powiedziałem, że zaskoczyło mnie jej nazwisko - czyżby Albina Wielka na domiar wszystkiego miała jeszcze talent metapsychiczny? Termikanow roześmiał się i powiedział, że to niewykluczone. Według jego słów do rejestrów wszystkich filii Instytutu nieprzerwanie napływają informacje dotyczące osób, które teoretycznie mogą być obiektami zainteresowania metapsychologów. Znakomita większość informacji napływa z terminali klinik, szpitali, ośrodków zdrowia itp., które mają na wyposażeniu standardowe psychoanalizatory. Do jednej tylko filii w Charkowie w ciągu doby trafiają setki nazwisk kandydatów, ale praktycznie prawie wszystko to są pudła. "Dziwacy" stanowią zaledwie jedną stutysięczną procenta wszystkich kandydatów.

W tej sytuacji uznałem za stosowne zmienić temat rozmowy.

Tojwo Głumow

(koniec Dokumentu 10)

DOKUMENT 11

FONOGRAM ROBOCZY

Data: 10maja 99 roku

Rozmówcy: Maksym Kammerer, naczelnik wydziału NW, Tojwo Głumow, inspektor

Temat: 009 "Wizyta starszej pani"

Treść: Instytut Dziwaków - prawdopodobny obiekt tematu 009.

Kammerer: Ciekawe. Jesteś spostrzegawczy, chłopcze. Tojwo Sokole Oko! No cóż, masz pewnie przygotowaną swoją wersję. Referuj.

Głumow: Ostateczne wnioski, czy cały wywód?

Kammerer: Wywód, jeśli mogę prosić.

Głumow: Najłatwiej byłoby założyć, że nazwiska Albiny i Kira nadesłał do Charkowa jakiś entuzjasta metapsychologii. Jeśli na przykład był świadkiem wydarzeń w Małej Peszy, to mogła go niepomierne zdziwić anormalna reakcja tych dwojga i zawiadomił o tym kompetentne czynniki. Według mnie mogły to zrobić co najmniej trzy osoby: Basile Niewierow ze Służby Awaryjnej. Oleg Pankratow, lektor, były astroarcheolog. I jeszcze jego żona, Zosia Ładowa, malarka. Oczywiście nie byli oni w ścisłym sensie tego słowa świadkami, ale w danym wypadku nie ma to szczególnego znaczenia... Bez pańskiej zgody nie zaryzykowałbym rozmowy z nimi, chociaż uważam za zupełnie możliwe, aby to od nich dowiedzieć SIĘ, czy wysłali informacje do Instytutu, czy też nie...

Kammerer: Istnieje prostszy sposób...

Głumow: Tak, według indeksu. Posłać pytanie do Instytutu. Ale ten sposób jest nieprzydatny i zaraz wyjaśnię dlaczego. Jeżeli to zrobił życzliwy entuzjasta, wtedy wszystko będzie jasne i nie ma o czym mówić. Ale proponuje., żeby rozważyć inny wariant. To znaczy - nie było żadnych życzliwych entuzjastów, tylko był specjalny obserwator z Instytutu Dziwaków.

PAUZA

Głumow: Załóżmy, że w Małej Peszy znajdował się specjalny obserwator z Instytutu Dziwaków. To by znaczyło, że przeprowadzano tam pewien eksperyment psychologiczny, mający na celu wyselekcjonowanie ludzi niezwykłych spośród normalnych. Na przykład po to, żeby następnie szukać "dziwaczności" wśród tych niezwykłych. W takim wypadku jedno z dwojga. Albo Instytut Dziwaków to zwyczajny ośrodek naukowy, w którym pracują zwyczajni uczeni i przeprowadzają zwyczajne eksperymenty, może nawet wątpliwe z punktu widzenia etyki, ale w ostatecznym rachunku przeprowadzane z myślą o korzyściach dla na nauki. Jednak w takim razie jest kompletnie niezrozumiałe, w jaki sposób znalazła się w ich dyspozycji technika znacznie przewyższająca nawet perspektywiczne możliwości naszej embriomechaniki i biokonstruowania.

PAUZA

Głumow: Albo też eksperyment w Małej Peszy nie został przeprowadzony przez ludzi, co zresztą podejrzewaliśmy od początku. Czym w takim razie jest Instytut Dziwaków?

PAUZA

Głumow: W takim wypadku ten Instytut to nie żaden instytut, tamtejsi "dziwacy" to nie żadni

“dziwacy” i personel tego instytutu zajmuje się nie metapsychologią.

Kammerer: Tylko czym? Czym oni się zajmują i kim są?

Głumow: To znaczy, że znowu uważa pan mój wywód za nieprzekonywający?

Kammerer: Przeciwnie, mój chłopcze. Przeciwnie! Jak dla mnie, ten twój wywód jest nawet zbyt przekonujący. Ale chciałbym, żebyś sformułował swoje wnioski wprost, jasno i niedwuznacznie. Jak w raporcie.

Głumow: Proszę bardzo. Tak zwany Instytut Dziwaków jest w rzeczywistości narzędziem Wędrowców do sortowania ludzi według nieznanymi mi na razie parametrów. To wszystko.

Kammerer: A to znaczy, że Dania Łogowienko, zastępca dyrektora i mój dawny znajomy...

Głumow (przerwa): Nie! To byłoby zbyt fantastyczne. Ale może pański Dania Łogowienko już dawno przeszedł selekcje? Wasza dawna znajomość niczego nie gwarantuje. Wyselekcjonowany i pracuje na Wędrowców. Jak cały personel Instytutu, nie mówiąc o “dziwakach”...

PAUZA

Głumow: Oni co najmniej od dwudziestu lat zajmują się selekcją. Kiedy wyselekcjonowanych było już dosyć, zorganizowali Instytut, postawili tam te swoje komory poślizgowej częstotliwości i pod pretekstem szukania “dziwaków” przepuszczają przez nie do dziesięciu tysięcy ludzi rocznie.. A przecież nie wiemy, ile jest na Ziemi takich instytucji pod najrozmaitszymi szyldami...

PAUZA

Głumow: A Szaman uciekł z Instytutu do siebie na Saraksz wcale nie dlatego, że poczuł się urażony albo że go zabolął brzuch. Poczuł tam Wędrowców. Jak nasze wieloryby i lemingi... “Kiedy ślepy ujrzy widzącego” - to było o nas. “Widzi lasy i góry, i nie widzi niczego” - to też o nas, Big Bug!

PAUZA

Głumow: Mówiąc krótko, wydaje mi się, że po raz pierwszy w historii możemy złapać Wędrowców za rękę.

Kammerer: Tak. I wszystko zaczęło się od dwóch nazwisk, które przypadkiem zobaczyłeś na monitorze... Przy okazji, czy jesteś całkowicie pewien, że to był przypadek? (pospiesznie) Dobrze, dobrze, nie mówmy o tym. Co proponujesz?

Głumow: Ja?

Kammerer: Tak. Ty.

Głumow: Cóż, jeśli pan chce usłyszeć moje zdanie... Pierwsze kroki według mnie są oczywiste. Przede wszystkim należy koniecznie zidentyfikować Wędrowców i zdemaskować tych, których Wędrowcy wyselekcjonowali. Zorganizować tajną, mentoskopiczną obserwację, a jeżeli okaże się konieczne - przeprowadzić przymusową, obowiązującą wszystkich mentoskopie i to najgłębszą z możliwych... Przypuszczam, że są na to przygotowani i zablokują swoją pamięć... Ale to nic, to właśnie mógłby być dowód... Gorzej, gdyby umieli wzbudzać fałszywą pamięć...

Kammerer: Dobra. Wystarczy. Zasługujesz na pochwałę, dobrze ci poszło. A teraz słuchaj i pamiętaj, że to rozkaz. Przygotuj dla mnie listy następujących ludzi. Po pierwsze, osób z inwersją “syndromu pingwina”, wszystkich, których lekarze zarejestrowali do dnia dzisiejszego. Po drugie, osób, które nie przeszły fukamizacji...

Głumow (przerwa): To ponad milion nazwisk!

Kammerer: Nie, ja mam na myśli tylko tych, którzy odmówili przyjęcia “szczepionki dojrzałości”, to dwadzieścia tysięcy ludzi. Trzeba się będzie narobić, ale musimy być zapięci na ostami guzik. Po trzecie - przejrzyj nasze dane o tych, którzy zaginęli bez wieści i zrób z tego jedną listę.

Głumow: A co z tymi, którzy się później odnaleźli?

Kammerer: Ich odnotuj w pierwszej kolejności.-Teraz zajmuje się rym Sandro, będziesz z nim współpracował. To wszystko.

Głumow: Lista tych z inwersją, tych co odmówili szczepienia, tych, co zaginęli i się odnaleźli. Jasne. Ale pomimo wszystko, Big Bug...

Kammerer: Mów.

Głumow: Pomimo wszystko niech mi pan pozwoli porozmawiać z Niewierowem i tym małżeństwem z Małej Peszy.

Kammerer: Chcesz mieć czyste sumienie?

Głumow: Tak. Może to jednak jakiś życzliwy entuzjasta...

Kammerer: Zgadzam się. (po króciutkiej przerwie) Ciekawe, co zrobisz, jeśli się okaże, że to naprawdę jakiś entuzjasta...

(koniec Dokumentu 11)

Ponownie przesłuchałem ten fonogram. Miałem wtedy młody głos, pewny siebie, godny, głos człowieka decydującego o cudzych losach, dla którego ani przeszłość, ani teraźniejszość, ani przyszłość nie ma żadnych tajemnic. Głos człowieka, który wie co robi i wie, że zawsze ma racje. Teraz po prostu nie chce mi się wierzyć, że mogłem być takim obłudnikiem i komediantem. Bo naprawdę trzymałem się wtedy resztką sił. Miałem gotowy plan działania, ale w żaden sposób nie mogłem się doczekać sankcji Prezydenta i nie mogłem się zebrać na odwagę, żeby bez tej sankcji iść do Komowa.

Ale jednocześnie pamiętam bardzo dokładnie, jaką ogromną radość sprawił mi tego rana Tojwo Głumow, z jaką przyjemnością słuchałem go i obserwowałem. To przecież była najwspanialsza chwila jego życia. Szukał ich przez pięć lat, tych dywersantów, którzy potajemnie wtargnęli na jego Ziemię, szukał, nie zrażając się ciągłymi niepowodzeniami, nieomal samotnie, nie zachęcany przez nic i nikogo, skazany na politowanie ukochanej żony, szukał i w końcu znalazł. Okazało się, że miał racje. Okazało się, że był przenikliwszy od wszystkich innych, cierpliwszy, mądrzejszy - od tych wszystkich żartownisiów, lekkomyślnych filozofów, intelektualistów o strusich zwyczajach.

Zresztą to jego poczucie triumfu jest oczywiście moim pomysłem. Przypuszczam, że w tamtym momencie nie odczuwał nic poza chorobliwą niecierpliwością, chciał jak najprędzej schwycić przeciwnika za gardło. Udowadniając ponad wszelką wątpliwość, że przeciwnik znajduje się na Ziemi i - że działa, Tojwo nie miał jeszcze wtedy zielonego pojęcia, co udowodnił naprawdę.

A ja miałem. Ale pomimo to, patrząc na Tojwo tego ranka, byłem nim zachwycony, byłem z niego dumny, mógłby być moim synem i chciałbym mieć właśnie takiego syna.

Zawaliłem go robotą przede wszystkim dlatego, że chciałem go zamknąć w gabinecie za biurkiem. Odpowiedzi z Instytutu ciągle jeszcze nie było, a te listy tak czy inaczej musiał ktoś zrobić.

DOKUMENT 12

RAPORT-MELDUNEK

nr 019/99

KOMKON-2

Ural-Północ

Data: 10 maja 99 roku

Autor: Tojwo Głumow, inspektor

Temat: 009 "Wizyta starszej pani"

Treść: informacje o wydarzeniach w Małej Peszy przesłał do Instytutu Oleg Pankratow.

Zgodnie z poleceniem przeprowadziłem rozmowy z Basilem Niewierowem, z Olegiem Pankratowem i z Zosią Ładową na okoliczność wyjaśnienia, czy któraś z wymienionych osób nie wysłała do Instytutu Dziwaków informacji o anormalnym zachowaniu pewnych ludzi w czasie wydarzeń w Małej Peszy w nocy na 6 maja br.

1. Rozmowa z pracownikiem Służby Awaryjnej Basilem Niewierowem odbyła się za pośrednictwem wideofonu wczoraj około południa, Pod względem operacyjnym rozmowa tanie zawierała nic interesującego. Basile Niewierow bez wątplenia o Instytucie Dziwaków usłyszał po raz pierwszy ode mnie.

2. Z Olegiem Pankratowem i jego żoną, Zosią Ładową, spotkałem się w kuluarach regionalnej konferencji astroarcheologów amatorów w Syktywkarze. W czasie niewymuszonej rozmowy przy filiżance kawy Oleg Olegowicz chętnie podjął wątek o cudach w Instytucie Dziwaków i z własnej inicjatywy podał następujące fakty:

- już od wielu lat jest stałym aktywistą Instytutu Dziwaków, ma nawet własny indeks jako samodzielny i stały informator;

- to dzięki jego staraniom w strefie zainteresowania metapsychologów znaleźli się tacy fenomenalni ludzie jak Rita Głuzska ("Czarne oko"), Lebey Malang (psychoparamorfik) i Konstanty Mowson ("Władca much V);

- jest mi niezmiernie wdzięczny za informacje, o zdumiewającej Albinie i nadzwyczajnym Kirze, dostarczone mu tak uprzejmie i szybko tego dnia w Małej Peszy, które to informacje niezwłocznie przesłał do Instytutu;

- W Instytucie był trzykrotnie - na corocznych konferencjach aktywistów, Daniła Łogowienko osobiście nie zna, ale niezmiernie szanuje jako wybitnego uczonego.

3. W związku ze wszystkim co napisałem powyżej uważam, że mój raport-meldunek nr 018/99 jest nieprzydatny dla tematu 009.

Tojwo Głumow

(koniec Dokumentu 12)

DOKUMENT 13

TOJWO GŁUMOW INSPEKTOR
DO NACZELNIKA WYDZIAŁU
NW MAKSYMA KAMMERERA

RAPORT

Proszę o udzielenie mi sześciomiesięcznego urlopu w związku z koniecznością towarzyszenia żonie w czasie jej długotrwałego służbowego pobytu na Pandorze.

Tojwo Głumow

10.05.99

DECYZJA: Nie wyrażam zgody. Proszę nadal wykonywać otrzymane zadanie.

Maksym Kammerer, 10 maja 99 r.

WYDZIAŁ NW. GABINET "D", 11 MAJA 99 ROKU.

Rano 11 maja ponury Tojwo przyszedł do pracy i zapoznał się z moją decyzją. Widocznie w ciągu nocy trochę, się uspokoił. Nie protestował ani też nie domagał się zgody na wyjazd, tylko zasiadł w gabinecie "D" i zabrał się do sporządzania listy ludzi z inwersją "syndromu pingwina", których miał już siedmiu, a z których tylko dwoje byli wymienieni z nazwiska, pozostali zaś występowali jako "pacjent Z., serwisomechanik", "Teodor P., entolingwista" i tak dalej.

Około południa w gabinecie "D" pojawił się Sandro Mtbewari, zabiedzony, żółty i rozczochrany. Usiadł za swoim biurkiem i bez żadnych wstępów i tradycyjnych w takiej sytuacji (po powrocie z dalekiej wędrówki) żarcików zameldował Tojwo, że na polecenie Big Buga stawia się do jego dyspozycji, ale najpierw chciałby zakończyć sprawozdanie z delegacji. Wiec o co chodzi? - niespokojnie zapytał Tojwo, nieco przerażony wyglądem Sandro. A chodzi o to - odpowiedział Sandro z irytacją - że wydarzyło mu się coś takiego, o czym nie wiadomo, czy należy napisać w sprawozdaniu, a jeżeli należy to nie bardzo wiadomo, w jaki sposób.

I natychmiast zaczął opowiadać, z trudem dobierając słowa, płacząc się w szczegółach i przez cały czas nienaturalnie naśmiewając się z samego siebie.

Dzisiaj rano wyszedł z kabiny-T w uzdrowiskowej miejscowości Rozalinda (opodal Biarritz), przemaszerował z pięć kilometrów pustynną kamienistą ścieżką między winnicami i około dziesiątej był już u celu - na dole leżała Dolina Róż. Ścieżka prowadziła w dół do dworku "Dobry wietrzyk", którego stromy dach sterczał wśród masy bujnej zieleni. Sandro automatycznie zarejestrował godzinę - była za minutę dziesiąta, jak zresztą przypuszczał. Przed zejściem do dworku usiadł na okrągłym, czarnym kamieniu i zaczął wytrząsać kamyczki z sandałów. Było już bardzo gorąco, rozpalony kamień parzył przez szorty i strasznie chciało się pić.

Najwidoczniej w tej właśnie chwili zrobiło mu się słabo. Zadzwonilo w uszach, słoneczny dzień poczerniał. Sandro wydało się, że schodzi na dół ścieżką, idzie, nie czując pod sobą nóg, mija uroczą altankę, której nie zauważył z góry, mija glider z otwartą maską i rozgrzebanym (jakby ktoś wyjął z niego całe bloki) silnikiem, mija wielkiego kudłatego psa, który leży w cieniu z wysuniętym, czerwonym językiem

i patrzy obojętnie na Sandro. Potem wchodzi po schodkach na werandę, uwiata różami. Przy tym słyszał bardzo wyraźnie skrzywienie stopni, ale nóg pod sobą nadal nie czuł. W głębi werandy stał stół zavalony jakimiś niepojętymi przedmiotami, a nad stołem, wsparty szeroko rozstawionymi dłońmi o blat, nawisał ten właśnie człowiek, który był mu potrzebny.

Człowiek ten podniósł na Sandro maleńkie, ukryte pod siwymi brwiami oczka, a na jego twarzy pojawiła się lekka irytacja. Sandro przedstawił się i prawie nie słysząc własnego głosu, zaczął referować swoją legendę, ale nie zdążył wypowiedzieć nawet dziesięciu słów, kiedy człowiek okropnie się skrzywił i powiedział coś w rodzaju "Och, jak okropnie nie w porę!", po czym Sandro odzyskał przytomność, cały zlany potem, z sandałem w ręku. Siedział na kamieniu, gorący granit palił go przez szorty, a zegarek nadal wskazywał za minutę 10-ta. No, minęło może piętnaście sekund, ale nie więcej.

Włożył sandały, otarł spoconą twarz i wtedy prawdopodobnie znowu go złapało. Znowu schodził drogą, nie czując nóg, wszystko wyglądało jak przepuszczone przez neutralny filtr świetlny, a w głowie błąkała się tylko jedna myśl, och, że też ja tak nie w porę. I znowu z lewej strony stała urocza altanka (na podłodze poniewierała się lalka bez rąk i jednej nogi), był też glider (na burcie ktoś nalepił zuchwałego diabełka), był też drugi glider nieco w głębi, również z podniesioną maską, pies schował język i teraz spał, położywszy ciężki łeb na przednich łapach. (Dziwny jakiś pies, zresztą, czy to aby na pewno pies?) Skrzypiące schodki. Chłód werandy. I znowu człowiek spojrział spod siwych brwi i powiedział niby groźnym tonem, tak jak się rozmawia z niegrzecznym dzieckiem: "Ile razy mam powtarzać? Przyszedłeś nie w porę! Wynoś się!" I Sandro znowu się ocknął, ale teraz już nie siedział na kamieniu, tylko obok niego na suchej, kłującej trawie i trochę go mliło.

Co się ze mną dzisiaj wyrabia? - pomyślał ze złością i strachem, próbując wziąć się w garść. Świat był nadal przygaszony, w uszach dzwoniło, ale jednocześnie Sandro kontrolował się w całej pełni. Była prawie dokładnie 10.00 godzina, bardzo chciało mu się pić, ale nie czuł już słabości i należało doprowadzić do końca to, po co tu przyszedł. Wstał i wtedy zobaczył, że z gąszczy zieleni wyszedł na drogę ten sam człowiek i przystanął, patrząc w stronę Sandro, a wtedy wyszedł z zarośli ten sam pies, zatrzymał się przy nodze człowieka i też zaczął patrzeć na Sandro, Sandro zaś machinalnie odnotował w głowie, że to nie żaden pies, tylko młody Głowan. I Sandro uniósł rękę, sam nie wiedząc po co, może na znak powitania, może chcąc zwrócić na siebie uwagę, ale tymczasem ten człowiek odwrócił się do niego plecami, a świat przed oczami Sandro poczerniał i przechylił się ukośnie na lewo.

Kiedy znowu odzyskał przytomność, okazało się, że siedzi na ławce w uzdrowiskowej miejscowości Rozalinda, a obok stoi zero-kabina, ta sama, z której niedawno wyszedł. Nadal lekko mliło i chciało się pić, ale świat był jasny i życzliwy, a godzina okazała się 10.42. Beztroscy, modnie ubrani ludzie, którzy przechodzili obok, zaczęli spoglądać na Sandro z niepokojem i zwalniać kroku, podjechał nagle cyberkelner i podał wysoką, zapoconą szklanekę z jakimś firmowym napojem...

Wysłuchawszy do końca, Tojwo czas jakiś milczał, a potem powiedział, starannie dobierając słów:

- Należy to koniecznie włączyć do raportu.

- Załóżmy - powiedział Sandra - Ale z jaką interpretacją?

- Tak napisz, jak mi opowiedziałeś.

- Ja ci opowiadałem tak, jakby mi się zrobiło słabo na upale i to wszystko zobaczyłem w malignie.

- To znaczy nie jesteś pewien, że to była maligna?

- Skąd mam wiedzieć? Ale mógłbym to opowiedzieć inaczej, że mnie zahipnotyzowano, że to była naprowadzona halucynacja...

- Myślisz, że halucynacje naprowadził Głowan?

- Nie wiem. Być może. Ale raczej nie przypuszczam. Stał za daleko, 70 metrów, nie mniej... Zresztą był za młody na takie numery... A poza tym - z jakiej racji?

Milczeli przez chwilę, potem Tojwo zapytał:

- Co powiedział Big Bug?

- E, nawet ust mi nie dał otworzyć, w ogóle na mnie nie spojrzał. Jestem zajęty, idź, będziesz pracował dla Głumowa”.

- Powiedz - zapytał Tojwo - jesteś pewny, że ani razu nie zaszedłeś do tego domu?

- Niczego nie jestem pewny. Oprócz jednego - że z tymi “van winkle’ami” to bardzo nieczysta sprawa. Zajmuje się nimi od początku roku i nic się nie przejaśnia. Odwrotnie, z każdym nowym przypadkiem robi się coraz ciemniej. Oczywiście czegoś takiego jak dzisiaj jeszcze nie było, to coś ekstra...

Tojwo powiedział przez zęby:

- Czy ty rozumiesz, czym to pachnie, jeśli naprawdę tak było - nagle przypomniał sobie. - Poczekaj!

A rejestrator? Co masz na rejestratorze?

Sandro odpowiedział z pełną pokorą wobec losu:

- Na rejestratorze nie ma nic. Okazało się, że nie był włączony.

- No wiesz!!!

- Wiem. Tylko dokładnie pamiętam, że go naładowałem i włączyłem przed wyjściem.

DOKUMENT 14

RAPORT-MELDUNEK

nr 047/99

KOMKON-2

Ural-Północ

Data: 4-11 maja 99 roku

Autor: Sandro Mtbewari, inspektor

Temat: 101 "Rip Van Winkle"

Treść: rezultaty inspekcji "grupy 80"

Po otrzymaniu polecenia przeprowadzenia inspekcji 4 maja rano, natychmiast przystąpiłem do wykonania.

4 maja 22.40

Astangow Jurij Nikołajewicz. Pod zarejestrowanym adresem nieobecny. Nowego adresu w WMI brak. Wywiad wśród krewnych, przyjaciół i znajomych nie dal rezultatów. Najczęstsza odpowiedź - nic nie możemy powiedzieć, nie kontaktowaliśmy się przez ostatnie lata, gdyż po powrocie w 95-tym roku stał się jeszcze bardziej nietowarzyski niż poprzednio, przed zniknięciem. Kontrola sieci kosmodromów okołoziemskiej zero-T, systemu nadzorczego WN (wzmoczonego niebezpieczeństwa) również nic nie dała. Hipoteza: Jurij Astanow, podobnie jak poprzednim razem, "odosobnił się w dżunglach dorzecza Amazonki, aby dopracować swój nowy system filozoficzny". (Interesująca byłaby rozmowa z kimkolwiek, kto zapoznał się z jego poprzednimi systemami filozoficznymi. Lekarze zaprzeczają, ale moim zdaniem, to wariat).

6 maja do 25.30

Femand Leer. Przyjął mnie pod zarejestrowanym adresem o 11.05. Wyłożyłem swoją legendę, i rozmawialiśmy do 12.50. Fernand Leer oświadczył, że czuje się znakomicie, nie dostrzega u siebie żadnych objawów choroby, nie odczuwa żadnych skutków amnezji z lat 89-91 i dlatego nie widzi żadnego powodu, aby się poddać mentoskopii. Do tego co powiedział w 91 roku, nie ma nic nowego do dodania, ponieważ nadal niczego nie pamięta. Transgeologiczna inżynieria dawno przestała go interesować i w ciągu ostatnich lat zajmuje się studiami nad teorią wielowymiarowych gier, a także wynalazkami w tej dziedzinie. Rozmawiał ze mną życzliwie, ale z widocznym roztargnieniem. Potem nagle się ożywił - wpadł na pomysł nauczania mnie gry "sneep-snap-snoorry". Na tym moja wizyta się skończyła. (Sprawdziłem - Fernand Leer rzeczywiście stał się wybitnym specjalistą w dziedzinie wielowymiarowych gier. Nazywają go "Ochmistrzem Uczonych".)

Tuul Albert, syn Oskara. Pod zarejestrowanym adresem nie mieszka. Nowy adres w WMI Venusborg (Wenus). Pod tym adresem nie mieszka również. Dane z rejestratury na Wenus: Albert Tuul nigdy nie zjawiał się na Wenus. W97-ym roku zawiadomił matkę, że jakoby zamierza popracować w obozie "Hus" u "Tropicieli śladów" (planeta Kala-i-Mug). Od tego czasu Tnatka dosyć regularnie otrzymuje wiadomości od syna (ostatnia nadeszła w marcu br.). Te wiadomości to obszerne listy, w których szczegółowo, bardzo po literacku, Albert Tuul opowiada o poszukiwaniach śladów cywilizacji "wilkołaków". Dane z obozu "Hus": Albert Tuul nigdy tam nie był, ale dosyć (gęsto poprzez zero-łączność

rozmawia ze specjalistą od rozkopywania gruntów) Kapustinem, który jest absolutnie przekonany, że jego stary znajomy, Albert Tuul, mieszka na Ziemi pod zarejestrowanym adresem. Ostatni raz Kapustin rozmawiał z Tuulem 1 stycznia br. Kontrola sieci kosmodromów: od 96-ego roku (rok powrotu) niejednokrotnie wylatywał w głęboki Kosmos, ostatni raz wrócił z Kurortu w październiku 98-ego. Kontrola okołoziemskiej zero-T: od 96-ego roku niejednokrotnie był na Księżycu w "Oranżeriach". Kontrola systemu WN: od października 96-ego do października 97-ego pracował w abysalnym laboratorium "Tuskarora-11S" jako kucharz. Hipoteza: Albert Tuul jest człowiekiem wyjątkowo lekkomyślnym, o niskim poziomie poczucia społecznej odpowiedzialności, incydent z 89-ego roku niczego go nie nauczył i nadal nie zamierza przywiązywać znaczenia do takiego drobiazgu jak dokładny adres.

8 maja do 22.10

Bagracion Maurycy, syn Amazaspa. Pod zarejestrowanym adresem nie mieszka. W WMI jego nowego adresu nie ma. Z powodu bardzo podeszłego wieku nie ma bliskich krewnych, z którymi utrzymywałby regularny kontakt. Kontakty zawodowe zerwał ćwierć wieku temu. Jego obaj starzy przyjaciele, znani nam ze śledztwa związanego z zaginięciem Maurycyego Bagraciona w 81-ym roku, również nie przebywają pod zarejestrowanymi adresami, a gdzie obecnie mieszkają, nie udało mi się wyjaśnić. Kontrola sieci kosmodromów, okołoziemskiego zero-T, systemu WN - żadnych wyników. Dane centrum gerontologicznego - już od wielu lat nie mogą go przebadać, ponieważ się nie zgłasza. Hipoteza: niezarejestrowany nieszczęśliwy wypadek. Uważam za słuszne odnalezienie jego przyjaciół i zawiadomienie ich o tym.

Czżan Martyn. Pod zarejestrowanym adresem nie mieszka. Nowy adres w WMI: baza "Matryx" (Druga EN 7113). Delegowany na "Matryx" w styczniu 93 roku przez Instytut Biokonfiguracji (Londyn) w charakterze interpretatora. W chwili obecnej (od grudnia 98-ego) przebywa na długoterminowym urlopie, miejsce pobytu nieznane. Kontrola sieci kosmodromów, okołoziemskiej zero-T i systemu WN od grudnia 98-ego roku nic nie wykazała. I w związku z tym dziwna historia: Wan, sąsiad Martyna Czżana pod zarejestrowanym adresem twierdzi, jakoby widział Martyna Czżana w marcu tego roku. Czżan na jego oczach przyleciał do swojego ogrodu na gliderze i nie wchodząc do domu, zaczął glider demontować. Na pozdrowienie Wana odpowiedział niedbale, od rozmowy się uchylił. Wan wyszedł z domu, a kiedy wrócił po paru godzinach nie było ani glidera, ani Martyna Czżana, i więcej już się nie pokazali. Historia ta wydaje mi się interesująca, ponieważ tajemnica pierwszego zniknięcia Martyna Czżana związana była również z tym, że rejestratory sieci kosmodromów nie odnotowały ani jego wyjazdu, ani powrotu. Pytanie: czy nie zdarzają się organizmy, których kodu genetycznego nie przyjmują i nie identyfikują istniejące systemy rejestracji? Hipoteza: biorąc pod uwagę, że Martyn Czżan jest pod opieką Krakowskiego Instytutu Regeneracji z powodu regeneracji obu nóg i ponieważ w ciągu tych wszystkich lat po regeneracji nie zjawiał się w Krakowie ani razu, należy przekazać kierownictwu bazy "Matryx" pismo Instytutu informujące, że dalsze uchylenie się od profilaktyki grozi Martynowi Czżanowi poważnymi konsekwencjami. Pismo Instytutu jest obecnie w moim posiadaniu, w Instytucie są ogromnie zaniepokojeni nieodpowiedzialnym postępowaniem Martyna Czżana.

9 maja do 21.30

Okigbo Siprian. Przyjął mnie pod zarejestrowanym adresem o 10.15. Powitał gościnnie, życzliwie,

choć wyglądał na człowieka zajętego swoimi myślami. Posadził mnie w living-roomie, poczęstował szklanką kokosowego mleka, wysłuchał legendy i powiedział "Mój Boże, to wcale nie jest śmieszne!", po czym oddalił się w głąb domu z zatroskanym wyrazem twarzy. Czekałem na niego godzinę, następnie obejrzałem dom. Nie znalazłem nikogo. W gabinecie, w obu sypialniach i na mansardzie wszystkie okna były szeroko otwarte, ale śladów pod nimi nie zauważyłem. W pracowni (?) okna były przeciwnie, szczelnie zamknięte, zasłonięte metalowymi żaluzjami, panowało tam zimno nie do wytrzymania (niewykluczone, że poniżej minus pięciu, woda w akwarium pokryła się warstwą lodu), a nie dostrzegłem żadnych śladów systemu chłodzenia. Szlafrok, w którym Siprian Okigbo mnie powitał, leżał na podłodze w gabinecie. Czekałem na gospodarza jeszcze dwie godziny, a następnie porozmawiałem z sąsiadami. Nic istotnego - Siprian Okigbo jest człowiekiem zamkniętym w sobie, gości nie przyjmuje, prawie bez przerwy siedzi w domu, ogród zapuścił, ale jest uprzejmy, bardzo lubi dzieci, szczególnie małe, jeszcze raczkujące i umie się z nimi obchodzić. Hipoteza: może mi się tylko wydawało, że Siprian Okigbo mnie przyjął? (patrz mój R/M nr 048/99)

11 maja 99 roku

W czasie próby ustalenia, czy Far-Ale Emil przebywa pod zarejestrowanym adresem, miałem atak nudności z halucynacjami. Nie będąc w stanie ustalić, czy dotyczy to wyłącznie mnie, czy też może być ważne dla sprawy, dołączam oddzielny raport-meldunek nr 048/99.

Sandro Mtbewari

(koniec Dokumentu 14)

Nigdy się nie dowiedziałem, jakie wrażenie zrobiły na Tojwo Głumowie rezultaty inspekcji Sandro Mtbewari. Przypuszczam, że był wstrząśnięty. I wstrząsnęły nim nie tyle rezultaty, ile myśl, że do takiego stopnia pozwolił sobie nie docenić nieprawdopodobnej potęgi przeciwnika.

Nie widziałem go ani 11-ego, ani 12-ego, ani 13-ego. Z pewnością były to dla niego ciężkie dni, kiedy przystosowywał się do swojej nowej roli: roli Aloszy Popowicza, przed którym zamiast zapowiedzianego Przeohydnego Bożyszczka pojawił się nagle sam złowrogi bóg Lokis. Ale przez te wszystkie dni pamiętałem o nim i myślałem o nim, dlatego że dla mnie dzień 11-ego maja rozpoczęły dwa dokumenty.

DOKUMENT 15

DO NACZELNIKA WYDZIAŁU NW
OD PREZYDENTA

Drogi Big Bug!

Nie ma rady, kładą mnie do szpitala na operacje. Jednakże nie ma tego złego, co by na dobre nie wyszło. Moje obowiązki przejmie, zatrzymując swoje (zdaje się, że od jutra) Genadij Komow. Przekazałem mu pańskie materiały. Nie ukrywam, że potraktował je dosyć sceptycznie. Ale zna mnie i zna pana. Jest już przygotowany, więc ma pan szansę przekonać go, szczególnie, jeśli udało się panu zdobyć nowe materiały, które zamierzał pan uzyskać. W takim przypadku będzie miał pan do czynienia nie tylko z Prezydentem sektora KK-2, ale także z wpływowym członkiem Rady Światowej. Życzę panu powodzenia, a pan niech mi go życzy również.

Atos. 11.05.99

(Koniec Dokumentu 15)

DOKUMENT 16

Mak!

1. Głumow Tojwo, syn Aleksandra, dziś został wzięty pod kontrolę.. (Zarejestrowany 8.05)

2. Również z datą dzisiejszą wzięci pod kontrolę:

- Kaskazi Artek 18 student Teheran 7.05.

- Mawky Charley 63 martechnik Odessa 8.05.

Laborant

(koniec Dokumentu 16)

To zapewne dziwne, ale prawie nie pamiętam swoich uczuć, wywołanych wstrząsającą informacją Laboranta. Pamiętam tylko wrażenie - jakby niespodziewane i nawet zdradzieckie UDERZENIE w twarz, ni z tego, ni z owego, nie wiadomo za co, z za węglą, niespodziewane, i to wtedy, kiedy oczekiwałem czegoś zupełnie innego. Dziecinne poczucie niesprawiedliwej krzywdy, kiedy aż zbiera się na płacz - oto co mi zostało w pamięci z tej chyba prawie godziny, którą spędziliśmy, patrząc przed siebie niewidzącymi oczami.

Z pewnością przelatywały mi wtedy przez głowę bezsensowne myśli o zdradzie. Z pewnością czułem wściekłość, irytację i okrutne rozczarowanie, dlatego że miałem opracowany konkretny plan działania, w którym każdemu wyznaczyłem miejsce, a teraz w tym planie ziała dziura i nie było jej czym zapłacić. I oczywiście musiałem czuć gorycz, rozpaczliwą gorycz utraty, utraty przyjaciela, współpracownika, syna.

Ale najprawdopodobniej było to chwilowe zamiętanie umysłu, chaos nie uczuć nawet, ale strzępków uczuć.

Potem powoli wróciłem do siebie i znowu zacząłem myśleć - zimno i metodycznie, tak jak musiałem myśleć w mojej sytuacji.

Wiatr bogów rozpętuje burze, ale również wypełnia żagle.

Rozmyślając zimno i metodycznie, tego pochmurnego ranka znalazłem jednak w swoim planie nowe miejsce dla Tojwo Głumowa. I to nowe miejsce wydało mi się wtedy nie mniej, ale nieporównanie bardziej ważne niż poprzednie. Mój plan uzyskał daleką perspektywę, teraz należało nie bronić się, lecz atakować.

Tego samego dnia połączyłem się z Komowem, który wyznaczył mi audiencje na jutro, 12 maja.

12 maja wcześniej rano przyjął mnie w gabinecie Prezydenta. Przedstawiłem mu zebrane do tego czasu materiały. Rozmowa trwała pięć godzin. Mój plan został zatwierdzony z nieznacznymi poprawkami. (Nie chciałbym twierdzić, że udało mi się, wtedy całkowicie rozproszyć sceptycyzm Komowa, ale bez wątplenia udało się mi go zainteresować.)

Zaś 12-ego maja, kiedy wróciłem do siebie, zwyczajem hontyjskich guru posiedziałem kilka minut, dotykając obu skroni koniuszkami palców wskazujących i rozmyślając o rzeczach wzniosłych, następnie wezwałem do siebie Grisze Serosowina i zleciłem mu zadanie. O 8.05 Grisza zawiadomił mnie, że zadanie zostało wykonane. Pozostawało mi tylko czekać.

13-ego rano Dania Łogowienko zadzwonił.

DOKUMENT 17

FONOGRAM ROBOCZY

Data: 13maja 99 roku

Rozmówcy: Maksym Kammerer, naczelnik wydziału NW i Danił Łogowienko, zastępca dyrektora filii Instytutu Badań Metapsychicznych w Charkowie.

Temat: xxx

Treść: xxx

Łogowienko: Cześć Maksym, to ja.

Kammerer: Cześć, co słyhać?

Łogowienko: Słyhać, że było to bardzo sprytnie zrobione.

Kammerer: Rad jestem, że ci się spodobało.

Łogowienko: Może tak bym tego nie określił, ale nie mogę oddać sprawiedliwości staremu przyjacielowi.

PAUZA

Łogowienko: Zrozumiałem to w ten sposób, że chcesz się ze mną spotkać i porozmawiać otwarcie.

Kammerer: Tak. Ale nie ja. I być może nie z tobą.

Łogowienko: Rozmawiać trzeba będzie ze mną. A jeśli nie ty, to kto?

Kammerer: Komow.

Łogowienko: Oho! Wiec jednak się zdecydowałeś...

Kammerer: Komow jest teraz moim bezpośrednim przełożonym.

Łogowienko: Ach, wiec tak... Dobrze. Gdzie i kiedy?

Kammerer: Komow chce, żeby w rozmowie uczestniczył Gorbowski.

Łogowienko: Leonid Andrejewicz? Ale on przecież jest umierający...

Kammerer: Właśnie dlatego. Niech to wszystko usłyszy. Od ciebie.

PAUZA

Łogowienko: Tak. widocznie rzeczywiście czas porozmawiać.

Kammerer: Jutro o 15.00 u Gorbowskiego. Wiesz gdzie on mieszka? Pod Krasławą, nad Daugawą

Łogowienko: Tak, wiem. Wiec do jutra. To wszystko co masz do mnie?

Kammerer: Wszystko. Do jutra. (Rozmowa trwała od 9.02 do 9.04) (koniec Dokumentu 17)

Interesujące, że grupa "Luden" przy całej swojej natrętnej skrupulatności nigdy nie próbowała uzyskać ode mnie informacji dotyczących Daniła Aleksandrowicza Łogowienko. A przecież znaleźmy się od niepamiętnych czasów, od błogosławionych lat sześćdziesiątych, kiedy ja, młody wtedy i diabelnie energiczny funkcjonariusz KOMKONu, przechodziłem specjalny kurs psychologii na uniwersytecie w Kijowie, natomiast Dania, młody wtedy i diabelnie energiczny metapsycholog, prowadził ze mną zajęcia praktyczne, wieczorami zaś obaj z zaiste diabelską energią uwodziliśmy czarujące i diabelnie kapryśne kijowianki. Dania wyraźnie mnie faworyzował, zawarliśmy przyjaźń i w pierwszych latach spotykaliśmy się, można powiedzieć, regularnie. Potem praca nas rozdzieliła, spotykaliśmy się coraz rzadziej, a od

początku lat osiemdziesiątych przestaliśmy się w ogóle widywać (aż do wspólnego picia herbaty w przeddzień wydarzeń). Życie osobiste Dani ułożyło się bardzo nieszczęśliwie, teraz już wiadomo, dlaczego. W ogóle był bardzo nieszczęśliwym człowiekiem, czego nie mogę powiedzieć o sobie.

Zauważyłem, że każdy kto na serio zajmuje się epoką Wielkiej Iluminacji skłonny jest przypuszczać, że wie świetnie, kto to taki Danił Łogowienko. Nic biedniejszego! Co wie o Newtonie człowiek, który przeczytał nawet najpełniejsze wydanie jego dzieł? Tak, Łogowienko odegrał ogromną rolę w “Wielkiej Iluminacji”. “Deklaracja Łogowienko”, “Impuls Łogowienko”, “T-program Łogowienko”, “Komitet Łogowienko”...

Ale czy wiecie, jakie były losy żony Łogowienko?

A w jaki sposób trafił na kurs wyższej i anomalnej etologii w Splicie?

A dlaczego w sześćdziesiątym szóstym z całej sfery kursantów szczególnie wyróżnił Maksyma Kammerera, energicznego i rojującego z nadzieją funkcjonariusza KOMKONu?

A co myślał na temat Wielkiej Iluminacji Danił Łogowienko - nie prorokował, nie deklarował, nie wieszczyl, tylko myślał i przeżywał w głębi swojej nieczłowieczej duszy?

Takich pytań jest wiele. Na niektóre, jak przypuszczam, mógłbym udzielić dokładnej odpowiedzi. Co do innych, potrafię, za ledwie budować hipotezy. Na pozostałe zaś odpowiedzi nie ma i nie będzie nigdy.

DOKUMENT 18

RAPORT-MELDUNEK

nr 020/99

KOMKON-2

Ural-Północ

Data: 13 maja 99

Autor: Tojwo Głumow, inspektor

Temat: 009 "Wizyta starszej pani"

Treść: porównanie listy osób z inwersją "syndromu pingwina" z listą "Temat".

Zgodnie z otrzymanym poleceniem, opierając się na wszystkich dostępnych mi źródłach, sporządziłem spis przypadków inwersji "syndromu pingwina". Udało mi się zgromadzić 12 przypadków, z czego zidentyfikowałem 10. Porównanie tych dziesięciu z listą "T" wykazało, że na obu listach figurują następujące osoby:

1. Kriwokłykow Iwan Georgiewicz, lat 65, psychiatra, baza "Lemboy";
2. Pakkala Alf Christian, lat 31, budowniczy-operator, Alaska Anchorage
3. Io Nika, lat 48, prządka-dekoratorka, kombinat "Irawadi", Phepoun;
4. Tuul Albert, lat 59, gastronomik, miejsce pobytu nieznane (patrz nr 047/99 Sandro Mtbewari).

Procent ludzi wspólnych dla obu list wydaje mi się zaskakująco wysoki. Fakt, że Albert Tuul znajduje się faktycznie na trzech listach wydaje mi się jeszcze bardziej zdumiewający.

Uważam za konieczne zwrócić uwagę pana na pełną listę osób z inwersją "syndromu pingwina".

Listę załączam.

Tojwo Głumow

(koniec Dokumentu 18)

"DOM LEONIDA" (KRASŁAWA, ŁOTWA). 14 MAJA 99 ROKU. 15.00.

Daugawa pod Krasławą była niezbyt szeroka, czysta, o bystrym nurcie. Żółciło się suchym piaskiem pasmo plaży, a nad plażą biegła ku sosnom stroma, piaszczysta skarpa. Na wzniesionym nad wodą szarym w białą kostkę owalu lądowiska piekły się w słońcu ustawione byle jak różnokolorowe flajery. Było ich trzy - staromodne, ciężkie aparaty, jakich używają dzisiaj najwyżej starcy, urodzeni w minionym wieku.

Tojwo wyciągnął rękę, żeby otworzyć drzwi glidera, ale powiedziałem:

- Nie trzeba. Poczekaj.

Patrzyłem w górę, tam gdzie wśród sosen kremowo prześwitywały ściany domku, skąd zygzakiem po skarpie prowadziły w dół stare, poszarzałe od upływu lat drewniane schody. Po schodach powoli schodził ktoś biało ubrany, ocieślały, prawie kwadratowy, najwidoczniej bardzo stary, prawą ręką trzymał się poręczy, pokonywał stopień za stopniem, za każdym razem przystawiając nogę, a słoneczna plama kołysała się na jego wielkiej, lysej czaszce. Poznałem go. To był August Johann Bader, Komandos i Zwiadowca. Ruina heroicznej epoki.

- Poczekajmy aż zejdzie - powiedziałem. - Nie chce się z nim spotkać.

Odwrociłem się i zacząłem patrzeć w przeciwną stronę, na drugi brzeg rzeki, Tojwo zaś taktownie również odwrócił głowę i tak siedzieliśmy aż nie usłyszeliśmy ciężkiego skrzypienia stopni i aż nie dobiegł do nas świszczący, ciężki oddech i jeszcze jakieś niestosowne dźwięki, przypominające przerywany szloch. Starzec przeszedł obok glidera, szurając podszwami po plastyku, znalazł się w moim polu widzenia i mimo woli spojrzałem na jego twarz.

Z bliska ta twarz wydała mi się absolutnie nieznajoma. Była zniekształcona rozpaczą. Miękkie policzki trzęsły się i obwisły, usta bezwolnie otwarte, z zapuchniętych oczu płynęły łzy.

Bader podszedł zgarbiony do staroświeckiego żółto-zielonego flajera, najstarszego z trzech, z burta ozdobioną jakimiś idiotycznymi szyszkami, ze szpetnymi szczelinami wizorów zabytkowego autopilota, z wgnieceniami na burcie, zmatowiałym niklem klamek - podszedł, otworzył drzwi i ni to postępując, ni to szlochając, wcisnął się do kabiny.

Przez dłuższy czas nic się nie działo. Flajer stał z otwartymi drzwiami, a starzec wewnątrz, czy to zbierał siły przed startem, czy to płakał z łysą głową opartą na odrapanym sterze. Potem wreszcie brązowa ręka wysunęła się z białego mankietu i zatrzasnęła drzwi. Staroświecka maszyna z nieoczekiwaną lekkością i absolutnie bezdźwięcznie uniosła się z lądowiska i poleciała nad rzekę, między urwistymi brzegami.

- To Bader - powiedziałem. - Przyszedł się pożegnać...Chodźmy. Wyleźliśmy z glidera i zaczęliśmy wchodzić po schodach. Powiedziałem, nie odwracając się:

- Opanuj emocje. Idziesz złożyć sprawozdanie. Będzie bardzo ważna rozmowa. I konkretna. Weź się w garść.

- Konkretna rozmowa to coś wspaniałego - powiedział Tojwo do moich pleców. - Ale mam wrażenie, że nie czas teraz na rozmowy. Nawet konkretne.

- Mylisz się. Właśnie teraz jest czas. A jeśli chodzi o Badera... Nie myśl teraz o tym. Myśl o naszej sprawie.

- Dobrze - powiedział pokornie Tojwo.

Domek Gorbowskiego. "Dom Leonida" był absolutnie standardowy, w architektonicznym stylu początków wieku - ulubione mieszkanie astronautów, podwodników, transgeologów stęsknionych za sielanką, bez warsztatu, bez obory, bez kuchni... ale za to z przybudówką dla urządzeń dających energię dla obsługi prywatnej zero-linii, przysługującej Gorbowskiemu jako członkowi Rady Światowej. A dookoła były sosny, zarośla wrzosu, pachniało rozgrzane igliwie i sennie buczały pszczoły w nieruchomym powietrzu.

Wdrapaliśmy się na werandę i przez szeroko otwarte drzwi weszliśmy do domu. W living-roomie, w którym okna były starannie zasłonięte portierami, paliła się tylko lampa stojąca obok kanapy, z nogą na nodze siedział jakiś człowiek i oglądał pod światło ni to mapę, ni to mentogram. To był Komow.

- Dzień dobry - powiedziałem, a Tojwo uklonił się w milczeniu.

- Dzień dobry, dzień dobry - powiedział Komow jakby trochę niecierpliwie. - Wchodźcie, siadajcie. On śpi. Zasnął. Ten przekłety Bader kompletnie go uhajdakał... Pan - to Głumow?

- Tak - powiedział Tojwo.

Komow patrzył na niego uważnie i z ciekawością. Odkaszniałem i Komow natychmiast się opamiętał.

- Czy przypadkiem nie jest pan synem Mai Głumowej? - zapytał.
- Jestem - odpowiedział Tojwo.
- Miałem przyjemność z nią pracować - powiedział Komow.
- Tak? - powiedział Tojwo.
- Tak. Nie opowiadała panu? Operacja "Arka"...
- Tak, znam te historie - powiedział Tojwo.
- Co Maja teraz robi?
- Jest ksenotechnikiem.
- Gdzie? U kogo?
- Na Sorbonie. Zdaje się u Saliniego.

Komow pokiwał głową. Wciąż patrzył na Tojwo. Oczy mu błyszczały. Można przypuścić, że widok dorosłego syna Mai Głumowej obudził w nim jakieś żywe wspomnienia. Znowu odkasznął i Komow natychmiast odwrócił się do mnie.

- Gdybyście chcieli się odświeżyć... Napoje są w barku. Będziemy musieli poczekać. Nie chciałbym go budzić. Uśmiecha się we śnie. Śni mu się coś przyjemnego... Żeby diabli wzięli te płaczkę Badera!

- Co mówią lekarze? - zapytałem.

- Wciąż to samo. Odechciało mu się żyć. Na to nie ma lekarstwa... To znaczy są, tylko on nie chce ich przyjmować. Życie przestało go interesować i na tym wszystko polega. My nie umiemy tego zrozumieć... No i już przekroczył stopiećdziesiątkę... Niech mi pan powie, Głumow, co robi pański ojciec?

- Prawie wcale go nie widuje - powiedział Tojwo. - Zdaje się, że teraz zajmuje się hybrydyzacją. Chyba na Jajle.

- A pan... zaczął Komow, ale umilkł, ponieważ z głębi domu dobiegł słaby, zachrypnięty głos:
- Genadij! Kto tam przyszedł? Niech wejdzie...
- Idziemy - powiedział Komow, zrywając się na nogi.

Okna w sypialni były szeroko otwarte. Gorbowski leżał na kanapie, przykryty do ramion kraciastym pledem. Wydawał się niewyobrażalnie długi, chudy i rozpaczliwie żałosny. Policzki miał zapadnięte, słynny łapciowaty nos znieruchomiał, zapadłe głęboko oczy były smutne i matowe. Jakby nie chciały już na nic patrzeć, ale patrzeć było trzeba, no więc patrzyły.

- A, Maks... - powiedział Gorbowski na mój widok - Wciąż jesteś taki... przystojny... Cieszę się, cieszę się, że cię widzę...

To było pobłażanie i bezgraniczne cierpienie Gorbowskiego. Jakby teraz myślał - oto znowu ktoś przyszedł... no cóż, to nie potrwa długo... ten też odejdzie, jak odchodzili wszyscy przed nim i zostawi mi mój spokój...

- A to kto? - z wyraźnym trudem przezwyciężając apatie zainteresował się Gorbowski.
- To jest Tojwo Głumow - powiedział Komow. - Inspektor KOMKONu. Opowiadałem ci...
- Tak, tak... - ospale powiedział Gorbowski. - Pamiętam. "Wizyta starszej pani"... Siadaj, Tojwo, siadaj, mój chłopcze... Słucham cię...

Tojwo spojrzał na mnie pytająco.

- Zrelacjonuj swój punkt widzenia - powiedziałem. -I uzasadnij. Tojwo zaczął:

- Sformułuj teraz pewne twierdzenie. Sformułowanie nie należy do mnie. Zrobił to doktor Bromberg pięć lat temu. A więc twierdzenie. W początkach lat osiemdziesiątych pewna supercywilizacja, którą dla uproszczenia nazwiemy Wędrowcami, rozpoczęła aktywną, progresorską działalność na naszej planecie. Jednym z celów tej działalności jest przeprowadzenie selekcji. Najrozmaitszymi sposobami Wędrowcy wybierają spośród wszystkich ludzi tych, którzy z powodu określonych cech są im przydatni do... powiedzmy dla kontaktów... Albo dla dalszego doskonalenia gatunku. Albo nawet dla przekształcenia w Wędrowców. Z całą pewnością Wędrowcy mają też inne cele, których się nie domyślamy, ale to, że zajmują się sortowaniem, selekcją - jest dla mnie absolutnie oczywiste i teraz spróbuj to udowodnić.

Tojwo umilkł. Komow patrzył na niego uważnie. Gorbowski jakby spał, ale jego palce skrzyżowane na piersiach co chwila zaczynały się poruszać, kreśląc w powietrzu skomplikowane ornamenty. Potem nagle odezwał się, nie otwierając oczu:

- Genadij, przynieś gościom coś do picia... Na pewno jest im gorąco... Zerwałem się na nogi, ale Komow zatrzymał mnie:

- Sam przyniosę - burknął i wyszedł.

- Mów dalej, mój chłopcze - powiedział Gorbowski.

Tojwo mówił dalej. Opowiedział o "syndromie pingwina": za pomocą jakiegoś "sita" ustawionego przy sektorze 41/02 Wędrowcy najwidoczniej wybrakowywali ludzi cierpiących na utajoną kosmofobie i wybierali utajonych filokosmitów. Opowiedział o wydarzeniach w Małej Peszy: tam, za pomocą niewątpliwie pozaziemskiej biotechniki, Wędrowcy przeprowadzili eksperyment, oddzielający ksenofobów od ksenofilów. Opowiedział o walce o "Poprawkę". Widocznie fukamizacja albo przeszkadzała Wędrowcom w selekcji, albo groziła likwidacją w przyszłych pokoleniach cech potrzebnych Wędrowcom, więc sobie tylko znanym sposobem zorganizowali i z powodzeniem przeprowadzili kampanie w sprawie zniesienia przymusu fukamizacji. Przez wszystkie lata liczba ludzi "wyselekcjonowanych" (nazwijmy ich tak) wciąż wzrastała i to nie mogło pozostać niedostrzeżone, musieliśmy zauważyć tych "wyselekcjonowanych" i zauważyliśmy ich. Zaginieni w latach osiemdziesiątych... nagle przemiany zwyczajny ludzi w geniuszy... właśnie wykryci przez Sandro Mtbewari ludzie o fantastycznych uzdolnieniach... i wreszcie tak zwany Instytut Dziwaków w Charkowie, niewątpliwie centrum aktywności Wędrowców w dziedzinie selekcji...

- Nawet niespecjalnie kryją się ze swoją działalnością - mówił Tojwo. - Widocznie czują się tak silni, że już nie obawiają się zdemaskowania. Może zresztą uważają, że nie jesteśmy już w stanie czegokolwiek zmienić. Nie wiem... Właściwie skończyłem. Chce jeszcze tylko dodać, że w naszym polu widzenia znalazła się tylko mikroskopijna część ich działalności. Trzeba o tym pamiętać. I uważam za swój obowiązek wspomnieć dziś dobrym słowem doktora Bromberga, który jeszcze pięć lat temu, nie dysponując w istocie rzeczy żadnymi konkretnymi informacjami, OBLICZYŁ dosłownie wszystkie zjawiska, które teraz zaobserwowaliśmy: i powstanie masowych fobii, i niespodziewane wybuchy talentu u ludzi, i nawet irregularność w zachowaniach zwierząt, na przykład wielorybów.

Tojwo odwrócił się do mnie.

- Skończyłem - powiedział. Kiwnąłem głową. Wszyscy milczeli.

- Wędrowcy, Wędrowcy - nieomal zanucił Gorbowski. Teraz leżał przykryty pledem aż po sam nos.

- Coś takiego, od jak dawna siebie pamiętam, od najwcześniejszego dzieciństwa trwają wciąż rozmowy o tych Wędrowcach... Ty ich za coś bardzo nie lubisz, prawda Tojwo, mój chłopcze?

- Nie lubię Progresorów - powiedział Tojwo beznamiętnie i zaraz dodał: - Sam przecież byłem Progresorem...

- Nikt nie lubi Progresorów - wymamrotał Gorbowski. - Nawet sami Progresorzy... - westchnął głęboko i znowu zamknął oczy. - Mówiąc uczciwie, nie widzę tu żadnego problemu. To tylko inteligentna interpretacja i nic poza tym. Przekażcie swoje materiały, powiedzmy, pedagogom, a niezawodnie okaże się, że istnieje jeszcze inna, równie inteligentna interpretacja. Oceanolodzy będą mieli jeszcze inną... mają swoje mity, swoich Wędrowców... Nie gniewaj się, Tojwo, ale samo wspomnienie Bromberga wzbudziło moją nieufność.

- A tymczasem wszystkie prace Bromberga dotyczące monokosmu rzeczywiście znikły - cicho powiedział Komo w.

- Ależ on nie miał żadnych prac, to oczywiste! - Gorbowski słabo zachichotał. - Nie znaleźcie Bromberga. To był jadowity staruch z fantastyczną fantazją. Maks posłał mu swoją ankietę. Bromberg, który nigdy w życiu nie myślał na ten temat, usiadł w wygodnym fotelu, wgapił się w swój palec wskazujący i migiem wysłał z niego hipotezę monokosmu. Zajął mu to jeden wieczór. A następnego dnia o wszystkim zapomniał... Miał nie tylko kolosalną fantazję, był jeszcze znawcą zakazanej nauki, w jego głowie mieściło się nieprzebrane mnóstwo niewyobrażalnych analogii...

Jak tylko Gorbowski zamilkł, Komow powiedział:

- O ile dobrze pana rozumiem, Głumow, twierdzi pan, jakoby na Ziemi żyli i działali Wędrowcy? We własnej postaci, mam na myśli...

- Nie - odparł Tojwo. - Ja tego nie twierdze.

- O ile dobrze pana zrozumiałem, Głumow, twierdzi pan, jakoby na Ziemi żyli i działali świadomi współnicy Wędrowców? "Wyselekcjonowani", jak ich pan nazywa...

- Tak.

- Czy może pan podać ich nazwiska?

- Tak. Z dużym prawdopodobieństwem.

- Proszę je wymienić.

- Albert Tuul. Prawie na pewno. Siprian Okigbo. Emil Far-Ale. Również prawie na pewno. Mogę podać jeszcze około dziesięciu nazwisk, ale nie są jeszcze ostatecznie potwierdzone.

- Kontaktował się pan z którymś z nich?

- Sądzę, że tak. W Instytucie Dziwaków. Myślę, że jest ich tam wielu. Ale kto konkretnie, nie umiem powiedzieć.

- To znaczy, że nieznanne są panu cechy odróżniające ich od innych ludzi?

- Oczywiście. Wcale się nie różnią wyglądem od pana czy ode mnie. Ale wytypować ich można. W każdym razie z wystarczającą dozą prawdopodobieństwa. A w Instytucie Dziwaków, jestem przekonany, musi być jakaś aparatura, za pomocą której bezbłędnie wykrywają swojego człowieka.

Komow rzucił mi szybkie spojrzenie. Tojwo zauważył to i powiedział z wyzwaniem: Tak! Uważam, że nie czas teraz na ceremonie! Będziemy musieli odstąpić od niektórych zasad! Mamy do czynienia z

Progresorami i trzeba będzie zachowywać się po progresorsku!

- To znaczy? - zapytał Komow, pochylając się do przodu.

- Należy uruchomić cały arsenał naszej metodyki operacyjnej! Od wysyłania agentów do przeprowadzania przymusowych mentoskopii, od...

W tym momencie Gorbowski wydał przeciągły jęk, odwróciliśmy się do niego przerażeni. Komow nawet zerwał się na nogi. Jednak nic strasznego z Leonidem Anderejewiczem się nie działo. Leżał w poprzedniej pozie, tylko grymas wysiłonej uprzejmości na jego chudej twarzy przemienił się w grymas irytacji i obrzydzenia.

- No i co tu urządzać przy moim łóżku? - zapytał zboliałym głosem. - Przecież jesteście dorośli, nie sztubacy i nie studenci... Doprawdy, jak wam nie wstyd? To jest właśnie powód, dla którego nie znoszę tych rozmów o Wędrowcach... i nigdy nie znosiłem. Zawsze kończą się przerażonym gadaniem głupstw i intrygą kryminalną! I kiedy wreszcie wszyscy zrozumiecie, że to się wzajemnie wyklucza... Albo Wędrowcy to supercywilizacja i w takim razie w ogóle ich nie interesujemy, są istotami o innej historii, o innych zainteresowaniach i nie zajmują się Progresorstwem, w ogóle w całym Wszechświecie tylko nasza ludzkość zajmuje się Progresorstwem, a to dlatego, że mamy taką a nie inną historię, dlatego że opłakujemy naszą przeszłość... Nie możemy jej zmienić i dlatego staramy się chociażby pomóc innym, jeżeli już nie mogliśmy kiedyś pomóc samym sobie... Oto skąd się wzięło nasze Progresorstwo! Ale Wędrowcy, nawet jeśli ich przeszłość była podobna do naszej, tak daleko od niej odeszli, że już jej nie pamiętają, tak jak my nie pamiętamy udręki pierwszego pitekantropa, próbującego przerobić kamień na kamienny topór... - przez chwile milczał. - Dla supercywilizacji Progresorstwo byłoby zajęciem równie głupim, jak dla nas organizowanie kursów dla wiejskich diakonów...

Znowu zamilkł i milczał bardzo długo, przenosząc spojrzenie na każdego z nas po kolei. Popatrzyłem kątem oka na Tojwo. Tojwo spuścił oczy, kilkakrotnie wzruszył prawym ramieniem, jakby pokazując, że ma jeszcze w zanadru pewne kontrargumenty, ale nie uważa, aby mu wypadało ich użyć. Zaś Komow marszcząc gęste czarne brwi patrzył w bok.

- E-he-he-he... - zakasłał Gorbowski. - Nie udało mi się was przekonać. Dobrze, spróbuje wobec tego obrazić. Jeżeli nawet taki żółtodziób jak nasz miły Tojwo zdołał... e-e-e... namierzyć tych Progresorów, to jacy to u diabła Wędrowcy? No, sami się zastanówcie! Czyżby supercywilizacja nie potrafiła tak zorganizować swojej roboty, żebyście niczego nie mogli zauważyć? Wieloryby oszalały, to znaczy, że winni są Wędrowcy!... Zejdźcie mi z oczu i dajcie umrzeć spokojnie!

Wstaliśmy. Komow przypomniał mi półgłosem:

- Zaczekajcie w living-roomie.

Rozstrojony Tojwo uklonił się Gorbowskiemu. Starzec nie zwrócił na niego uwagi. Gniewnie wpatrywał się w sufit, poruszając szarymi wargami.

Wyszliśmy obaj z Tojwo. Starannie zamknąłem za sobą drzwi i usłyszałem, jak słabo cmoknął uruchomiony właśnie system izolacji akustycznej.

W living-roomie Tojwo natychmiast usiadł na kanapie pod lampą, położył dłonie na kolanach i znieruchomiał. Na mnie nie patrzył. Nie miał do mnie głowy.

(Powiedziałem mu dzisiaj rano:

- Pójdiesz ze mną. Zreferujesz wszystko Gorbowskiemu i Komowowi.
- Po co? - zapytał zaskoczony.
- A co, wyobrażasz sobie, że obejdziemy się bez Rady Światowej?
- Ale dlaczego ja?
- Dlatego, że ja im już referowałem. Teraz kolej na ciebie.
- Dobrze - powiedział, przygryzając wargi.

On był wojownikiem, mój Tojwo. Nigdy się nie cofał. Można go było tylko odrzucić.)

I oto odrzucono go. Obserwowałem go z mojego kąta.

Czas jakiś siedział nieruchomo, potem bezmyślnie przekartkował leżące przed nim na niskim stoliku mentogramy, podkreślone różnokolorowymi znaczkami lekarzy. Potem wstał i zaczął chodzić z kąta w kąt po ciemnym pokoju, z rękami założonymi na plecach.

W domu panowała niczym nie zakłócona cisza. Nie było słycać ani głosów z sypialni, ani szumu drzew za szczelnie zasuniętymi portierami. Nie słyszał nawet własnych kroków.

Jego oczy przywykły do półmroku. Living Leonida Andrejewicza był umebrowany po spartańsku. Stojąca lampa (z abazurem wyraźnie własnej produkcji), wielka kanapa, obok niski stolik. W przeciwległym kącie kilka siedzisk najwyraźniej pozaziemskiego pochodzenia i najwyraźniej przeznaczonych nie dla ziemskich tyłków. W sąsiednim kącie - ni to jakaś egzotyczna roślina, ni to staroświecki wieszak na kapelusze. To wszystko. No i może jeszcze jedno - drzwiczki barku w ścianie były uchylone i można było stwierdzić, że jest nieźle zaopatrzony. A nad barkiem wiszą obrazki w przezroczystych oprawach, największa - jak karta albumu.

Tojwo podszedł i zaczął je oglądać. To były rysunki dziecka. Akwarele. Gwasze. Tusz. Malutkie domki, a obok duże dziewczynki, którym sosny sięgają do kolan. Psy (albo Głowany?). Słoń. Tachorg. Jakaś kosmiczna konstrukcja - może fantastyczny gwiazdolot, może hangar... Tojwo westchnął i wrócił na kanapę. Śledziłem go bardzo uważnie.

Miał lzy w oczach. Już nie myślał o przegranej bitwie. Tam za drzwiami umierał Gorbowski, umierała epoka, umierała żywa legenda. Astronauta. Komandos. Odkrywca cywilizacji. Twórca Wielkiego KOMKONu. Członek Rady Światowej. Dziadek Gorbowski. Był jak z bajki - zawsze dobry i dlatego zawsze miał racje. Taka była jego epoka, że dobroć zawsze zwyciężała. "Ze wszystkich możliwych rozwiązań wybieraj to, w którym jest najwięcej dobroci". Nie najbardziej obiecujące, najbardziej racjonalne, nie najbardziej postępowe, a już na pewno nie najbardziej efektywne, ale to, w którym jest najwięcej dobroci! Nigdy nie wypowiadał tych słów, nadzwyczaj jadowicie wyrażał się o swoich biografach, którzy przypisywali mu te słowa i z pewnością nigdy nie myślał tymi słowami, jednak cała treść jego życia zawarta jest w nich właśnie. Oczywiście słowa to nie recepta, nie każdemu jest dane być dobrym, to taki sam talent jak na przykład słuch muzyczny albo jasnowidzenie, tylko znacznie rzadszy. I będzie wyciosane w kamieniu "On był dobry"...

Wydaje mi się, że Tojwo tak właśnie myślał. Wszystkie moje wyliczenia opierały się na założeniu, że Tojwo myślał właśnie tak.

Minęły 43 minuty.

Nieoczekiwanie otworzy się drzwi. Wszystko było jak w bajce. Albo w kinie. Gorbowski,

niewyobrażalnie długi w swojej pasiastej piżamie, chudy, wesoły, niepewnym krokiem wszedł do pokoju, ciągnąc za sobą kraciasty pled, którego frędzle zaczepiły się o jakiś guzik piżamy.

- Ach, jeszcze tu jesteś! - powiedział z radosnym zadowoleniem na widok Tojwo, który zamarł ze zdziwienia na kanapie. - Wszystko przed nami, mój chłopcze! Wszystko przed nami! Miałeś racje!

I wypowiedziawszy te zagadkowe słowa, ruszył lekko się chwiejąc do najbliższego okna i odsunął portierę. Zrobiło się oślepiająco jasno, więc zmrużyliśmy oczy, a Gorbowski odwrócił się i popatrzył na Tojwo, który zamarł obok lampy w postawie zasadniczej. Spojrzałem na Komowa. Komow wyraźnie promieniał, błyskając białymi zębami, zadowolony jak kot, który przed chwilą pożarł złotą rybkę. Wyglądał jak swój chłop, któremu właśnie udał się wspaniały kawał. Zresztą na dobrą sprawę tak właśnie było.

- Nieźle, nieźle - powtórzył Gorbowski. - Nawet znakomicie!

Z głową pochyloną na bok przybliżał się do Tojwo, lustrując go otwarcie od stóp do głów, podszedł bardzo blisko, położył mu rękę na ramieniu i lekko ścisnął kościstymi palcami.

- Mam nadzieję, że darujesz mi szorstkość, mój chłopcze - powiedział. - Ale przecież i ja również miałem racje... A szorstkość to z rozdrażnienia. Muszę ci wyznać, że umieranie jest obrzydliwym zajęciem. Nie przejmuj się.

Tojwo milczał. Oczywiście, nic z tego nie rozumiał. Komow to wymyślił i przeprowadził. Gorbowski wiedział dokładnie tyle, ile Komow uznał za stosowne mu powiedzieć. Świetnie wyobrażałem sobie, jaka rozmowa odbyła się w sypialni. Ale Tojwo nie rozumiał nic.

Ująłem go za łokieć i powiedziałem Gorbowskiemu:

- Pójdziemy już. Gorbowski pokiwał głową:

- Oczywiście, idźcie. Dziękuję. Bardzo mi pomogliście. Zobaczymy się jeszcze i to nie raz. Kiedy wyszliśmy na ganek, Tojwo zapytał:

- Może mi pan wyjaśni, co to wszystko znaczy?

- Przecież widzisz, odechciało mu się umierać - powiedziałem.

- Dlaczego?

- Daruj, Tojwo, ale to głupie pytanie...

Tojwo milczał chwilę., a potem powiedział:

- Bo ja jestem głupi. To znaczy, jeszcze nigdy w życiu nie czułem się tak głupio... Dziękuję za wszystko, Big Bug.

Coś tam odburknąłem. W milczeniu schodziliśmy po schodkach na lądowisko. Jakiś mężczyzna niespiesznie szedł nam na spotkanie.

- Dobra - powiedział Tojwo. - Czy mam kontynuować prace nad tematem?

- Oczywiście.

- Ale przecież wyśmiano mnie!

- Przeciwnie. Zrobiłeś świetne wrażenie.

Tojwo wymamrotał coś pod nosem. Na pierwszym podeście znaleźliśmy się równocześnie z mężczyzną, który szedł nam naprzeciw. To był zastępca dyrektora charkowskiej filii Instytutu Badań Metapsychicznych, Danił Łogowienko, zarumieniony i nader zafrasowany.

- Witaj - powiedział do mnie. - Czy bardzo się spóźniłem?

- Nie bardzo - odparłem. - On czeka na ciebie.

I w tym momencie Danił Łogowienko porozumiewawczo mrugnął do Tojwo Głumowa, po czym ruszył dalej po schodach na górę, teraz już z wyraźnym pośpiechem. Tojwo odprowadził go niedobrym spojrzeniem.

DOKUMENT 19

ŚCIŚLE POUFNE!

TYLKO DLA CZŁONKÓW PREZYDIUM RADY ŚWIATOWEJ!

EGZEMPLARZ NR 115

Treść: zapis rozmowy w "Domu Leonida" (Krasławka, Łotwa) 14 maja 99 roku.

Uczestniczyli: Leonid Gorbowski, członek Rady Światowej, Genadij Komow, członek Rady Światowej, p.o. Prezydenta sekcji Ural-Północ KOMKONu-2, Danił Łogowienko, zastępca dyrektora charkowskiej filii Instytutu Badań Metapsychicznych.

Komow: To znaczy, że faktycznie niczym się pan nie różni od zwyczajnego człowieka?

Łogowienko: Różnica jest ogromna, ale... Teraz, kiedy tu siedzę i rozmawiam z wami, różnie się od was wyłączenie świadomością swojej odmienności. To jest jeden z moich poziomów... dosyć nużący zresztą. Udaje mi się to nie bez wysiłku, ale ja akurat jestem przyzwyczajony, a większość z nas od tego poziomu odwykła już raz na zawsze... A więc na tym poziomie różnice można wykryć tylko specjalną aparaturą.

Komow: Chce pan powiedzieć, że na innych poziomach...

Łogowienko: Tak. Na innych poziomach wszystko jest inne. Inna świadomość, inna fizjologia. Nawet inny wygląd...

Komow: To znaczy, że na innych poziomach nie jesteście już ludźmi?

Łogowienko: W ogóle nie jesteśmy ludźmi. Niech właśnie wprowadza w błąd fakt, że pochodzimy od ludzi i ludzie nas zrodzili...

Gorbowski: Przepraszam, a czy nie mógłby pan nam zademonstrować... Proszę mnie dobrze zrozumieć, nie chciałbym pana urazić, ale do tej pory... to wszystko tylko słowa... prawda? Jakiś inny poziom, jeżeli nie sprawi to panu kłopotu, dobrze?

(słychać niegłośnie dźwięki, przypominające przeciągły świst, czyjś niewyraźny okrzyk, brzęk stłuczonego szkła)

Łogowienko: Przepraszam, myślałem, że to jest z nietłukącego się szkła.

(pauza około dziesięciu sekund)

Łogowienko: To ten?

Gorbowski: N-nie... Zdaje się... Nie, nie, to nie ten. Tamten, o, stoi na parapecie...

Łogowienko: Chwileczkę...

Gorbowski: Nie trzeba, proszę, się nie trudzić, przekonał mnie pan. Dziękuję..

Komow: Nie zrozumiałem, co się stało. To sztuczka magiczna? Ja bym...

(w fonogramie wypustka: 12 minut 23 sekundy)

Łogowienko: ... zupełnie inny.

Komow: Co ma z tym wspólnego fukamizacja?

Łogowienko: Odhamowywanie podwzgórza niszczy trzeci sygnałny. Nie mogliśmy do tego dopuścić, póki nie nauczyliśmy się go regenerować.

Komow: I przeprowadziliście kampanie, w sprawie Poprawki.

Łogowienko: Mówiąc ściśle, kampanie przeprowadziliście wy. Ale oczywiście z naszej inicjatywy.

Komow: A “syndrom pingwina”?

Łogowienko: Nie rozumiem.

Komow: No te wszystkie fobie, które wywoływaliście swoimi eksperymentami... kosmofobie, ksenofobie...

Łogowienko: A, już wiem. Widzi pan, istnieje kilka sposobów i metod wykrycia u człowieka trzeciego sygnałnego. Ja sam jestem technikiem, ale moi koledzy...

Komow: Wiec to też była wasza robota?

Łogowienko: Rozumie się! Przecież nas jest bardzo niewiele, tworzymy swoją rasę własnymi rękami, w tej chwili, z marszu. Chętnie wierze, że niektóre nasze sposoby wydają się wam amoralne, nawet okrutne... ale musicie przyznać, że ani razu nie dopuściliśmy do działań o skutkach nieodwracalnych.

Komow: Powiedzmy. Jeśli nie liczyć wielorybów.

Łogowienko: Bardzo przepraszam. Nie “powiedzmy”, a właśnie nie dopuściliśmy. Jeśli zaś chodzi o wieloryby...

(w fonogramie wypustka: 2 minuty 12 sekund)

Komow: ... interesowało nie to. Proszę zauważyć, Leonidzie Andrejewiczu, nasi chłopcy szli niewłaściwym tropem, ale we wszystkim oprócz interpretacji mieli racje.

Łogowienko: Dlaczego “oprócz”? Nie wiem, kto to są ci “wasi chłopcy”, ale Maksym Kammerer namierzył nas bardzo precyzyjnie. Dotąd nie wiem, w jaki sposób w jego rękach znalazła się lista wszystkich ludenów, poddanych inicjacji w ciągu ostatnich 3 lat.

Gorbowski: Przepraszam, pan powiedział “ludenów”?

Łogowienko: Nie mamy jeszcze przyjętej przez nas obowiązującej nazwy. Większość używa terminu “metahomo”, że tak powiem “za-człowiek”. Niektórzy nazywają siebie “mizitom”. Ja wole nazywać nas ludenami. Po pierwsze koresponduje to ze słowem Judzie”, po drugie - pierwszym z nas był Paweł Ludenów, to nasz Adam. Po trzecie istnieje żartobliwy termin “homo ludens”...

Komow: “Człowiek bawiący się”..-

Łogowienko: Tak. “Człowiek bawiący się”. A wiec Maksym zdobył jakimś sposobem listę ludenów i bardzo zręcznie mija zademonstrował, dając do zrozumienia, że nie jesteśmy już dla was tajemnicą. Mówiąc szczerze, poczułem ulgę. Był to bezpośredni powód, żeby wreszcie rozpocząć negocjacje. Już ponad miesiąc czułem na swoim pulsie czyjaś rękę, próbowałem wysondować Maksyma...

Komow: To znaczy, że nie umiecie czytać cudzych myśli? Przecież readerzy...

(w fonogramie wypustka: 9 minut 44 sekundy)

Łogowienko: ... przeszkadzać. I nie tylko dlatego. Uważaliśmy, że należy zachować tajemnice przede wszystkim w waszym interesie, w interesie ludzkości. Chciałbym, żeby w tej sprawie była pełna jasność. My nie jesteśmy ludźmi. Jesteśmy ludenami. Nie popełnijcie błędu. My nie jesteśmy rezultatem ewolucji biologicznej. Zjawiliśmy się dlatego, że ludzkość osiągnęła określony poziom socjotechnicznej organizacji. W organizmie człowieka trzeci sygnałny można było odkryć już sto lat temu, ale jego inicjacja okazała się możliwa dopiero w początkach naszego stulecia, utrzymanie zaś ludena na spirali psychofizjologicznego rozwoju, przeprowadzenie go z poziomu na poziom do samego końca... czyli

używając waszych pojęć, wychowanie ludena stało się możliwe dopiero bardzo niedawno...

Gorbowski: Chwileczkę, chwileczkę! To znaczy, że ten trzeci sygnały istnieje jednak w organizmie każdego człowieka?

Łogowienko: Niestety nie. Na tym właśnie polega tragedia. Trzeci sygnały zdarza się z prawdopodobieństwem nie większym niż jeden na sto tysięcy. Na razie jeszcze nie wiemy, skąd się wziął i dlaczego. Najpewniej jest to rezultat jakiejś zamierzonej mutacji.

Komow: Jeden na sto tysięcy - no, wcale nie tak mało w przeliczeniu na miliardy ludzi. A więc - rozłam?

Łogowienko: Tak. I stąd tajemnica. Proszę mnie dobrze zrozumieć. Dziewięćdziesiąt procent ludenów absolutnie nie interesuje się losami ludzkości i w ogóle ludzkością. Ale jest też grupa takich jak ja. Nie chcemy zapomnieć, że ludeny to krew z krwi i kość z kości człowieka, że mamy tę samą Ojczyznę i od wielu lat łamiemy sobie głowy, jak złagodzić skutki nieuniknionego rozłamu... Przecież faktycznie wszystko wygląda tak, jakby ludzkość rozdzieliła się na dwie rasy: wyższą i niższą. Cóż może być obrzydliwszego? Oczywiście analogia jest powierzchowna i niesłuszna z samej swej istoty, ale nie uda się wam uciec przed poczuciem upokorzenia na myśl o tym, że jeden z was oddalił się daleko, poza granice nieosiągalną dla pozostałych stu tysięcy. A ten jeden nigdy nie pozbędzie się poczucia winy za to, że jest jaki jest. I co najstraszniejsze, podział przebiega poprzez rodziny, między przyjaciółmi...

Komow: To znaczy, że metahomo traci więzi uczuciowe?

Łogowienko: To bardzo indywidualne. I nie takie proste, jak wam się wydaje. Najbardziej typowy model stosunku ludena do człowieka to stosunek doświadczonego i bardzo zapracowanego dorosłego do sympatycznego i okropnie dokuczliwego dziecka. Więc wyobraźcie sobie te stosunki w parach: luden i jego ojciec, luden i jego bliski przyjaciel, luden i jego Nauczyciel...

Gorbowski: Luden i jego dziewczyna...

Łogowienko: To są tragedie, Leonidzie Andrejewiczu. Prawdziwe tragedie.

Komow: Widzę, że pan to bierze bardzo blisko do serca. W takim razie może najlepiej z tym skończyć? Ostatecznie wszystko jest w waszych rękach...

Łogowienko: A czy nie wydaje się panu, że byłoby to amoralne?

Komow: A czynnie wydaje się panu amoralne doprowadzenie ludzkości do stanu szoku? Wywoływanie w psychologii społecznej kompleksu niższości? Unaocznianie młodym, że ich możliwości są ograniczone?

Łogowienko: Po to tu przyszedłem - żeby szukać wyjścia.

Komow: Wyjście jest jedno. Powinniście opuścić Ziemię.

Łogowienko: Przepraszam. Kto "my"?

Komow: Wy, ludeny.

Łogowienko: Powtarzam - w znakomitej większości ludeny na Ziemi nie przebywają. Wszystkie ich zainteresowania, całe ich życie nie dotyczy Ziemi. Do diabła, przecież pan też nie mieszka w łóżku! A stale związani z Ziemią są tylko położnicy, tacy jak ja oraz homopsychologowie... i jeszcze kilka dziesiątków najniezwyklejszych z nas, tych, którzy nie mogą oderwać się od najbliższych i kochanych!

Gorbowski: A!

Łogowienko: Co pan powiedział?

Gorbowski: Nic, nic, słucham bardzo uważnie.

Komow: Wiec twierdzi pan, że interesy ludzi i ludenów nie mają żadnych punktów stycznych?

Łogowienko: Tak.

Komow: Czy możliwa jest współpraca?

Łogowienko: W jakiej dziedzinie?

Komow: To pan powinien wiedzieć.

Łogowienko: Obawiam się, że wy nie możecie być dla nas użyteczni. A jeśli chodzi o nas... wie pan, jest taki stary dowcip. W naszej sytuacji brzmi on dosyć okrutnie, ale go przytoczę. "Niedźwiedzia można nauczyć jeździć na rowerze, ale czy będzie to dla niedźwiedzia pożyteczne i przyjemne"? Na miłość boską, proszę mi wybaczyć. Ale sam pan powiedział - nasze interesy nie mają punktów stycznych, (pauza) Oczywiście, jeżeli Ziemi i ludzkości będzie grozić jakieś niebezpieczeństwo, przyjdziemy bez wahania na pomoc i użyjemy całej siły jaką dysponujemy.

Komow: Dobre i to.

(Długa pauza, słychać jak bulgocze płyn, dźwięczy szkło o szkło, odgłosy przełykania, chrząkanie.)

Gorbowski: Tak, to poważne wyzwanie dla naszego optymizmu. Ale jeśli się zastanowić, to ludzkość przyjmowała groźniejsze wyzwania. I w ogóle nie rozumiem cię, Genadij. Byłeś płomiennym zwolennikiem pionowego postępu! No wiec teraz masz swój pionowy postęp! W najczystszej formie! Ludzkość rozprzestrzeniona na kwitnących równinach pod jasnym niebem poderwała się wzwyż. Oczywiście niezbyt tłumnie, ale dlaczego to de martwi? Tak było zawsze. I zapewne tak będzie. Ludzkość zawsze uchodziła w przyszłość, wysyłając najlepszych swoich przedstawicieli jako zwiadowców. A to, że Danii Aleksandrowicz zwraca nam głowę, że nie jest człowiekiem, tylko ludenem, to po prostu kwestia terminologii... Tak czy inaczej jesteście ludźmi, więcej - Ziemianami i żadnym sposobem przed tym nie uciekniecie. Młodzi jesteście i macie zielono w głowie.

Komow: Czasami twoja lekkomyślność jest doprawdy przerażająca! Przecież to rozłam! Rozłam, rozumiesz? A ty, przepraszam bardzo, częstujesz nas sentymentalną bzdurą!

Gorbowski: Jakiś ty, Genadij... w gorącej wodzie kąpany. Oczywiście, że rozłam. Ciekawe gdzie i kiedy widziałeś postęp bez rozłamu? Bez szoku, bez goryczy, bez poniżenia? Bez tych, którzy odchodzą daleko naprzód i tych, którzy zostają w tyle?

Komow: No naturalnie! "I tych, którzy mnie unicestwią, witam pochwalnym hymnem"...

Gorbowski: Tu by raczej pasowało coś w rodzaju... powiedzmy... "I tych którzy mnie prześcignęli, żegnam pochwalnym hymnem"...

Łogowienko: Nich mi będzie wolno, Genadij, pocieszyć pana. Mamy bardzo poważne podstawy sądzić, że ten rozłam nie jest ostami. Poza trzecim sygnałnym w organizmie homo sapiens odkryliśmy czwarty o niskiej częstotliwości i piąty... na razie bezimienny. Co może dać inicjacja tych układów, my - nawet my! - nie możemy przewidzieć. I nie potrafimy przewidzieć, ile ich jeszcze kryje organizm człowieka. Powiem więcej. Rozłam już dojrzeła nawet wśród nas! To nieuniknione. Sztuczna ewolucja to proces lawinowy. (Pauza) Cóż począć! Mamy za sobą sześć Naukowo-Technicznych Rewolucji, dwie kontrrewolucje technologiczne, dwa gnoseologiczne kryzysy, chcąc nie chcąc, trzeba zacząć ewoluować...

Gorbowski: Otóż to. Gdybyśmy siedzieli cicho jak Tagorianie albo Leonidanie, mielibyśmy święty spokój. A nam zachciało się rozwijać technikę!

Komow: Dobrą, dobra. A czym właściwie jest metahomo? Jakie są jego cele? Bodźce? Zainteresowania? Jeśli to nie tajemnica?

Łogowienko: Nie ma mowy o tajemnicach.

(Na tym fonogram się urywa. Wszystko co było dalej - 34 minuty 11 sekund - jest nieodwracalnie starte)

15.05.99 Spisał **Maksym Kammerer**

(koniec Dokumentu 19)

Wstyd wspominać, ale przez wszystkie ostatnie dni trwałem w nastroju bliskim euforii. Jakby nagle ustało nieznośne, fizycznie odczuwalne napięcie. Zapewne czegoś podobnego doświadczał Syzyf, kiedy wreszcie kamień wyrwał się z jego rąk i wtedy mógł chwile posiedzieć spokojnie na szczycie, dopóki wszystko nie zaczynało się na nowo.

Każdy Ziemiannin przeżył Wielką Iluminację po swojemu. Ale uwierzcie, wypadł mi los gorszy niż komukolwiek innemu.

Przeczytałem teraz wszystko, co napisałem wyżej i zacząłem się obawiać, że moje przeżycia związane z Wielką Iluminacją mogą być zrozumiane opacznie. Może powstać wrażenie, jakobym obawiał się o losy ludzkości. Jasne, że nie obeszło się bez obaw - przecież wtedy nie wiedziałem jeszcze nic o ludenach, oprócz tego, że istnieją. Wiec obawy istniały. A także krótkie paniczne myśli "No, tośmy się doigrali"! I katastroficzne wrażenie ostrego zakrętu, kiedy wydaje się, że kierownica lada sekunda wyrwie ci się z rąk i polecisz nie wiadomo dokąd, jak dzikus w czasie trzęsienia ziemi... Ale przeważała ponizająca świadomość pełnej zawodowej nieprzydatności. Przegapiliśmy. Przepuściliśmy, dyletanci, partacze...

I teraz to wszystko odpuściło. I zresztą wcale nie dlatego, że uwierzyłem Łogowience, albo że mnie jakkolwiek przekonał. Szło o coś zupełnie innego.

Przez półtora miesiąca jakoś przywykłem do poczucia zawodowej kieski. ("Moralne męki są do zniesienia" - oto jedno z malutkich i nieprzyjemnych odkryć, które robimy z upływem lat).

Kierownica już nie rwała mi się z rąk - przekazałem ją innym. I teraz, nawet z niejakim dystansem, dostrzegałem (dla siebie), że Komow przesadza, a Leonid Andrejewicz swoim zwyczajem przesadnie wierzy w szczęśliwe zakończenie dowolnego kataklizmu...

Znowu byłem na swoim miejscu i znowu moim udziałem były zwyczajne kłopoty, jak na przykład zapewnienie stałej i dostatecznie pełnej informacji rym, którzy będą podejmować decyzje.

Wieczorem 15-ego otrzymałem od Komowa rozkaz, żebym postąpił tak jak uznam za stosowne.

Rano 16-ego wezwałem do siebie Tojwo Głumowa. Bez żadnych wstępnych wyjaśnień dałem mu do przeczytania zapis rozmowy w "Domu Leonida". Ciekawe, że byłem pewny sukcesu.

Zresztą dlaczego miałem wątpić?

DOKUMENT 20

ROBOCZY FONOGRAM

Data: 16 maja 99 roku

Rozmówcy: Maksym Kammerer, naczelnik wydziału NW i Tojwo Głumow, inspektor

Temat: xxx

Treść: xxx

Głumow: Co było w tych wypustkach?

Kammerer: Brawo. Ależ ty masz zimną krew, chłopcze. Kiedy ja zrozumiałem w czym rzecz, pamiętam, że pół godziny łąziłem po ścianach.

Głumow: Wiec co było w wypustkach?

Kammerer: Nie wiadomo.

Głumow: Jak to, nie wiadomo?

Kammerer: A tak to. Komow i Gorbowski nic nie pamiętają. Oni nawet nie zauważyli żadnych wypustek. A odtworzyć zapisu nie sposób. Nie jest nawet skasowany, jest unicestwiony. Zniszczono molekularną strukturę kryształu.

Głumow: Dziwny sposób prowadzenia negocjacji.

Kammerer: Trzeba się zacząć przyzwyczajając.

PAUZA

Głumow: No i co teraz będzie?

Kammerer: Na razie jeszcze zbyt mało wiemy. Właściwie widać tylko dwie możliwości. Albo nauczymy się z nimi współistnieć, albo się NIE nauczymy.

Głumow: Jest jeszcze trzecia możliwość.

Kammerer: Nie wariuj. Nie ma trzeciej możliwości.

Głumow: Jest trzecia możliwość! Oni się z nami nie patyczkują!

Kammerer: To żaden argument

Głumow: To jest argument! Oni nie pytali Rady Światowej o pozwolenie! Od wielu lat prowadzą potajemną działalność, przekształcając ludzi w nieludzi! Przeprowadzają na nas eksperymenty! I nawet teraz, kiedyśmy ich zdemaskowali, przychodzą na negocjacje i pozwalają sobie...

Kammerer (przerywa): To, co chcesz zaproponować, można zrobić albo otwarcie - i wtedy ludzkość będzie świadkiem ohydneho aktu gwałtu - albo potajemnie, paskudnie, za plecami opinii publicznej...

Głumow: (przerywa): To są tylko słowa! A chodzi o to, że ludzkość nie powinna być inkubatorem dla nieludzi, a tym bardziej poligonem dla ich przeklętych eksperymentów! Proszę mi darować, Big Bug, ale twierdze, że popełnił pan błąd! Nie powinien pan informować o tej sprawie ani Komowa, ani Gorbowskiego. Postawił ich pan w idiotycznej sytuacji. To sprawa KOMKONu-2 i leży ona całkowicie w naszej kompetencji. Myślę, że jeszcze nie jest za późno. Weźmiemy ten grzech na swoje sumienie.

Kammerer: Słuchaj, skąd u ciebie ta ksenofobia? Przecież to nie Wędrowcy, to nie Progresorzy, których tak nienawidzisz...

Głumow: Mam uczucie, że oni są gorsi od Progresorów. To są zdrajcy. Pasożyty. Coś w rodzaju os, które składają jajka w gąsienicach...

PAUZA

Kammerer: Mów dalej, mów. Rozumiem, że musisz się wygadać.

Głumow: Nic już więcej nie powiem. To nie ma sensu. Pięć lat zajmuje się tą sprawą pod pańskim kierownictwem i przez wszystkie pięć lat miotam się jak ślepe szczenię... Proszę mi chociaż powiedzieć, kiedy pan dowiedział się prawdy? Kiedy pan zrozumiał, że to nie Wędrowcy? Sześć miesięcy temu? Osiem miesięcy?

Kammerer: Niespełna dwa.

Głumow: Wszystko jedno... Kilka tygodni temu. Rozumiem, że miał pan swoje powody, nie chciał mnie pan informować o wszystkich szczegółach, ale jak można było ukryć przede mną, że sam obiekt uległ zmianie? Jak pan mógł pozwolić sobie na to, żebym zrobił z siebie idiotę przed Gorbowskim i Komowem?... Robi mi się gorąco na samo wspomnienie!

Kammerer: A czy nie przychodzi ci do głowy, że miałem jakieś powody?

Głumow: Przychodzi. Ale wcale mi nie jest lżej od tego. Powodów tych nie znam i nawet nie umiem ich sobie wyobrazić... I jakoś nie widzę, żeby pan zamierzał mi je podać! Nie, Big Bug, mam tego absolutnie dosyć. Nie nadaje się do pracy z panem. Proszę mnie zwolnić, odejdę tak czy tak.

PAUZA

Kammerer: Nie mogłem powiedzieć ci prawdy. Najpierw nie mogłem powiedzieć ci prawdy, ponieważ nie wiedziałem co z nią począć. Nawiasem mówiąc, do tej pory nie wiem, ale teraz wszystkie decyzje znajdują się już w innych rękach...

Głumow: Nie trzeba usprawiedliwień, Big Bug.

Kammerer: Milcz. I tak nie wyprowadzisz mnie z równowagi. Bardzo lubisz prawdę? No to zaraz ją usłyszysz. W całości.

PAUZA

Kammerer: Potem posłałem cię do Instytutu Dziwaków i znowu musiałem czekać...

Głumow (przerywa): Co ma z tym wspólnego...

Kammerer (przerywa): Powiedziałem - milcz! Niełatwo jest mówić prawdę, Tojwo. Nie wykladać kawę na ławę, jak to się robi w młodości, tylko wyłożyć ją takiemu jak ty... żółtodziobowi, pewnemu siebie, który wszystko wie i wszystko rozumie. Milcz i słuchaj.

PAUZA

Kammerer: Potem otrzymałem odpowiedź z Instytutu. Ta odpowiedź zwała mnie z nóg. Uważałem przecież, że to tylko rutynowa ostrożność, nic więcej, a okazało się - Słuchaj, przed chwilą czytałeś nagranie. Nic ci się nie wydało dziwne?

Głumow: Wszystko w nim jest dziwne...

Kammerer: No to włącz monitor. Przeczytaj jeszcze raz, tylko uważnie, od samego nagłówka. No?

Głumow: Tylko dla członków Prezydium... Jak mam to rozumieć?

Kammerer: No?

Głumow: Dał mi pan do przeczytania poufny dokument... Dlaczego?

Kammerer (wolno, nieomal przymilnie): Jak zauważyłeś, w tym dokumencie są wypustki. A wiać mam niejaką nadzieję., że kiedy nadejdzie twój czas, ty po starej znajomości te wypustki mi zapełnisz.

DŁUGA PAUZA

Kammerer: Tak właśnie wygląda cała prawda. W tej części, która dotyczy ciebie. Kiedy tylko dowiedziałem się, że w Instytucie Dziwaków zajmują się selekcją, od razu posłałem tam was wszystkich, jednego za drugim, pod rozmaitymi idiotycznymi pretekstami. To była po prostu rutynowa ostrożność, rozumiesz? Żeby nie zostawić przeciwnikowi najmniejszej szansy. Żeby być pewnym... Nie, pewny byłem i tak... Żeby wiedzieć ze stuprocentową dokładnością, że wśród naszych pracowników są wyłącznie ludzie...

PAUZA

Kammerer: Oni tam mają aparaturę... rzekomo do wykrywania “dziwaków”. Przez ten agregat przechodzą wszyscy odwiedzający Instytut. A naprawdę to ta maszyna szuka tak zwanego rytmu T w mentogramie, inaczej mówiąc “impulsu Łogowienki”. Jeśli człowiek ma zdolny do inicjacji trzeci system sygnałny, w jego mentogramie pojawia się ten przeklęty rytm T. No więc w twoim mentogramie ten rytm jest.

DŁUGA PAUZA

Głumow: To jakiś nonsens, Big Bug.

PAUZA

Głumow: Wpuszczają pana w kanał!

PAUZA

Głumow: To prowokacja! Po prostu chcą usunąć mnie z drogi! Widocznie dowiedziałem się czegoś ważnego, tylko na razie jeszcze nie wiem, co to takiego i oni chcą mnie usunąć... To elementarne!

PAUZA

Głumow: Przecież zna mnie pan od dzieciństwa! Przeszedłem tysiące komisji lekarskich, jestem najzwyczajnym człowiekiem. Niech pan im nie wierzy, Big Bug! Kto jest pańskim informatorem?... Nie, nie pytam o nazwisko. Na pewno sam jest tym...Jak pan mu może wierzyć? (krzyczy) Nie o mnie chodzi! Odejdę tak czy inaczej! Ale przecież takim sposobem bez jednego strzału oni rozwalą cały KOMKON! Czy pan o tym pomyślał?

PAUZA

Głumow (złamanym głosem): Co ja mam zrobić? Na pewno pan już pomyślał, co mam robić.

Kammerer: Posłuchaj. Nie ma powodu do rozpacz. Na razie jeszcze nic strasznego się nie stało. Czego tak wrzeszczysz, jakby de napadli bandyci w ciemnej uliczce? W końcu wszystko jest w twoich rękach! Nie zechcesz, zostanie jak było!

Głumow: Skąd pan to wie?

Kammerer: Znikąd. Wiem tyle co ty. Przecież przed chwilą czytałeś... Trzeci sygnałny, to tylko potencjał, trzeba go zainicjować... dopiero potem zaczyna się to... przechodzenie z poziomu na poziom... Chciałbym zobaczyć, jak oni to zrobią wbrew twojej woli!

PAUZA

Głumow: Tak. (śmieje się histerycznie) Ale mi pan napędził strachu, szefie!

Kammerer: Po prostu nie załapałeś o co chodzi.

Głumow: Ja im zwyczajnie ucieknę! Niech szukają wiatru w polu! A jeśli znajdą i zaczną namawiać... Może pan przekazać ode mnie, że im gorąco odradzam ten pomysł!

Kammerer: Wątpię, żeby chcieli ze mną rozmawiać.

Głumow: To znaczy?

Kammerer: Widzisz, nie jestem dla nich autorytetem. Będziemy musieli przywyknąć do zupełnie nowej sytuacji. Nie my będziemy ustalać terminy rozmów, nie my będziemy wybierać tematy... W ogóle straciliśmy kontrolę, nad przebiegiem wydarzeń. A sytuacja, chyba zgodzisz się ze mną, jest niezwykła. Na naszej Ziemi, wśród nas działa siła... nawet nie siła, lecz potęga! A my nic o niej nie wiemy. Ścisłej, wiemy tyle, ile nam pozwalają wiedzieć, a przyznasz, że to jest chyba gorsze niż pełna niewiedza. Nieprzyjemne, prawda? Nie, nie mogę nic złego powiedzieć o ludenach, ale przecież niczego dobrego także nie wiem!

PAUZA

Kammerer: Oni wiedzą o nas wszystko, a my o nich nic. To bardzo poniżające. Teraz każdy, kto się z tym zetknie, musi odczuwać upokorzenie... Na przykład trzeba przeprowadzić głęboką mentoskopię dwóch członków Rady Światowej wyłącznie po to, aby dowiedzieć się, o czym rozmawiano w czasie tego historycznego spotkania w "Domu Leonida" "... I zauważ, że ani członkowie Rady Światowej, ani my nie chcemy tego, ta konieczność upokarza nas wszystkich, lecz nie mamy wyjścia, chociaż szansę na sukces są, jak sam rozumiesz, raczej wątpliwe...

Głumow: Ale przecież ma pan wśród nich swojego agenta!

Kammerer: Nie "wśród" tylko "obok". Wśród - to na razie marzenie. Do tego, obawiam się, nieosiągalne... Kto z nich zechce nam pomóc? Po co im to? Jak myślisz, Tojwo?

DŁUGA PAUZA

Głumow: Nie, Maksym. Ja nie chce. Wszystko rozumiem, ale NIE CHCĘ!

Kammerer: Boisz się?

Głumow: Nie wiem. Po prostu nie chce. Jestem człowiekiem i nie chce być nikim innym. Nie chcę patrzeć na pana z góry. Nie chce, żeby ludzie, których kocham i szanuję, wydawali mi się dziećmi. Rozumiem, ma pan nadzieje, że to co we mnie ludzkie, pozostanie... Być może, ma pan nawet podstawy, żeby tak uważać. Ale ja nie chce ryzykować. Nie chce!

PAUZA

Kammerer: No cóż... w końcu to nawet ci się chwali.

(koniec Dokumentu 20)

Byłem pewien sukcesu. Omyliłem się.

Mało cię jednak znałem, Tojwo, mój chłopcze. Wydawałeś mi się twardszy, mniej bezbronny, bardziej fantastyczny, jeśli chcesz.

I wreszcie kilka słów o prawdziwym celu tych moich pamiętników.

Mój czytelnik, jeżeli zna książkę. "Pięć biografii stulecia", odgadł już z pewnością, że celem moim jest obalenie sensacyjnej hipotezy P. Soroki i E. Brauna, jakoby Tojwo Głumow, jeszcze wtedy, kiedy był Progresorem na Gigandzie, znalazł się w polu widzenia ludenów i został przez nich uznany za swojego. Jakoby już wtedy został przeprowadzony na odpowiedni poziom i przysłany do mnie do KOMKONu-2,

nawet nie w charakterze szpiega, ale dezinformatora i mizinterpretatora. Jakoby w ciągu pięciu lat zajmował się wyłącznie podjudzaniem do polowania na Wędrowców, interpretując każdy fałszywy krok, każdy błąd, każdą nieostrożność ludenów jako przejaw działalności zniechęconej przez siebie super-cywilizacji. Przez pięć lat robił w konia całe kierownictwo KOMKONu-2 i oczywiście przede wszystkim swojego bezpośredniego szefa i protektora, Maksyma Kammerera. A kiedy ludenów pomimo wszystko udało się zdemaskować, odegrał przed łatwownym Big Bugiem ostatnią łzawą komedię i wycofał się z gry.

Uważam, że każdy nieuprzedzony czytelnik, któremu nie znane są karkołomne konstrukcje Soroki i Brauna, kiedy doczytał już do tego miejsca, wzruszy ramionami i powie “Co za głupota, jaki dziwaczny pomysł, przecież to przeczy wszystkiemu, co właśnie przeczytałem”. Co zaś dotyczy czytelnika uprzedzonego, czytelnika, który do tej pory znał Tojwo Głumowa tylko z “Pięciu biografii stulecia”, to mogę poradzić mu tylko jedno: niech postara się spojrzeć na zebrane tu materiały beznamyślnie, nie trzeba przyprawiać na ostro problemu ludenów, który dzisiaj stał się już nieco mdły.

Trudno zaprzeczyć, historia Wielkiej Iluminacji ma do dzisiaj wiele białych plam, ale z całą odpowiedzialnością twierdzą, że z Tojwo Głumowem te plamy nie mają żadnego związku... I także z całą odpowiedzialnością oświadczam, że zawile rozumowanie Soroki i Brauna to po prostu nieprzemysłane brednie, kolejna próba wzięcia się prawą ręką za lewe ucho przez lewe kolano.

Co zaś dotyczy “ostatniej łzawej komedii” to żałuję tylko jednego i za to jedno przeklinam się po dzień dzisiejszy. Nie zrozumiałem wtedy, stary gruboskórny nosorożec, że widzę Tojwo Głumowa po raz ostami.

DOKUMENT 21

SWIERDŁOWSK, TOPOLA 11, M 9716

DO MAKSYMA KAMMERERA

BIG BUG!

Dziś odwiedził mnie Łogowienko. Rozmowa trwała od 12.15 do 14.05. Łogowienko był bardzo przekonywający. Sens: To nie takie proste jak my sobie wyobrażamy. Na przykład: twierdzi się, że okres stacjonarnego rozwoju ludzkości zbliża się ku końcowi, nadchodzi epoka wstrząsów (biospołecznych i psychospołecznych), głównym zadaniem ludenów wobec ludzkości jest, jak się okazuje, stanie na straży (że tak powiem “buszowanie w zbożu”). Obecnie na Ziemi oraz w kosmosie przebywa i igra 432 ludenów. Zaproponowano mi, żebym został 433-im i w tym celu powinienem zjawić się w charkowskim Instytucie Dziwaków pojutrze, 20 maja o 10.00.

Wróg ludzkiego plemienia szeptem mi do ucha, że tylko kompletny kretyn może wyrzec się szansy uzyskania superświadomości i władzy nad Wszechświatem. Szept ten udaje mi się zagłuszyć bez szczególnego trudu, ponieważ jestem człowiekiem, który-jak panu dobrze wiadomo - nie tęskni do prestiżu i nie cierpi elit w żadnej postaci. Nie ukrywam, wrażenie, jakie wywarła na mnie ostatnia rozmowa z panem, było bardzo silne, znacznie silniejsze niż bym tego chciał. Okropnie niemilo jest uważać się za dezertera. Nie wahałbym się ani sekundy, ale jestem absolutnie pewny - jak tylko oni przemienia mnie w ludena, nie zostanie we mnie nic (NIC!) co ludzkie. Niech się pan przyzna - w głębi duszy myśli pan tak samo.

Nie pojedę do Charkowa. W ciągu tych dni przemyślałem wszystko bardzo dokładnie. Nie pojedę do Charkowa po pierwsze dlatego, że byłoby to zdradą wobec Asi. Po drugie dlatego, że kocham matkę i

ogromniej szanuje. Po trzecie dlatego, że kocham swoich przyjaciół i swoją przeszłość. Przekształcenie się w ludena - to moja śmierć. To znacznie gorsze niż śmierć, dlatego że dla tych, którzy mnie kochają, będę żywy, ale wstrętny nie do poznania. Pyszny, zadowolony z siebie, zachwycony sobą facet. I jeszcze na domiar wszystkiego nieśmiertelny, jak mogę przypuszczać.

Jutro w ślad za Asią odlatuje na Pandorę.

Żegnam. Życzę szczęścia.

Pański TOJWO GŁUMOW, 18 maja 99 r.

(koniec Dokumentu 21)

DOKUMENT 22

RAPORT-MELDUNEK

nr 086/88

KOMKON-2

Ural-Północ

Data: 14 listopada 99 roku

Autor: Sandro Mtbewari, inspektor

Temat: 081 "Fale tłumią wiatr"

Treść: rozmowa z Tojwo Głumowem

Zgodnie z poleceniem referuje z pamięci moją rozmowę z Tojwo Głumowem, naszym byłym inspektorem, która miała miejsce w połowie lipca br. Około godziny 17-ej, kiedy byłem w swoim gabinecie, usłyszałem sygnał wideofonu i na ekranie pojawiła się twarz Tojwo Głumowa. Był wesoły, ożywiony i hałaśliwie mnie powitał. Od czasu, kiedy widziałem go po raz ostami, nieco utył. Rozmowa wyglądała mniej więcej tak:

Głumow: Gdzie się podział szef? Przez cały dzień próbuję się z nim połączyć, bez rezultatu.

Ja: Szef jest na delegacji, wróci nieprędko.

Głumow: Wielka szkoda. Jest mi niezbędnie potrzebny. Bardzo chciałbym z nim porozmawiać.

Ja: Nagraj list. My mu prześlemy.

Głumow (po namyśle): To długa historia (to zdanie pamiętam dosłownie).

Ja: W takim razie powiedz, co mu przekazać. Albo jak się z tobą kontaktować. Zanotuj.

Głumow: Nie. Muszę z nim rozmawiać osobiście.

Poza tym nic istotnego nie zostało powiedziane. To znaczy, nic istotnego nie pamiętam.

Chcę podkreślić, że wtedy wiedziałem o Tojwo Głumowie tyle tylko, że zwolnił się z przyczyn osobistych i polecał do żony na Pandorę. Właśnie dlatego nie przyszło mi do głowy, aby dopełnić zwyczajowych formalności. To znaczy: zarejestrować rozmowę, zidentyfikować kanał łączności, zawiadomić Prezydenta itd. Mogę jeszcze dodać, że odniosłem wrażenie, jakby Tojwo Głumow znajdował się w pomieszczeniu oświetlonym naturalnym, słonecznym światłem. Najwidoczniej znajdował się wtedy na Ziemi, na wschodniej półkuli.

SANDRO MTBEWARI

(koniec Dokumentu 22)

DOKUMENT 23

DO PREZYDENTA SEKTORA "URAL-PÓLNOC" KOMKON-2

Data: 23 stycznia 101 roku

Autor: Maksym Kammerer, naczelnik wydziału NW Temat: 050 Tojwo Głumow, metahomo.

PANIE PREZYDENCIE!

Nie mam nic do zakomunikowania. Spotkanie się nie odbyło. Czekałem na niego na Czerwonej Plaży do zapadnięcia zmroku. Nie przyszedł.

Oczywiście mogłem bez trudu pójść do niego do domu i tam na niego zaczekać, ale wydaje mi się, że byłby to błąd taktyczny. Przecież jego celem nie jest bawienie się z nami w ciuciubabkę. On po prostu zapomina. Jeszcze poczekajmy.

Maksym Kammerer

(koniec Dokumentu 23)

DO PRZEWODNICZĄCEGO KOMISJI "METAHOMO" GENADIJA KOMOWA

Kapitanie!

Przesyłam ci dwa interesujące teksty, które mają bezpośredni związek z przedmiotem twoich obecnych łowów.

TEKST 1 (Ust Tojwo Głumowa adresowany do Maksyma Kammerera)

Drogi Big Bug!

To wszystko moja wina. Ale teraz odkupie swoje grzechy. Pojutrze, 2-ego, punktualnie o 20.00 Z CAŁĄ PEWNOŚCIĄ będę w domu. Czekam. Gwarantuje, łakocie i obiecuję., że wszystko wyjaśnię. Chociaż, o ile dobrze rozumiem, nie jest to na razie koniecznie potrzebne.

TEKST 2 (list Anastazji Głumowej adresowany do Maksyma Kammerera, przesłany razem z listem Tojwo Głumowa)

Maksym!

On mnie prosił, żebym przekazała panu ten list. Dlaczego nie posłał go sam? Dlaczego po prostu nie zadzwonił do pana, żeby umówić spotkanie? Nic z tego nie rozumiem. W ostatnim czasie w ogóle rzadko go rozumiem, nawet wtedy, kiedy mowa jest o najprostszych, wydawałoby się, sprawach. Za to wiem, że jest nieszczęśliwy. Jak oni wszyscy. Kiedy jest ze mną, dręczy go nuda. Kiedy jest tam u siebie, tęskni za mną, przecież inaczej by nie wracał. Tak żyć nie sposób i będzie musiał wybrać coś jednego. Nie wiem, co wybierze. Ostatnio wraca coraz rzadziej i rzadziej. Znam jego współbraci, którzy w ogóle przestali wracać. Nie mają już czego szukać na Ziemi.

Jeśli chodzi o jego zaproszenie, to oczywiście z przyjemnością zobaczę pana, ale proszę, nie liczyć, że on przyjdzie. Ja nie liczę.

Pańska Asia Głumowa

Rozumie się, Kammerer poszedł na spotkanie i rozumie się, Tojwo Głumow się nie zjawił.

Oni odchodzą, Kapitanie. Odchodzą nieszczęśliwi, pozostawiając za sobą nieszczęśliwych.

Jakie to wszystko niepodobne do apokaliptycznych wizji, o których rozmawialiśmy cztery lata temu! Pamiętasz, jak stary Gorbowski wymruczał kiedyś z chytrym uśmiechem "Fale tłumią wiatr..."? Wszyscy porozumiewawczo pokiwaliśmy głowami, a ty, o ile pamiętam, dopowiedziałeś ten cytat z kretyńsko wieloznaczną miną. No, czyż zrozumieliśmy go wtedy? Nikt z nas go nie zrozumiał.

Twój Atos, 13.11.102

(koniec Dokumentu 24)

I ostatni dokument

Maksym!

Jestem bezradna. Rozsypują się przede mną w przeprosinach, zapewniają mnie o szacunku i współczuciu, ale od tego nic się nie zmienia. Zrobili już z Tojwo "fakt historyczny".

Rozumiem, dlaczego milczy Tojwo - to wszystko jest już dla niego obojętne, zresztą gdzie go szukać, w jakim wszechświecie?

Domyślam się, dlaczego milczy Asia - strach powiedzieć, ale najwidoczniej dała się przekonać. Ale dlaczego ty milczysz? Przecież kochałeś go, wiem o tym, i on kochał ciebie.

Maja Głumowa, 30 czerwca 126 r.

Ust Narwa

Jak widzisz, nie milczę już dłużej, Maju. Powiedziałem wszystko co mogłem i wszystko co potrafiłem powiedzieć.